

**Kłodzińska Anna**  
**W pogardzie prawa**



**Rozdział 1**

Starzec szedł powoli, ciągnął, nogi za sobą, przystając co kilka kroków. Jego długi, wyplamiony płaszcz był rozpięty, plątał mu się poniżej kolan i owijał dokoła ceratowej torby, niesionej z widocznym trudem.

Doszedł do krawężnika, zatrzymał się chwilę, ale nie patrzył na światła sygnalne, głowę miał zwieszoną, jakby szukał czegoś na chodniku. Potem wszedł na jezdnię, zupełnie nie zważając na samochody. Milicjant, który od paru chwil przyglądał mu się z irytacją, teraz gwizdnął ostrzegawczo raz i drugi. W tym samym momencie szary opel-record z przeraźliwym gwizdem opon zahamował o kilka centymetrów przed starym, wydawało się, że maska wozu skoczyła do góry jak wspinający się i nagle powściągnięty koń.

Ktoś krzyknął, nadjeżdżające samochody zatrzymały się, blokując ruch Wielki czerwony ikarus nawoływał klaksonem, kierowca autobusu niecierpliwił się, nie znalazł przyczyny korka. Milicjant był już przy starym człowieku, który spoglądał dokoła wyblakłymi oczami i milczał. Z opla wysiadł mężczyzna wysoki, o bujnych, lekko falistych włosach, twarzy pociągłej, teraz trochę przybladłej.

- Ma pan refleks! - powiedział milicjant z uznaniem.

- I dobre hamulce - dodał jeden z przygodnych gapiów.

- Zobaczyłem go z daleka - głos kierowcy opla lekko drżał. - Na szczęście zdążyłem. No i nie było karambolu z innymi wozami.

Milicjant sprowadził starca na chodnik. Potem obejrzał się za tamtym, ale dostrzegł już tylko samochód odjeżdżający w błyskawicznym tempie. Uchwycił jedynie wzrokiem litery z tablicy rejestracyjnej: WAL, numer znikł mu z oczu. Zaklął pod nosem, zaraz jednak przyszło mu na myśl, że tak na dobrą sprawę, nie ma sprawy. Wypadku nie było, kierowca pewnie nie chce być wmieszany w jakiegokolwiek dochodzenie, nikt tego nie lubi.

- No i co ja mam z panem zrobić? - mruknął, patrząc z niechęcią na starucha. - Dokumenty pan ma?

Ten skinął głową, trzęsącymi się rękami zaczął macać po kieszeniach. Wyjmował po kolei brudną chustkę, gazetę, paczkę papierosów, wreszcie znalazł wymiętą zieloną książeczkę, podał milicjantowi. Podoficer przejrzał ją dla porządku, wzruszył ramionami i oddał. Rencista, siedemdziesiąt,; osiem lat, mieszka niedaleko.

Niech pan uważa na światła przy przejściu na drugą stronę ulicy! - pouczył z przyzwyczajenia. Zasalutował i odszedł. Wiedział, że właśnie tacy, jak ten stary, niedołączny człowiek najczęściej są ofiarami wypadków, bo z trudem docierają już do nich takie pojęcia, jak bezpieczeństwo ruchu drogowego, światła, pasy. A może - myślał potem - nie zależy im na życiu, bo przeżyli już wszystko, co chcieli?

\*

Szary opel-record skręcił w boczną uliczkę, wjechał na parking.

Kierowca zgasił silnik i siedział parę minut bez ruchu, jakby chciał ochłonać po tamtym wydarzeniu. Bądź co bądź, o mały włos nie przejechał człowieka. Wyciągnął paczkę marlboro, zapalił, puszczał dym przez uchylone okno i spoglądał przed siebie. Po drugiej stronie ulicy znajdował się mały prywatny bar, trochę była to kawiarenka, a trochę restauracja. Miała doskonałą kucharkę, ładny lokal, zadbany i przytulny. Ściągała tu zadomowiona klientela, najczęściej z pobliskich placówek konsularnych i kilku przedsiębiorstw handlu zagranicznego.

Właściciel opla wiedział o tym wszystkim, gdyż bar prowadziła jego żona. On był tu niemal gościem, zresztą zawsze mile widzianym, gdyż wnosił ze sobą pogodny humor, uśmiech dla znajomych i nieznajomych, wiele życzliwych słów, które nieme kosztują, a sprawiają dobre wrażenie. Pomagał też czasami w dostawie towarów lub w sprawach finansowych, jeżeli pozwalał mu na to czas.

Wysiadł z wozu, zamknął go starannie, zabrał przedtem kilka paczek i wszedł do baru. Parę osób obejrzało się od stolików.

- Jakże miło znowu pana zobaczyć, panie Kaziu! - zawołał starszy pan, aktor z zawodu. Miał garbaty nos i czarne, krzaczaste brwi, najczęściej grywał role gangsterów i oszustów.

- Prosimy do nas,- panie Kazimierzu - zawtórowała mu chuda, elegancka pani. - Tak dawno pana nie widzieliśmy, cóż to się działo?

Kłaniał się, ścisnął wyciągnięte w jego kierunku ręce, pytał o zdrowie, odpowiadał, Wyjaśniał, nic nie wyjaśniając, gdyż w gruncie rzeczy nie był wylewny. Uśmiechał się do wszystkich, przeproszał, że bardzo się śpieszy i po chwili znikł na zapleczu baru. Jego żona, która zdążyła przed tymi powitaniem odebrać przyniesione paczki z towarami,

wróciła za ladę. Z pewnością podobała jej się sympatia, jaką goście otaczali małżonka, a poza tym przysparzało to klienteli.

Płynnymi ruchami parzyła kawę, chowała pieniądze do podręcznej kasy i wydawała resztę, pytała czy smakuje i martwiła się, jeżeli dostrzegła zasepioną twarz. Drobna i szczupła, miała czarne włosy, gładko przyczesane, odsłonięte wysokie czoło i regularne rysy, wydawało się, że taką urodą powinna przyciągać wszystkie oczy, ale tak nie było. Dziwnym trafem goście i personel woleli pana Kazimierza. Od pani Danuty bił jakiś chłód wewnętrzny, trzymający ludzi na dystans.

Ruchem głowy przywołała za ladę jedną z kelnerek, sama weszła do kuchni.

- Zjesz coś? - spytała. Kazimierz zawahał się, spojrzał na zegarek.

- No dobrze - odparł. - Pierożki i kawę.

- Znowu się spieszysz? Zabrzmiało to jak wyrzut.

- Mam robotę - rzucił obojętnie. Przysiadł do małego stolika w kuchni, zaczął jeść. Przez uchylone drzwi zajrzał zaprzyjaźniony gość.

- Pani Danusiu, czy nie było dziś Janka Zawadowskiego? Wie pani, taki chudy, z wąsikami i smutną twarzą?

- Nie, już od paru dni - odpowiedziała. - Podobno chory. Ktoś mówił, zniżyła głos do szeptu - że chciał popełnić samobójstwo.

- On?! A cóż mu do szczęścia brakowało?

- Podobno wplątał się w jakieś brzydkie sprawy.

- Trudno uwierzyć. Coś podobnego! - Gość szybko ulotnił się z kuchni.

Kazimierz zjadł, wypił kawę, rozejrzał się po twarzach, uśmiechnął do kucharki. Nałożył kurtkę i z papierosem w ustach, nie chcąc już

wywoływać zamieszania na sali, wymknął się bocznymi drzwiami do samochodu.

\*

W pokoju panował półmrok, paliła się tylko mała lampka przy tapczanie. Cicho grało radio. Człowiek, leżący w pościeli, miał przymknięte powieki, ręce bezwładnie wyciągnięte wzdłuż ciała. Szare, zapadnięte policzki i jakaś przerażająca sztywność rysów robiły wrażenie, że jest martwy, choć przeczył temu płytki, ledwie dostrzegalnej oddech.

Nie poruszył się, kiedy ktoś ostrożnie uchylił drzwi. Do pokoju wsunęła się kobieta w stroju pielęgniarki, ze szklanką herbaty na tacy. Postawiła ją na bocznym stoliku, nasypała trochę cukru, wcisnęła pół cytryny, dotknęła brzoża szklanki i zmarszczyła nos.

- Za gorąca - szepnęła do siebie.

Chory usłyszał to widać, bo otworzył oczy i spojrzał przytomnie.

- Przyniosłam herbatę - powiedziała pielęgniarka. - Trzeba popić lekarstwo. Jak pan się czuje?

Nie odpowiedział. Wodził wzrokiem po ścianach, meblach, coś sobie może przypominał, albo układał w pamięci, chwilami brwi ściągały mu się w bolesnym zdziwieniu. Kobieta usiadła na brzegu tapczana.

- Czuje pan się trochę lepiej? - zapytała. - Zaraz podam tabletki i herbatę.

- Dlaczego ja leżę? - odparł pytaniem. - Jakie tabletki?

- Jest pan przecież chory. Doktor przepisał lekarstwa.

Patrzył teraz na nią, wzrok miał uważny i nieprzychylny.

- Kim pani jest? Co pani tu robi?... A w ogóle, gdzie ja jestem?

- Ależ u siebie w domu! Wprawdzie lekarz chciał, żeby do szpitala,

ale pani się nie zgodziła.

- Kto?

- No, żona. Pani Zawadowska... Pani Irena.

- Przecież ja nie mam żony! - odburknął, próbując unieść się na łokciach, ale nie potrafił, był zbyt słaby. Pielęgniarka z zawodową stanowczością i wprawą ułożyła go z powrotem na poduszce, poprawiła jedwabną kołdrę.

- Proszę leżeć spokojnie - strofowała. - Któż to widział mówić tak nieładnie o własnej żonie. Taka miła, dobra kobieta, płakała, kiedy pan... No, mniejsza. Proszę połknąć te dwie tabletki i wypić herbatę - podawała leki, ale przekrzywił głowę na bok.

- Nic nie będę brał. Chcę najpierw wiedzieć, kto mnie tutaj przywiózł i dokąd. Co to za Irena? Ja się wcale nie nazywam Zawadowski, ja się nazywam... nazywam - umilkł nagle, twarz jego przybrała wyraz nieopisanego przerażenia.

- Proszę się uspokoić...

Patrzył na nią w osłupieniu, wargi mu drżały. Wreszcie wykrztusił z trudem:

- Ja nie wiem, jak się... Ja... O, Boże, kim ja jestem?!

W sąsiednim pokoju rozległy się spieszne kroki, weszła młoda blondynka w szlafroku, nie uczesana, blada, oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte. Usiadła z drugiej strony tapczana, ujęła chorego za rękę. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Jasieczku, uspokój się, kochany - szeptała. - Jesteś w domu, u siebie, ja jestem przy tobie, wszystko już będzie dobrze. Proszę cię, weź lekarstwo, przecież chcesz być zdrowy, prawda?

Przyglądał jej się z naprężoną uwagą, marszczył brwi, potem niechętnie odwrócił wzrok.

- Pani jest lekarką? - spytał. - To jest szpital czy jakaś klinika?

- Nie poznajesz mnie? To ja, Irena, twoja żona! Jaśku... Janku, popatrz na mnie. Przypomnij sobie, błagam cię! - zaszlochała żałośnie. - Musisz pamiętać, kim jesteś i gdzie. To jest twój dom, leżysz w swoim pokoju...

- Jak pani się nazywa?

- Tak jak ty: Zawadowska, Janku!

- To nazwisko nic mi nie mówi. Pani twarz również. Chcę jechać do mojego domu! - krzyknął. Zaczął rwać na sobie piżamę, musiały go powstrzymać, bo stoczyłby się z tapczana.

Pielegniarka z dezaprobatą potrząsnęła głową podeszła do stolika. Strzykawka, igły jednorazowego użytku, ampułki z lekarstwami, wszystko; miała już przygotowane. Gorzej było z chorym, który bronił się przed zastrzykiem z siłą, o którą go nie podejrzewała, tak do tej pory wydawał się słaby. Wspólnym wysiłkiem czworga rąk, trochę kolan, zdołały wreszcie unieruchomić go, pielęgniarka zagłębiła igłę w mięśniach, przezroczysty płyn powoli spływał w ciało. Skutek był; niemal natychmiastowy, mężczyzna przymknął powieki i zasnął.

- O której przyjdzie doktor Balicki? - spytała Irena, patrząc na zegar ścienny; dochodziła północ.

- Powiedział, że jak tylko skończy ranny obchód w szpitalu, gdzieś koło dziesiątej, wpół do jedenastej. - Pielęgniarka ocierała spoconą twarz.

- Proszę się teraz położyć, on będzie długo spał. Ja muszę o jedenastej być w szpitalu, a panią czeka cały dzień przy chorym.

Lekarz zjawił się w mieszkaniu Zawadowskich kilka minut po dziesiątej. Wymienił fachowe uwagi z pielęgniarką, która zbierała się do wyjścia. Irena, niewyspana i zdenerwowana, zaprowadziła go do sąsiedniego pokoju, podała kawę i opowiedziała, co zdarzyło się w nocy.

- Przecież to niemożliwe, żeby tak nagle stracił pamięć! - mówiła z drżeniem w głosie. - On nie poznaje ani mnie, ani swego pokoju. Może to skutek tych zastrzyków?

Lekarz zaprzeczył ruchem głowy. Był już niemłody, doświadczony, a co najważniejsze życzliwy dla pacjentów.

- Zastrzyków, w żadnym wypadku. Ale może to być rezultat trucizny, którą zażył. Zdarza się, co prawda bardzo rzadko, że tak właśnie człowiek reaguje na tutokainę. Nie domyśla się pani, skąd mąż dostał ten środek znieczulający?

- Zupełnie nie. Ale przecież jest chemikiem. Pracuje w spółdzielni farmaceutycznej, chyba tam to mają. Tutokaina? Co to jest?

- Jako laikowi - uśmiechnął się do niej - powiem tylko, że środek podobny do nowokainy. Działa znieczulająco. Powoduje, prócz takich objawów, jak drgawki i likwidacja odruchów, również niepamięć wsteczną.

- To przejdzie?

Widział, że zawisła wzrokiem na jego ustach, noże sądziła, że lekarz jest wyrocznią i nie może się mylić. Jakby to było dobrze - pomyślał i odpowiedział jej, że powinno minąć bez śladu, choć wcale tego nie był pewien.

- Jaka była przyczyna targnięcia się na życie? - spytał. - Do tej pory to pani była moją pacjentką, a nie mąż. Nie chciałbym się wdzierać w



Wasze osobiste sprawy, ale może cierpiał pan na jakąś chorobę, którą ukrywał przed otoczeniem. W wielu stanach psychicznych człowiek potrafi sobie też wmówić, że ma na przykład raka, co wcale nie jest prawdą.

- To nie choroba - odparła Irena. - Jego rzeczywiście coś gnębiło od pewnego czasu, ale nie chciał mi nic powiedzieć. Raz widziałam, że spalił jakiś list. Były dziwne telefony, po których Janek chodził po domu roztrzęsiony, milczący. Nie, doktorze! Wiem, o co chce pan teraz zapytać. Myśmy byli... to znaczy, jesteśmy bardzo dobrym małżeństwem i żadne z nas nie zaplątało się w konflikty sercowe czy seksualne. Tego jestem pewna.

Doktor pomyślał, że tego właśnie nikt w małżeństwie nie może być pewny, ale i tę uwagę schował dla siebie. Chciał się jeszcze czegoś dowiedzieć, kiedy u drzwi rozległ się natarczywy dzwonek.

- Przepraszam, pójde zobaczyć.

Wyszła do przedpokoju, a doktor Balicki wrócił do chorego, ale ten ciągle spał po silnym środku uspokajającym. Siadł więc obok tapczana, przyglądając się to obrazom na ścianach, to pięknym, starym meblom. Z przedpokoju doszedł go czyjś podniesiony, zirytowany głos, do którego zaraz dołączył drugi. Starła się je uciszyć pani Zawadowska, ale bez rezultatu. Po chwili drzwi otworzyły się i do sypialni wtargnęło raczej, niż weszło dwóch mężczyzn.

- To niesłycha... - zaczął jeden z nich i urwał na widok tego, co zobaczył.

- Panowie, na miłość boską, nie budźcie go! - Mówiła Irena półgłosem - rriąż dostał środek nasenny, jest bardzo chory. Proszę przejść

do tamtego pokoju.

- Zaraz! Chwileczkę - drugi z mężczyzn zbliżył się i pochylił nad chorym, ale w tym momencie lekarz uznał, że ma nie tylko prawo, lecz i obowiązek wmieszać się w sytuację.

- Pan wybaczy - stanowczym ruchem odsunął przybysza i zajął przy tapczanie pozycję obronną

- A pan kto? - rzucił natręt. - Rodzinka, co?

- Nie Jestem lekarzem, nazywam się Balicki i oświadczam, że nie dopuszczę do żadnych incydentów w tym pokoju. To jest mój pacjent, człowiek ciężko chory, opiekuję się nim.

- Jak ciężko chory, to czemu nie w szpitalu? - zaczętnie spytał drugi mężczyzna.

- To sprawa moja i pani Zawadowskiej. Być może że jeszcze dzisiaj będę musiał dać mu skierowanie do szpitala, ale tymczasem proszę opuścić pokój.

- Swoją drogą, wygląda fatalnie - zauważył młodszy z przybyłych. - Czy on w ogóle żyje? 3o wcale się nie rusza.

- Proszę stąd wyjść! - krzyknął doktor Miał porywcze usposobienie i nie hamował go, jeżeli wiedział, że ma rację Dostrzegł nagłą bladość na twarzy Ireny, więc dorzucił groźnie: - Żyje przeżyje nas wszystkich! Proszę opuścić pokój, bo wezwę milicję.

- Milicję, to myśmy już wezwali - rzekł starszy z mężczyzn. - Tylko jeszcze nie tutaj. Me dobrze, wyjdziemy gdzieś obok, on i tak śpi, więc trudno rozmawiać. Pani pójdzie z nami - zwrócił się do Ireny.

- Jestem u siebie - odparła z urazą. - I zrobię to, co sama uważam za stosowne.

- Ja tu zostanę, ale jeśli zajdzie potrzeba, niech pani mnie zawoła - zagroził doktor jeszcze raz.

- Za kogo pan nas ma? - oburzył się ten starszy.

Kiedy znaleźli się w sąsiednim pokoju, był to rodzaj salonu czy jadalni, starszy wiekiem powiedział z pewnym zażenowaniem:

- No, przepraszam panią, rzeczywiście wypadło to jakoś...

- Może nareszcie dowiem się, o co chodzi i kim panowie są? - przerwała.

- Już mówiłem, zaraz po przyjściu, jesteśmy ze spółdzielni „Nowa Przyszłość”, pani mąż przecież u nas pracuje od paru lat.

- Niestety, nie znam panów.

- Jestem wiceprezesem, nazywam się Malewski, to jest magister Nowak z kontroli wewnętrznej. A sprawa przykra. Bardzo przykra. Pan Zawadowski tak jakoś nagle zachorował trzy dni temu, nawet nie dał znać, nie zadzwonił.

- Mąż rzeczywiście zasłabł nagle. Miał zapaść, stracił przytomność.

- Tak. Cóż, zdarza się, chociaż dziwne, że akurat teraz...

- Co to znaczy: akurat teraz?

- Dobrze, będę mówił otwarcie. Wczoraj mieliśmy kontrolę z jednostki nadrzędnej. Pani mąż, jako starszy inspektor do spraw technicznych, dysponował kluczami do podręcznego magazynu surowców i półfabrykatów. Są to przede wszystkim pochodne kwasu węglowego, środki nasenne, chlorki... zresztą, mniejsza o to. Najważniejsze, że znajdują się tam również alkaloidy takie, jak morfina, kokaina, heroina i podobne. Pani chyba orientuje się, do jakiego stopnia...

- Orientuję się - ucięła. - Ale wciąż nie rozumiem, o co chodzi.

- Kontrolowaliśmy ten magazyn - wyjaśniał magister Nowak. - Brakuje około dwunastu kilogramów specyfików, zwłaszcza tych najcenniejszych.

- I najgroźniejszych - dodał Malewski

- Ale przecież... chyba nie tylko mój mąż miał klucze do tego magazynu!

- Nie tylko. Rzecz jednak w tym, że jego zastępca, kolega Lisowski, od trzech miesięcy znajduje się za granicą, w kilku krajach afrykańskich załatwia sprawy naszego eksportu. W przeddzień jego wyjazdu, wraz z panem Zawadowskim, kolegą Nowakiem i jeszcze jednym z inspektorów, dokonaliśmy spisu wszystkich specyfików, znajdujących się w magazynie. Od tego dnia klucze miał wyłącznie pani mąż. Porównaliśmy teraz książką rozliczeń i wydawania różnych środków ze stanem faktycznym. Brakuje, jak już kolega Nowak powiedział, dwunastu kilogramów. Gorzej, bo przy bliższym skontrolowaniu opakowań stwierdziliśmy, że w niektórych z nich surowce były po prostu podrobione.

- Co to znaczy? - spytała zdumiona.

- To znaczy, że w jednym znajdował się zwykły cukier, w innych jakiś obojętny, bezwartościowy proszek lub płyn, powiedzmy, woda destylowana.

Przez chwilę trwało milczenie. Irena patrzyła na obu mężczyzn ze wzrastającym przerażeniem. Nie była w stanie, rnie mogła tego zrozumieć. A więc Janek nie tylko zabierał - w myślach nie potrafiła użyć słowa: „kradł”, ale i oszukiwał!

- To dlatego... - urwała. Nie, o próbie samobójstwa im nie powie.

- Chciała pani powiedzieć, że dlatego w końcu rozchorował się? -

spytał Malewski.

- Sumienie go ruszyło! - burknął Nowak.

- Zostaw - zmitygował go wiceprezes. Popatrzał na bladą, jakby zmartwiałą twarz Ireny, zrobiło mu się jej żal. - Pani nic o tym nie wiedziała?

- Absolutnie nic.

- Cóż, przykro mi. Proszę jednak zrozumieć sytuację spółdzielni. Naszym obowiązkiem było powiadomić o wszystkim prokuratora. Zrobiliśmy to dopiero dziś rano, bo sądziłem... miałem nadzieję, że pan Zawadowski przyjdzie i jakoś wszystko wyjaśni, chociaż, co tu można wyjaśniać. Nikt u nas nie ma prawa wynosić poza zakład ani grama specyfików czy surowców, a w dodatku te karygodne oszustwa, bo trudno to inaczej nazwać! Sprawdziliśmy zresztą, czy akurat te opakowania były w magazynie przed wyjazdem kolegi Lisowskiego. Niestety, nadeszły do nas dopiero w dwa tygodnie po jego wyjeździe. Tak więc całkowita odpowiedzialność za braki i oszustwa spada na pani męża.

Doktor Balicki uchylił drzwi, spojrzał na Irenę.

- Zbudził się? - spytała trwoźnie. Nie chciała, żeby weszli do sypialni i zaczęli domagać się wyjaśnień.

Lekarz zaprzeczył ruchem głowy. Dwaj przybysze spojrzeli na siebie, po czym odezwał się Malewski.

- Widzę, że w tej chwili nie będziemy mogli porozumieć się z panem inspektorem. Pewnie w najbliższych godzinach zjawi się tu ktoś z prokuratury lub milicji. - Zwrócił się do Ireny, zawahał, po chwili dodał ze zdziwieniem: - Wie pani, zupełnie nie mogę zrozumieć, jak on mógł to zrobić i dlaczego! Mielicie jakieś długi, jakieś gwałtowne potrzeby

finansowe?

- Nie. Żadnych długów.

- Bo chyba - znów się zawahał, spojrzął na nią spod oka - mąż nie jest narkomanem?

- To, co mogłem stwierdzić w trakcie badan 1:1 chorego - wtrącił doktor - nie nasunęło mi żadnych skojarzeń z zażywaniem środków psychotropowych.. Zażywaniem nagminnym, a w każdym razie częstym - dodał.

- A pani, nic takiego u męża nie zauważyła? - spytał jeszcze Malewski.

- Zauważyłabym, gdyby tak było - odparła z naciskiem.

- W takim razie... w takim razie, nic nie rozumiem. Sprzedawał to komuś? Czy pani jest pewna, że tych specyfików nie ma w domu?

Zastanowiła się, milczała chwilę. W końcu odparła:

- Nie wiem. Nie szukałam, bo nie było powodu.

- Zresztą - Malewski jakby stracił nagle zainteresowanie całą sprawą - to już do nas nie należy. Tym się zajmie milicja.

Jakby na potwierdzenie jego słów, znowu odezwał się dzwonek u drzwi.

- Otworzę - powiedział Balicki i wyszedł do przedpokoju. Zaraz potem wrócił w towarzystwie mężczyzny średniego wzrostu o pociągłej, lekko opalonej twarzy, z której spoglądały uważne, chłodne oczy, tak czarne, jak tylko było to możliwe.

- Kapitan Połowski - przedstawił się krótko. - Chciałbym rozmawiać z panem Janem Zawadowskim. - Obrzucił wzrokiem całą czwórkę, zatrzymał go na kobiecie. - Pani Zawadowska?

- Tak. Ale mąż jest chory.

- Jestem jego lekarzem - wyjaśnił Balicki. - pacjent miał zapaść i na razie nie widzę możliwości...

- Leży w szpitalu czy w domu? - przerwał oficer.

- Jest tutaj.

- Więc proszę mnie do niego zaprowadzić. -: Ton głosu był grzeczny, lecz stanowczy. Dwaj przedstawiciele spółdzielni „Nowa Przyszłość” pożegnali się spieszenie i ulotnili, a tamtych troje weszło do sypialni. Zawadowski patrzył na wszystkich z irytacją, nie poznawał nikogo. Domagał się „powrotu do domu”, to próbował wstawać, to szukał czegoś na kołdrze i pod poduszką. Kapitan obserwował go przez dobry kwadrans, wymienił kilka uwag z lekarzem, próbował też rozmawiać z chorym, ale bezskutecznie, wtedy rozejrzał się za telefonem, a po połączeniu się z Pałacem Mostowskich poinformował kogoś po drugiej stronie aparatu, jak sytuacja wygląda. Odłożył słuchawkę i powiedział, że niedługo przyjdzie lekarz z Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO, specjalista-toksykolog.

Balicki spojrział na kapitana podejrzliwie.

- Toksykolog? - powtórzył. - Dlaczego?

- Dlatego - odparł Połoński - że według mojej niefachowej oceny stan chorego wskazuje na użycie jakiegoś środka toksycznego. Innymi słowy, była to próba samobójstwa albo otrucie, albo wreszcie nieszczęśliwy wypadek, ale o tym zdecydować musi lekarz.

Uwagi Cicera nie uszła błyskawiczna wymiana spojrzeń pomiędzy Zawadowską i Balickim. Pomyślał, że wiedzą o wiele więcej, niż mu powiedzieli, ale nie podjął tematu. Usiadł w kącie pokoju, wyjął z kieszeni

gazetę i na pozór zagłębił się w czkaniu. W ten sposób mógł swobodniej obserwować zarówno chorego; jak i tych dwoje. Oczekiwać nie tylko toksykologa, z Komendy Stołecznej; wysłano ekipę dochodzeniowo-śledczą dla przeprowadzenia rewizji w domu Zawadowskich. PoPński wprawdzie wątpił, czy po upływie kilku dni można tu będzie natrafić na choćby jedną dziesiątą skradzionych specyfików, które najprawdopodobniej już wywędrowały daleko. Wymienił jednak Balickiemu trzy możliwości, a ślad którejs z nich dałby się może jeszcze odnaleźć. Brał również pod uwagę symulację utraty pamięci. To stwierdzić mógł wyłącznie fachowiec.

Nie znał doktora Balickiego. Wiedział o nim tylko, że jest znajomym Zawadowskich, bo tak mu się przedstawił, a to było niewiele. Nie miał prawa ani możliwości sprawdzić jego kwalifikacji zawodowych i moralnych.

\*

Wysiadł z tramwaju, nasunął głębiej na czoło stary, przepocony kapelusz i otulił szyję, bo ostry, marcowy wiatr zacinał drobnym deszczem. Od przystanku na Targowej do swego mieszkania miał niewiele ponad pięć minut drogi. Szedł, przeciskając się z trudem pomiędzy tłumem przechodniów, tutaj zawsze był ścisk, zwłaszcza pod wieczór.

W bramie, jak zwykle, czekała na klientów dziewczyna z parteru, pogadując ze znajomą handlarką. Znał obie; stara sprzedawała wódkę, miała w domu kilkanaście lub więcej butelek, przemyślnie poukrywanych w tapczanie, pod szafą i gdzie się dało, teraz już i w piecu kaflowym, bo przestała palić. Dziewczyna odburknęła coś niechętnie na jego: „...wieczór”, nigdy nie dał jej zarobić, więc nie przedstawiał wartości.



Handlarka odsunęła się szybko w sam kąt sieni i zerknęła na wchodzącego niespokojnie. Był „swój”, to prawda, mieszkał w tej brudnej, odwiecznej kamienicy ponad rok, a mimo to wzbudzał w starej meliniarce dziwny, niczym nie wytłumaczony strach.

Minął kobiety i zaczął wspinać się na trzecie piętro. Na schodach panował mrok, żarówki zawsze ktoś wyłukł albo ukradł. Nie przeszkadzało mu to, mógł trafić do siebie z zamkniętymi oczami. Dotarł do drzwi, rozpiął długi, wymięły płaszcz i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął klucze. Były rozmaitego kształtu, przemyślnie wykonane, jakoś nie pasowały do tego otoczenia.

Nagle drgnął i zastygł, zaraz potem odwrócił się błyskawicznie, spojrzał w górę. Ktoś stał o kilka stopni wyżej i patrzył na niego, nie widział, ale czuł ten wzrok.

- To ja - odezwał się tamten. - Czekam na pana.

Poznał głos, rozluźnił napięte mięśnie.

- Wejdz - mruknął, puszczając go przed sobą. Zapalił światło w przedpokoju, starannie zaryglował drzwi.

Mieszkanie było więcej niż skromnie umeblowane; żelazne łóżko z niedbale zasianą, długo widać nie zmienianą pościelą, kilka krzeseł, szata podparta z jednej strony cegłą, stół pod oknem, w kącie jakieś pudła, torby i toboły. Na prawo od przedpokoju - mikroskopijna kuchenka, w niej tak zwany „pajaczek”, czyli dwa palniki gazowe na nóżkach, obok popękany zlew z brązowymi zaciekami, kilka garnków, butelki, szmaty. Na taborecie z surowego drewna - miska, okrawek mydła, szary z brudu ręcznik. Łazienki nie było, wspólna ubikacja mieściła się w korytarzu.

Całość robiła wrażenie niechlujne i ubogie, chyba jednak właściciel

tej nory czuł się w niej dobrze, bo na jego twarzy przybysz nie dostrzegł zażenowania, ani też nie zauważył żadnych prób zrobienia jakiegoś porządku. Przeciwnie, gospodarz zdjawszy płaszcz rzucił go niedbale na łóżka, kapelusz cisnął na podłogę, rękawem spłowiałej marynarki zmiótł ze stołu porozkładane gazety, okruchy tytoniu i kilka niedopałków.

- Siadaj - ruchem głowy wskazał krzesło. Poprawił okulary w czarnej oprawie, przejechał palcami po włosach. Miał jakiś tik nerwowy w twarzy, który chwilami podnosił mu górną wargę i odsłaniał zęby, nad podziw białe i równe. Podobny był wtedy do rozgniewanego psa. Dość wysoki, garbił się i pochylał, może dokuczał mu ból w plecach.

Przybysz, który znał go bardzo mało, właściwie widzieli się tylko kilka razy, i to krótko, w mrocznej bramie, spoglądał teraz na niego z zaciekawieniem. Trudno było jednak uchwycić i ocenić charakter tego człowieka po wyglądzie. Duże okulary, lekko przyciemnione, zasłaniały wyraz oczu. Nos, policzki, bruzdy i fałdy skóry, wszystko to było jakieś ciemne, jakby ulepione z gliny, przypominałoby maskę clowna, gdyby nie ostre spojrzenie skrytych oczu i zacięte wargi.

- Co masz? - spytał, siadając na drugim krześle.

- Szkiełka - odparł przybyły. - I sześć sikorów.

- Mówiłem, że zegarków nie biorę.

- Ale złote! Wszystkie sześć. - Jakie szkiełka?

- Różne. Pierścionki, kolczyki, bransoletki. Duża klasa, brylanty czystej wody - zachwalał.

- Gdzie masz to wszystko?

Gość, a raczej interesant, sięgnął pod kurtkę, wyjął pękaty woreczek i położył na stole. Gospodarz skrzywił się z dezaprobatą.

- Nie trzeba było nosić przy sobie - rzekł. - A gdyby cię zatrzymali? Nie miałbyś żadnego wytłumaczenia.

Tamten roześmiał się hałaśliwie, całym gardłem.

- Kto, gliny? Żartuje pan. Teraz wystarczy krzyknąć, że biją, a zaraz nadleci sto albo i dwieście różnych koleśków, z miejsca zareagują i po strachu! Niechby tylko kto spróbował mnie wsadzić do radiowozu, to przewrócą wóz do góry kołami. Albo spalą. Teraz wszystko można.

Człowiek w okularach przyglądał mu się, i słuchał, a jego nieruchoma twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Przybysz był młody, miał najwyżej dwadzieścia lat. Nerwowo oblizywał wyschnięte wargi, latał oczami po pokoju, w pewnej chwili położył rękę na woreczku, jakby w obawie, że mu odbiorą. Nie miał zaufania do pasera, ale wiedział od innych, że ten był najlepszy, najpewniejszy-

- Widziałeś spalony radiowóz? - spytał nagle gospodarz. Pytanie nie miało nic wspólnego z transakcją i chłopak zniecierpliwiał się, chciał szybko dostać pieniądze i odejść. Wzruszył ramionami.

- Nie widziałem, ale mówili. A dwa dni temu na Targowej mundurowemu dali w mordę, aż się przewrócił. Sam widziałem. Jeszcze mu przyłożyli parę razy, zanim się podniósł. Może by i całkiem go załatwili, ale krzyk się zrobił, jakaś baba wrzeszczała: „Nie bić!”, no, to tamci dostali pietra i urwali się. Głupi, ja bym go dokończył i dopiero potem...

- Dlaczego? - znowu padło pytanie.

- Jak to, dlaczego? - Chłopak poczerwieniał, bezy mu błysnęły - Pan nie wie? Teraz jest wolność, taka prawdziwa! Czytałem ulotki, które rozrzucali. I na murach są napisy... Zresztą, jeden mi dokładnie wszystko

wytłumaczył. Niech pan słucha, to jest proste Państwo, znaczy się każda władza, jest aparatem ucisku. Policja, czy milicja to wszystko jedno, ten ucisk robi i dręczy ludzi. Więc trzeba rozwalić państwo, rząd, policję, znieść prawa i dopiero wtedy będzie wolność. Każdy będzie robił, co zechce No, pan już rozumie?

Po wąskich wargach pasera przeleciał nikły uśmiech

- A ty, co będziesz wtedy robił?

- Ja? Nic! - odparł ze szczerością w głosie. - Będę jadł, pił, na baby chodził, spał... Wystarczy, nie? Dobrze życie. No, bierze pan szkiełka? Bo mi się śpieszy.

Gospodarz ostrożnie wysypał z woreczka biżuterię, ułożył na stole i przyglądał jej się z uwagą. Wyjął z kieszeni lupę, każdy klejnot obejrzał dokładnie, jeden pierścionek odsunął na bok, a chłopak zmieszał się trochę. Nie udało mu się podrzucić szkiełka z „Jablonexu” Potem próbował się targować, ale paser popatrzał na niego z pogardą.

- Tu nie bazar - mruknął.

Wziął pozostałą biżuterię i zegarki, bo rzeczywiście były złote. Zapłacił jedną czwartą jubilerskiej ceny, tak robił zawsze, inni paserzy dawali jeszcze mniej, kiedy „fanty” były niedawno kradzione i przez to ryzykowne. Człowiek w okularach wiedział, kiedy chłopak obrabował sklep, znał dzień, godzinę i adres tego zakładu. Gdyby włamywacz pojawił się za miesiąc czy dwa, dostałby, lepszą cenę, ale oni wszyscy zwykle przychodzili od razu, potrzebowali pieniędzy na dobre życie, a poza tym chcieli się jak najszybciej pozbyć towaru.

Przybysz schował gotówkę, podniósł się z krzesła. Wtedy zobaczył, że paser trzyma w ręku pistolet, wycelowany prosto w niego. Przeraził się,

krzyknął: - Co pan?! - Odskoczył do drzwi.

Ale gospodarz nie miał zamiaru strzelać. Była to tylko próba ewentualnej obrony przed atakiem złodzieja, który nagle mógł pożałować szkiełek i sikor. Raz już tak się zdarzyło, tyle, że paser był zadziwiająco silny i szybki w ruchach. Złodziej stoczył się ze schodów, skamłając z bólu i więcej się u niego nie pokazał. Po tym fakcie paser zaopatrzył się w broń.

\*

Kapitan Połoński i jego towarzysz szli z wolna Nowym Światem, przystając chwilami, kiedy rozmowa stawała się gorętsza. Dochodziła północ. Zimny ostry wiatr wegnał ludzi do domów i ulica była prawie pusta. Na płytach chodnika szeleściły, zerwane wiatrem i podrzucane podmuchami, plakaty, afisze, jakieś ulotki. Połoński niecierpliwie odsuwał je nogą.

- Pewny jesteś, że to samobójstwo? - spytał major Szczęsny.

- Tak na dziewięćdziesiąt procent. Te dziesięć” to próba otrucia, ale nie mamy żadnych dowodów. Facet się wykaraskał, chociaż był już jedną nogą na tamtym świecie.

- Wróciła mu pamięć?

- W każdym razie rozpoznaje żonę, mieszkanie i tego swego wiceprezesa spółdzielni, Malewskiego. Wczoraj, kiedy byłem u Zawadowskich, powiedział mi, że zdaje sobie sprawę z tego, co zrobił, a miał na myśli kradzież narkotyków.

- Sam zażywał, czy sprzedawał komuś?

- Widzisz, o tym absolutnie nie chce mówić. Może powinienem... a zresztą, nie - urwał. Przystanęli w bramie jednego z domów, Szczęsny zapalił papierosa. - Prokurator uważa, że na szpitalny areszt zawsze będzie

czas. W mieszkaniu, oczywiście, nic nie znaleźliśmy, ale dwunastu kilogramów nie mógł wynieść z magazynu spółdzielni za jednym zamachem. Musiał to robić systematycznie, w małych dawkach. Nasz toksykolog twierdzi, a ja mu wierzę, że Zawadowski nie jest narkomanem. W takim razie jest dostarczycielem.

- Więc dlaczego samobójstwo?

- Właśnie, to mnie najbardziej zastanawia. Wyrzuty sumienia? Nonsens Strach przed ujawnieniem? Przed kompromitacją? Możliwe, chociaż on robi na mnie wrażenie człowieka dość twardego, zdecydowanego. Ostatecznie mógł sam przebrać ten proceder, zanim ilość skradzionych preparatów doszła aż do dwunastu kilogramów. Widocznie na coś ogromnie potrzebował pieniędzy. Zona temu zaprzecza, ale może nie wiedzieć. Albo go kryje.

Szli Krakowskim Przedmieściem. Przy wejściu do uniwersytetu łopotały flagi i transparenty. Z okien budynku przy bramie zwisały płachty z napisami o Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, o sprzedaży literatury „poza cenzurą” i o czymś tam jeszcze.

- Wstąp do mnie, zjemy kolację - zaproponował Połoński. - Trochę późno, co prawda, ale od obiadu nic nie miałem w ustach.

- Ja też - przyznał major. - Masz coś w domu?

- Tylko serek topiony - roześmiał się. - Chleb jest, herbata. Zdaje się, że jeszcze mam w lodówce jajka. Na kiełbasę nie liczę, od tygodnia nie udało mi się nic kupić w mięsny sklepie. A jak coś przywiozą, to kolejka stoi od szarego świtu. Podobno w kwietniu mają być kartki na mięso.

- Twoja żona jeszcze w sanatorium? Kapitan westchnął ciężko.

- Wraca dopiero za jedenaście dni. Przerazi się, jak zobaczy moje

gospodarowanie! Chciałem wyprać wełniany sweter, wsadziłem do pralki, wyjąłem ubranko dla krasnoludka.

- Skurczył się, frajerze! Trzeba było oddać do pralni, na sucho.

Mieszkanie Połńskiego wyglądało nawet dość porządnie, jeżeli się nie zajrzało do szaf albo pod tapczan. Szczęśny nie przejawiał takich zamiarów, zresztą obaj mieli głowy zaprzątnięte czym innym. Zjedli, co było.

- Jutro ten strajk ostrzegawczy? - spytał major, zapalając papierosa.

- Ano tak. Komunikacja i w ogóle. Cała ta nerwowa, napięta atmosfera nie sprzyja naszej robocie. Zwłaszcza recydywa podnosi głowę, rozzuchwala się. Popatrz, z jednej strony słyszy się skargi, że działamy opieszale, bo mnożą się napady, rozboje, nawet zabójstwa. A z drugiej, coraz więcej ludzi utrudnia nam pracę. Czy zauważyłeś, jak niechętnie pomagają? Później mają...

Połński nie zdążył jednak dokończyć, gdyż do drzwi ktoś zadzwonił. Zdziwił się, pomyślał, że to może z komendy i poszedł otworzyć. Na progu stał kapitan Szczerba z Krakowa, dobry znajomy, zarówno Bohdana, jak i Szczęśnego.

- Przepraszam, że tak późno - tłumaczył, zdejmując płaszcz - ale zobaczyłem w twoich oknach światło, więc sądziłem, że nie śpisz. Przyjechałem rano, siedziałem prawie cały dzień w resorcie i nie zdążyłem do ciebie zadzwonić.

- Nic nie szkodzi. Możesz tu przenocować, bo żona w sanatorium. Zaraz ci coś przygotuję do... - zmieszał się, bezradnie rozłożył ręce. - Niestety, nie mam nic do zarcia. Jadłeś kolację?

- Jadłem w kasynie. A prześpię się chętnie, cholernie jestem

zmordowany. Jutro, skoro świt, wracam do Krakowa. Mamy tam kiepską sytuację.

- My też - mruknął Szczęsny.

- A gdzie jest dobra? - spytał Połowski i wyszedł do kuchni, aby choć poczęstować gościa herbatą. Szčerba był tak zmęczony, że drżały mu ręce, kiedy zapalał papierosa. Twarz miał suchą pociągłą, policzki zapadnięte i cienie pod oczami.

- Odbijają wam zatrzymanych? - spytał major. - Pał już komisariaty czy jeszcze nie? Ja nie żartuję. Zresztą, pewnie już słyszałeś, co się dzieje w innych województwach.

Kapitan skinął głową.

- Kraków też stał się miastem niebezpiecznym - rzekł. - Tak wielu rozbojów, napadów, włamań nie mieliśmy od lat. Mało tego; napastnicy zrobili się nieprawdopodobnie okrutni, znęcają się bestialsko, zwłaszcza nad ludźmi starymi, kobietami czy kalekami. Od niedawna grasuje u nas szajka, o której jeszcze nie wiemy nic, prócz faktów pobicia, rabowania, włamań i tak dalej. Podobno, ale nie mamy na to dowodów, prowodyrem jest młody człowiek o pseudonimie ryby, nie wiem, dorsz, śledź czy coś podobnego. W tej bandyckiej grupie są dziewczyny, idą na wabia. Rozpracowujemy to towarzystwo, ale sami wiecie, jak dzisiaj trudno. Ludzie odmawiają pomocy. Boją się, są zastraszeni. No, a niektórzy stają po stronie przestępców, przeciwko władzy. Taka jest, niestety, prawda.

- Bo wytworzyła się u nas jakaś pogarda prawa - rzekł Szczęsny. - Niezwykle groźna. Czasem nie mogę tego zrozumieć! - Wstał, chodził od okna do drzwi i z powrotem, twarz miał ściągniętą grymasem goryczy i niepokoju. - Pomyślcie, gdyby tak podliczyć, ilu myśmy wykryli i



zatrzymali morderców, gwałcicieli, złodziei wszelkiej maści! Jakim kosztem zdrowia, sił, tych nieprzespanych nocy, wielu dni w napięciu nerwów. Przecież, tak na dobrą sprawę, każdy z nas po iluś tam latach w służbie jest wykończony. Fizycznie i psychicznie. Poczytajcie nekrologi kolegów: czterdzieści lat, czterdzieści trzy, pięć... Oni się uszarpali tak jak my. Tyle, że ich organizm już nie wytrzymał. A dzisiaj, co? Każdy nasz krok napotyka na wrogość, na sprzeciw. Ja nie twierdzę, żeśmy bez skazy. Powiedział jakiś starożytny filozof, że tylko ten się nie myli, kto nic nie robi. Pokażcie mi zresztą jakąkolwiek policję świata, która jest przez swój naród kochana! I wcale nie muszą nas kochać. Ale niech szanują i doceniają to, że zabezpieczamy ich zdrowie, życie, majątek. Niech przynajmniej nie utrudniają roboty.

- Tak - przytwierdził Szczerba. - Czasem myślę, że niektórym ludziom właśnie o to chodzi, żeby w Polsce była anarchia, bandytyzm, a kraj walił się w gruzy. Przerazająca jest taka nienawiść. I taka głupota.

- Ale dla nas jest tylko jedna droga - stwierdził Połoński - robić swoje, choćby kosztem życia. Myśmy kiedyś tam ślubowali przestrzegać praworządności socjalistycznej, chronić życie, zdrowie i mienie obywateli. Także tych nienawidzących. I tych ogłupiałych.

- Wiem - mruknął Szczęsny, - Tylko... czasem jest tak ciężko. Czasem wydaje mi się, że jesteśmy w tej walce kompletnie sami. - Zaciągnął się papierosem i powtórzył: - Cholernie, kompletnie sami.

## **Rozdział 2**

W kawiarni było zacisznie, ciepło i prawie pusto. Początek kwietnia

przyniósł wreszcie oczekiwaną pogodę, piętnaście stopni powyżej zera i słońce. Ze względu jednak na wieczorne chłody kaloryfery jeszcze grzały, chociaż elektrociepłownie goniły resztkami węgla. W kopalniach wciąż wybuchały strajki.

W kącie sali, przy obudowanym boazerią grzejniku, kobieta o ładnej twarzy i gęstych blond; włosach położyła rękę na drewnianej kracie. Czowała miłe ciepło na palcach. Uśmiechnęła się do tego, co mówił siedzący naprzeciw niej mężczyzna wysoki, o bujnych, lekko pofalowanych włosach i szczupłej, rumianej twarzy. Oczy miał duże, ładne, niebieskie.

- Nie wierzysz? - spytał z urazą.

- Ależ tak! Wierzę, że mnie kochasz. Dajesz mi tego dowody. Zresztą, kobieta takie rzeczy; wie - roześmiała się. - Mamy swój własny, nieomylny instynkt.

- Więc dlaczego nie chcesz, żebym przyszedł do ciebie?

- Dzisiaj to jest niemożliwe. Zrozum, Kazik? on miał wrócić już wczoraj. Może przyjechać każdej chwili. Nie chcę tak ryzykować, ja nie mam na to nerwów.

Teraz on się roześmiał.

- Ty i nerwy! Jesteś najspokojniejszą kobietą jaką znam.

- Właśnie dlatego, że nie ryzykuję. W gruncie rzeczy jestem nadmiernie wrażliwa i cenię spokój. Ja wiem, ty jesteś inny. Pewnie dlatego, na zasadzie kontrastów... - Przesunęła palcami po jego włosach, pieszczotliwie” łagodnie. W tej kawiarni nie obawiała się cudzych oczu, które mogły podejrzeć, a potem donieść. Tu, na osiedlu, z dala od śródmieścia, nie mieli żadnych znajomych. - No, rozchmurz się! Przecież byłeś U mnie wczoraj, przedwczoraj, tydzień temu...

- Liczysz! - Zmarszczył brwi. - Może zapisujesz w notesie?

- Kaziu!

- Przepraszam - pochylił się nad jej dłonią”, ucałował kilkakrotnie. - Ale i ty mnie zrozum. Moja żona... co tu zresztą mówić.

- No, więc nie mów. Nie chcę o niej słyszeć. Ja ci też nie opowiadam o moim mężu.

- Masz rację. Cały dramat polega na tym, że ani ty, ani ja nie możemy się rozejść. Jak wiesz, Danuta jest właścicielką baru. Ten szary opel też do niej należy, no i mieszkanie. Wypłaca mi pensję - roześmiał się ironicznie. - Owszem, to nie jest mało, ale ja sam nie mam właściwie nic. A ty...

- A ja - przerwała z naciskiem - mam męża na wysokim stanowisku, z willą, dwoma samochodami, mam pieniądze, biżuterię, futra i to wszystko mogę każdej chwili stracić, gdyby się o nas dowiedział. Wtedy i ja nie miałabym nic.

- Pozostają nam więc tylko takie potajemne spotkania. Smutne Ale cóż począć? Oboje nie jesteśmy stworzeni do biedy. A może jednak?

Przyjrzała mu się z nagle obudzona podejrzliwością.

- Słuchaj, Kaziu. Żeby ci przypadkiem nie przyszło na myśl.

- O czym mówisz?

- Ja nie odejdę od Jacka. Rozumiesz? Pamiętaj, że nie wolno ci nigdy, w żadnym wypadku...

Zachnął się, przerwał niemal oburzony:

- Moniko, znamy się przecież kilka miesięcy, a to niemało. Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? Poza tym, mnie również zależy na moim małżeństwie. Trzeba patrzeć na życie realistycznie. Jeżeli powiedziałem „a

może?”, to był to jedynie odruch - uśmiechnął się serdecznie - zasmuconego serca. Ładnie, prawda? Jak w piosence. Ale musimy już iść.

Monika zahamowała swoje granatowe volvo przed willą, wysiadła, otworzyła bramę prowadzącą do garażu. Spojrzawszy, w ciemne okna na parterze i piętrze stwierdziła z ulgą - a może z żalem, że jednak odmówiła Kazimierzowi iż pan dyrektor, doktor habilitowany, Jacek Kropiński w dalszym ciągu pozostaje w podróży służbowej. Lubiła samotność w wygodnym, eleganckim i zasobnym we wszystko, co chciała, mieszkaniu. Potrzebowała jej tym bardziej, im częściej spotykała się z przystojnym i młodszymi o trzy lata Kazimierzem. Za rok groziła jej czterdziestka, są to lata, kiedy kobieta wymagaj wypoczynku, doskonałych kosmetyków, masaży i starannego przygotowania twarzy, rąk, włosów nie mówiąc już o ubraniu, aby ten młodszy partner nie dostrzegł ani jednej zmarszczki, siwego włosa czy zmęczonych cieni pod oczami.

Myśląc o tym, poczuła raptem znużenie. Randki (banalne określenie) wymagały coraz to większego zachodu. Chwilami miała ochotę zerwać ten kontakt, włożyć zwyczajny domowy szlafrok, pantofle, łązić po mieszkaniu bez makijażu, nie uczesana i na zupełnym luzie. Jacek, jeżeli był akurat w domu, nie zwracał specjalnej uwagi na jej wygląd. Po kilkunastu latach małżeństwa takie rzeczy są łatwo wybaczone. Wymagał natomiast, bardzo stanowczo, aby na przyjęciach czy wizytach, na które szli razem, jego żona prezentowała się jak żadna inna. Kontrolował wtedy przed wyjściem jej uczesanie, suknię, twarz, nałożoną biżuterię, nie darował żadnego niedbalstwa. Monika miała „klasę”, w towarzystwie patrzył na nią z upodobaniem, w domu zajmowały go interesy i własna wygoda.

Więc dobrze, że jeszcze nie wrócił. Można będzie poleżeć w ciepłej wodzie, pełnej aromatycznej piany, bo zagranicznych kosmetyków wysokiej jakości dotąd jej nie brakowało, zadzwonić do którejś z przyjaciółek, rozmawiać długo, popijając kawę, bez obawy, że Jacek zacznie się denerwować, bo on nieustannie „potrzebuje telefonu”. Spokojny, swobodny wieczór. To dobrze?

Zamknęła garaż, podeszła do drzwi frontowych. Tak zwana pomoc domowa z pewnością już odeszła, było późno; z tego też się ucieszyła, chciała być teraz zupełnie sama. Na drzwiach wisiała skrzyneczka do listów, coś w niej białło. Wyjęła pocztę: kolorowe widokówki, rachunek za telefon, kilka listów do Jacka. I koperta, zaadresowana do niej nieznanym pismem Zaciekawiona, weszła do mieszkania, zapaliła światła w holu i w gabinecie męża, potem w jadalni, bo lubiła, kiedy w pokojach było jasno, czuła się wtedy bezpiecznie.

Zdjęła płaszcz, położyła pod lustrem rękawiczki i z listami w ręku powędrowała do gabinetu. Korespondencję do męża oraz rachunek umieściła pod brązowym przyciskiem, usiadła i zaczęła przyglądać się kopercie, przeznaczonej dla niej. Pismo było duże, wyraźne. Nie naklejono znaczka widocznie nadawca wrzucił po prostu list do skrzyneczki na drzwiach. Wyczuła palcami jakieś twarde kartki wewnątrz. Co to może być? - myślała. Oczywiście, najprościej było otworzyć i zobaczyć, ale chciała się pobawić, pozgadywać.

W końcu jej się to znudziło. Rozerwała kopertą! Na biurko wypadły odbitki fotograficzne i dwie kartki, zapisane takim samym pismem jak adres. Popatrzała na zdjęcie, leżące na wierzchu. Jeszcze nie rozumiała, ale poczuła, że skóra cierpnie na niej, a serce zaczyna łomotać gwałtownie.

- Niemożliwe! - wymamrotała. - To przecież...

Po obejrzeniu odbitek nie miała już wątpliwości. Fotografie przedstawiały ją, Monikę Kropińską, w sytuacji całkowicie jednoznacznej. Zamiast jakiegokolwiek odzienia ciało Moniki oplatały męskie ramiona, a twarz tego mężczyzny, zwrócona najbezczelniej w stronę fotografującego, prosto na niego, jakby umyślnie, była bez wątpienia twarzą Kazimierza. W dodatku, te całkowicie intymne sceny działy się tu, w tym mieszkaniu, w jej sypialni i na jej tapczanie. Zauważyła nawet część obrazu, zawieszzonego na bocznej ścianie, róg szafy i piękną alabastrową lampę, stojącą na stoliku przy tapczanie. Żeby zaś wszystko odbywało się w odpowiednim nastroju, obok lampy stały dwa kieliszki.

A najgorsze, że nie był to wcale zgrabny fotomontaż. Monika doskonale pamiętała, takie sytuacje w jej własnym domu powtarzały się nie raz, nie dwa, ale o wiele częściej. Byli jednak wówczas tylko we dwoje z Kaziem, absolutnie tylko we dwoje! Mieszkanie prócz nich zostało przecież wyludnione na ten czas z Jacka, krewnych i znajomych oraz domowej pomocy.

Więc jak! Więc kto?! Nagle przypomniała sobie o kartkach. Nadawca pisał:

„Szanowna Pani! Z pewnością zorientowała się już Pani, kogo przedstawiają załączone fotografie. Stawiam więc sprawę jasno i szczerze: jako pierwszą ratę otrzymam sumę stu tysięcy złotych w używanych banknotach, zaznaczam przy tym, iż z miejsca potrafię rozpoznać falsyfikat. Pieniądze włoży Pani do woreczka z folii, zawiąże lub zaklei, a następnie z nimi pojedzie w najbliższą środę albo czwartek, będzie to dwudziesty drugi lub dwudziesty trzeci kwietnia, w godzinach między

osiemnastą a dwudziestą do kawiarni „Hetmańska” w Wilanowie. Ściślej przed kawiarnię, można tam zaparkować samochód. Następnie, po wyjściu z wozu, przejdzie Pani parę kroków do najbliższej ławki, stojącej na samym początku alei, która prowadzi do pałacu Wilanowskiego. Woreczek z pieniędzmi proszę umieścić pod ławką, a gdyby tak się zdarzyło, że ktoś akurat by tam siedział, proszę poczekać w samochodzie, aż on odejdzie. Po dyskretnym, podkreślam, dyskretnym, żeby nie musiała Pani tego powtarzać, bo i kosztowałyby to drugie tyle, a złodziei nie brak, schowaniu woreczka odwróci się Pani i, nie oglądając, wsiądzie do samochodu, po czym natychmiast odjedzie. Kolejną, ale i ostatnią, ratę, również w tej samej wysokości, chcę otrzymać w I czerwcu, o terminie zawiadomię oddzielnym listem. Po zapłaceniu tej drugiej raty prześlę negatywy zdjęć - wszystkich, bo w mojej dyspozycji są jeszcze cztery podobne. Chyba nie muszę uprzedzać, że w razie zawiadomienia milicji, prokuratury czy kogokolwiek ze znajomych wprowadzę ja pieniędzy nie odbiorę, ale zdjęcia znajdą się na biurku Pani męża, w instytucji, w której pracuje i będą położone tak, aby mogła je również zobaczyć sekretarka, woźna itp. Znam Pani małżonka na tyle, że mogę z dużą dokładnością określić termin Waszego rozvodu, gdybym ja pieniędzy nie dostał”.

Przeczytała uważnie, wolno, słowo po słowie nie wysokość sumy, lecz ostatnie zdanie najbardziej ją zastanowiło. „Znam Pani małżonka...” A więc któryś z kolegów Jacka! Ale jak, w jaki sposób?

Drgnęła, bo zadzwonił telefon. Nie chciała odbierać, ale mógł to być mąż. Może już wie? Podniosła słuchawkę.

- Moniko, jesteś sama? - wzburzony szept Kazimierza. Kiedy potwierdziła, oznajmił jej, ni mniej ni więcej, że w swojej skrzynce do

listów znalazł...

- Już wiem - przerwała mu.

- Więc ty też dostałeś?

Nie chciał, aby mówiła o tym przez telefon. Prosił, aby natychmiast wyszła do pobliskiej kawiarenki, jeżeli tylko jest sama. Ubrała się więc, kopertę z listem i zdjęciami wsunęła do torebki i wybiegła z domu. Po kilkunastu minutach do jej stolika podszedł zdyszany Kazimierz.

- Gnałem pieszo, bo akurat me miałem samochodu, a taksówki też żadnej...

Usiadł, wyjął z kieszeni taką samą kopertę. Ostrożnie, rozglądając się dokoła, pokazał zdjęcia. Były takie jak jej. Tylko treść załączonego listu nieco inna. Szantażysta domagał się zaledwie dwudziestu tysięcy złotych, widać znał sytuację finansową adresata. Natomiast data, miejsce i sposób wręczenia pieniędzy identyczne.

- Słuchaj, czy podejrzewasz kogoś ze znajomych twego męża? - spytał tak zdenerwowany, że biorąc cukier do kawy rozsypał połowę na stoliku.

- Nie. Nie wiem jeszcze, muszę się zastanowić. Dla mnie najbardziej zastanawiające jest to, w jaki sposób te zdjęcia zostały zrobione?

Kazimierz myślał przez chwilę z napięciem, a potem odparł:

- Właściwie jest tylko jedna możliwość. Ktoś, kto bywa w waszym domu, niepostrzeżenie umieścił w twojej sypialni aparat.

- Ale przecież aparat fotograficzny, to nie bomba zegarowa, którą nastawia się na czas! - wykrzyknęła zirytowana i zaraz umilkła, bo położył palce na ustach.

- Nie orientuję się w technice fotografowania, ale... słuchaj, czy okna



były wtedy zasłonięte?

- Na pewno. Zresztą spotykaliśmy się wyłącznie w nocy, a zawsze wieczorem zaciągam zasłony.

- Przychodzi mi do głowy - zaczął z namysłem - że można robić zdjęcia z podczerwieni, kiedy obiekt fotografowany pozostaje w zupełnej ciemności lub też w słabym oświetleniu. Jeżeli dobrze pamiętam to, co kiedyś czytałem w czasopiśmie naukowym... albo w jakiejś książce, mniejsza o to, więc była tam mowa również o robieniu zdjęć nawet z dużych odległości. Gdzieś, chyba w Anglii, służba śledcza robiła właśnie za pomocą podczerwieni zdjęcia złodziei, włamujących się nocą do sklepu na nie oświetlonej ulicy.

- Z tego sędzę - powiedziała Monika - że ktoś nas podpatrzył. Może był to lokator z tego domu naprzeciwko willi, albo jeszcze dalej. No i wykonał zdjęcia, a nawet cały film.

Przejął ją dreszcz strachu, pobladła. Kazimierz spoglądał na nią ze współczuciem i zamówił u kelnerki koniak.

- Nie ma - odparła obojętnie.

- No to wódkę! - zniecierpliwił się.

- Wódka jest Ile?

- Dwa razy po setce. Ja też się napiję.

Był nie mniej zdenerwowany niż jego towarzyszka, ale nadrabiał miną. Wypili, przegryzając ciastkami, tylko taką „zakąskę” mieli w kawiarni.

- Znasz kogoś z tego domu naprzeciw willi! - spytał cicho.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Z osób, które od czasu do czasu bywały w domu państwa Kropińskich, na ich uliczce nie mieszkał nikt.

-; Kaziu, a jeżeli to ktoś z twoich znajomych?

- Wykluczone! Mówię to z całą stanowczością.

- A twoja zona? - Pytanie padło niespodziewanie, sama Monika zadała je jakby wbrew sobie i poczuła przykre zaskoczenie. Po chwili milczenia Kazimierz potrząsnął głową.

- Nie. W równym stopniu ja mógłbym zapytać: a twój mąż?... Danutę i Jacka powinniśmy wykluczyć z podejrzeń. Każde z nich, gdyby coś wiedziało i chciało nas złapać *in flagranti*, mogłoby to zrobić o wiele prościej, wchodząc niespodziewanie do mieszkania. No i oczywiście nie żądaliby pieniędzy, bo oboje dobrze wiedzą, że ich nie mamy. Właśnie, skąd weźmiesz te sto tysięcy?!

- Sprzedam część biżuterii - odparła bez namysłu. - Sam naszyjnik wart jest z osiemdziesiąt. Jubiler pewnie wyceni poniżej wartości, ale ja umiem się targować - uśmiechnęła się. - Do czerwca jakoś zbiorę resztę.

Nie pytała, skąd on weźmie nałożony mu haracz. Był mężczyzną, powinien dać sobie radę.

- Chyba za łatwo godzimy się na ten szantaż! - wybuchnął nagle i, przestraszony, ściszył głos. - Słuchaj, nie mówiłem ci o tym nigdy, ale ja mam broń. Pistolet. Zrobimy tak: włożysz do woreczka gazety... nie, lepiej jednak pieniądze, na wszelki wypadek, gdyby mi się nie udało. Ja też zrobię to, czego chciał szantażysta. Pojedziemy do Wilanowa, powiedzmy, we środę dwudziestego drugiego, tak, żeby tam być około godziny dziewiętnastej. On nie może zbyt długo zwlekać z odbiorem, bo, jak ktoś zauważy nasze machinacje przy ławce, zaciekawi się i dobierze do forsy. Więc musi ją zabrać jeszcze tego wieczoru. Sądzę, że będzie siedział w samochodzie niedaleko kawiarni. I chyba już od osiemnastej.

- Mamy razem jechać?

- Nie, lepiej oddzielnie. Zresztą, możemy jechać w małej odległości samochód od samochodu. Ty pojedziesz pierwsza, ja za tobą.

- Dlaczego? - Niepokoił ją ten plan, właściwie wszystko było ryzykowne. Poza tym, wcale nie miała pewności, czy Jacek albo Danuta nie są w to jednak wmieszani. Bała się męża i rozwodu, chciało jej się płakać.

- Dlatego, że ty umieścisz woreczek pod ławką i odjedziesz. Ja to zrobię w kilka minut później, ale odjadę tylko pozornie. Ukryję wóz za budynkiem restauracji „Wilanów” i wrócę pieszo, bardzo ostrożnie, od strony pałacu. O tej porze jest już zupełnie ciemno. Zaczaję się niedaleko. Kiedy jakiś mężczyzna zbliży się do ławki i sięgnie pod nią, to będzie oczywiste, że to właśnie on.

- A jeżeli to ona? - przerwała nagle.

- Jaka ona? - Nie zrozumiał, potem zachnął się gniewnie: - Mówiłem ci przecież, że to idiotyzm podejrzewać Danutę!

- Nie chodzi mi o twoją żonę, ale szantażystą może być kobieta.

- I co z tego? To nawet lepiej. Jakby zobaczyła broń, zaraz by dała nogę.

- Więc co zrobisz, jeżeli to będzie mężczyzna?

- Nie wiem jeszcze dokładnie, ale wyciągnę pistolet, może udam milicję, powiem: „ręce dp góry!”, coś w tym rodzaju. Metodą zaskoczenia, rozumiesz?

- Zrobisz idiotyczny błąd - powiedziała z ironią. - Szantażysta ucieknie i cała historia zacznie się od nowa. U nas będą pieniądze, a u niego zdjęcia. Wymyśl coś lepszego. Przecież nam chodzi nie tylko o to,

żeby pieniądze nie przepadły, ale przede wszystkim o negatywy i zdjęcia. On może wcale nie mieć ich przy sobie, bo po co by woził. Wyraźnie napisał, że dopiero po zapłaceniu drugiej raty.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, w jego wzroku był nieklamany podziw.

- Jesteś mądrą kobietą - szepnął. - Rzeczywiście, trzeba to jakoś inaczej... trzeba inaczej rozegrać. Więc, powiedzmy, tak: pod groźbą pistoletu zmuszę go do...

Znowu przerwała:

- A jak on też ma broń? Może ciebie zmusić, do czego będzie chciał. Na nic taka robota. Zamyśliła się, zmartwiła i rozgniewana. Kazio, ten jej ukochany, śliczny chłopak, okazał się durniem i to w dodatku bezradnym. Coś takiego musiało odbić się na jej twarzy, bo „dureń” spłonął rumieńcem wstydu, a potem pobjął, widocznie podjął męską decyzję.

- Moniko - rzekł, patrząc jej głęboko w oczy - zaufaj mi!

- Co to znaczy? - jakby ocknęła się, spojrzała na niego z niechęcią.

- Zgódź się na mój plan. Zrób to, co mówiłem. Ja sobie z nim poradzę, kimkolwiek jest. W ostateczności... zastrzelę go...

- Zwariowałeś! - przeraziła się. - Czy ty w ogóle masz naboje do tego pistoletu? - nie spytała, czy umie się nim posługiwać, wiedziała, że odsłużył swoje w wojsku.

- Idziemy! - Wstał energicznie, rozejrzał się za kelnerką, zapłacił rachunek. Kiedy wyszli na ulicę, rzekł ostrym, stanowczym głosem: - Pamiętaj, we środę, o siódmej wieczorem przed „Hetmańską”. Musimy to zrobić, innego wyjścia nie ma. - Ucałował ją i odszedł tak spieszenie, że nie zdążyła już nic powiedzieć.

\*

Jacek wrócił następnego dnia, ale w poniedziałek znowu wyjechał. Monika była zadowolona, że go nie będzie w tę nieszczęsną środę, której bała się jak ognia. Udało jej się sprzedać dość korzystnie naszyjnik i pierścionek. Więc, choć z żalem, włożyła do woreczka foliowego sto tysięcznych banknotów, pamiętając, aby były używane. W tym celu musiała część z nich pomiętosić w palcach i zabrudzić kurzem, którego w Warszawie nigdzie nie brakuje.

O wpół do siódmej wieczorem, ubrana ciemno i skromnie, sama nie wiedziała dlaczego, ale wydawało jej się, że tak będzie bardziej odpowiednio, ściskając w ręku dużą torbę, a w niej pieniądze, wsiadła do swego volvo i ruszyła w stronę Wilanowa. Z Kazikiem mieli się spotkać dopiero w pobliżu Instytutu Psychoneurologicznego u skrzyżowania alej - Sobieskiego i Wilanowskiej.

Wieczór był chłodny, cały dzień wiał ostry wiatr, który przyniósł opady śniegu. Stopniał szybko, pozostawiając mokre i śliskie jezdnie.

Szarego opla-record dojrzała już z daleka. Stał przy skrzyżowaniu, rzucając światła reflektorów na mały lasek obok szpitala. Podjechała wolno, zobaczyła Kazimierza za kierownicą, uniósł rękę w powitalnym geście i pokazał, że ma jechać pierwsza.

W pobliżu kawiarni „Hetmańska” nie było o tej porze i w taką pogodę żadnych samochodów. Tylko trzy parkowały dalej, przed restauracją. Przyszło jej na myśl, czy w którymś z nich nie siedzi szantażysta. Przez moment zapragnęła podjechać i przyjrzeć się twarzom kierowców, ale zaraz rozmyśliła się. Prawdopodobnie zresztą wozy były puste, a ich właściciele zabawiali się w lokalu. Wsiadła, trzęsąc się z

chłodu i strachu. Kazimierz dojeżdżał właśnie do kawiarni. Wyjęła z torby woreczek z pieniędzmi, podeszła do pierwszej ławki. Nikt na niej nie siedział, w ogóle cała alejka była ciemna i wyludniona. „Wybrał sobie dobre miejsce!” - pomyślała z nagłą złością. Tyle pieniędzy tracić! Schyliła się, wsunęła woreczek pod ławkę. Miała ogromną ochotę poczekać na Kazia, a jednocześnie bała się, że naprawdę dojdzie do strzelaniny, a wtedy zjawi się milicja, spytają, co ona tu robi... Nie! Za nic.

Nie oglądając się już wsiadła do samochodu i odjechała. Umówili się z Kazimierzem, że zadzwoni on do niej, kiedy będzie po wszystkim. A jeżeli tamten go zastrzeli?... Spociła się ze strachu, dodała gazu i gnała aleją Wilanowską, zwolniła dopiero bliżej śródmieścia. Wchodząc do mieszkania od razu wpadła do gabinetu, bo zdawało jej się, że dzwoni telefon. Ale aparat milczał. Przez całą noc nie spała, chodziła po pokojach, nadśluchiwała dzwonek, telefonu albo do drzwi, daremnie. Dopiero nad ranem, kiedy w mieście zaczynał się już ruch zwykłego dnia, odezwał się telefon. Bez tchu przypadła do niego, podniosła słuchawkę, przygotowana na najgorsze.

Kazimierz mówił cichym, schrypniętym głosem, ledwie go mogła zrozumieć.

- Nie mam pojęcia, jak to się stało! Czekałem najpierw w pobliżu ławki, dobrze ukryty w krzakach. Chyba ze dwie godziny, aż skostniałem z zimna I nikt nie podszedł Więc wróciłem do mojego wozu, żeby się trochę rozgrzać. Po kwadransie, w czasie którego nie spuszczałem z oka ławki, tyle że z daleka, ale widziałem ją doskonale, zaraz po twoim odjeździe zapaliła się latarnia przed kawiarnią... więc po piętnastu minutach znowu podszedłem okrężną drogą i stałem tam może godzinę. Wtedy coś mnie

tknęło. Zajrzałem pod ławkę, nie było ani twoich, ani moich pieniędzy!.

- Musiał je zabrać, kiedy siedziałeś w wozie - powiedziała.

- Ale jak? Przecież widziałem tę ławeczkę bardzo wyraźnie, człowiek nie mucha! - chrypiał rozpaczliwie. - Nie rozumiem, gdzie on był, którędy podkradł się, jakim samochodem odjechał. Może szedł pieszo, potem wsiadł do autobusu, albo mieszka gdzieś w pobliżu. Przepadły nasze pieniądze, a ja dostałem grypy.

- Trudno. Stało się. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na drugie listy. Zbieraj gotówkę.

- Już nie mam takich możliwości - wyjęczał. - Chyba będę musiał poprosić żonę. Powiem, że stare długi, coś wymyślę. Słuchaj, na razie nie możemy się spotykać. Zadzwońię do ciebie, kochanie.

\*

Myślała o tym, co zaszło, przez cały dzień. Długi, męczący dzień, który włókł się beznadziejnie. Nie mogła zasnąć, chociaż nie spała przecież w nocy, więc wypila trzy filiżanki mocnej kawy, parę kieliszków koniaku, ręce jej się trzęsły, piekły oczy. Wciąż me potrafiła pozbyć się strachu. Ciągle zastanawiała się, kim jest szantażysta, podstawiała pod tę tajemniczą postać różnych znajomych, kolegów Jacka z instytucji - tych, których znała osobiście i tych ze słyszenia.

Wyszła nawet do pobliskiej księgarni, znalazła jakieś naukowe dzieło o podczerwieni, ale próżno usiłowała cokolwiek zrozumieć. Była tam, owszem, mowa o fotografowaniu w ciemnościach i z daleka, za pomocą bardzo, jak sądziła, skomplikowanych aparatów. Więc może ten człowiek, to inżynier? Technik? Fotograf? Żadnych fotografów nie znała. Inżynierów chyba kilkunastu, techników mniej.

Krażyła po mieszkaniu, przeprowadzana zdziwionym spojrzeniem pomocnicy domowej, obiadu prawie nie tknęła. Bała się, żal jej było straconych pieniędzy, ale nie tylko to ją gnębiło. Mówiła sobie - może zerwać z Kaziem. I jak przedtem chwilami tego pragnęła, zmęczona nieustannym „stanem pogotowia” swej kobiecości, tak teraz poczuła, że nie potrafi i nie chce!

Usiadła przed lustrem, z uwagą przyglądając się swojej twarzy. Była zmęczona, blada, to normalne po tym, co przeszła, ale nie o to chodziło. Zimne, krytyczne oko Moniki dostrzegało coraz liczniejsze zmarszczki, coraz wyraźniejsze fałdy na szyi - znak, że młodość minęła i nic nie jest w stanie jej przywrócić. Zerwanie z Kazimierzem mogło oznaczać w ogóle koniec wszelkich przygód, romansów na boku, które tak bardzo lubiła.

Co jej wówczas pozostanie? Niemrawe starzenie się u boku męża, pusty ciągle dom - dzieci nie mieli, a teraz było już na to za późno - nuda. I powolne czekanie na to ostatnie, co zawsze kiedyś przychodzi. Monika nie miała żadnych zainteresowań poza tym, co określała jako „wesołą treść życia”. Wizyty, zabawy, wyjazdy za granicę, flirty i przygody, modny strój, ładna fryzura. To był jej świat, innego nie chciała.

A gdyby - myślała, paląc nerwowo któregoś z rzędu papierosa - w jakiś sposób odnaleźć tego szantażystę, porozmawiać z nim. Może doszliby do porozumienia. Ba! Ale jak do niego dotrzeć? Dokąd napisać?

Postanowiła, że kiedy przyjdzie drugi list, pojedzie w wyznaczone miejsce sama, bez Kazimierza. Jakoś mu to wytłumaczy. I będzie czekała na tego człowieka. Znajdzie go, żeby nie wiem co. Tak robi.

\*

Mała grymasiła, nie chciała iść spać. Profesor Marusz po raz któryś z



rzędu doszedł do wniosku, że łatwiej jest prowadzić uniwersyteckie wykłady, niż zmusić sześciolletnią latorośl do snu. Opowiadanie bajek bojkotował, będąc zaprzysiężonym racjonalistą, śpiewać nie umiał, a kiedy raz spróbował, mała wyraziła stanowczy protest. - Lepiej nastaw radio! - powiedziała.

Dwa razy w tygodniu żona profesora, z zawodu lekarz-stomatolog, miała dyżury w szpitalu, wracała o północy. W takie wieczory profesor dokładał wszelkich starań, aby Gosia przyzwoicie zjadła kolację, umyła się i poszła spać. "Dobranocką" gardziła, uznawała tylko niedzielną pszczołkę Maję i kreta.

- Idźże wreszcie się myć! - zawołał niecierpliwie. - Popatrz na zegar, już bardzo późno.

Dziewczynka zsunęła się z krzesła, powędrowała do łazienki. Zaraz jednak usłyszał stamtąd jej wesoły okrzyk:

- Tata! Chodź, zobacz. W wannie siedzi Tekla i gra na skrzypcach!

- Co to dziecko wygaduje - szepnął. Nie oglądał pszczołki Mai i widok pająka na dnie wanny nie wywołał w nim żadnych skojarzeń. Splukał go wodą, wykapał opierającą się, rozdokazywaną Gosię, zaniósł do łóżka. Kiedy zasnęła, przez chwilę walczył z pragnieniem wymknienia się z domu, na brydża. Za bardzo jednak kochał małą, aby pozostawić ją samą w mieszkaniu.

Ale tego wieczoru pani profesorowa wróciła wcześniej, mógł więc swym pragnieniom uczynić zadość. Na brydża schodzili się zazwyczaj u tego, który miał akurat „wolny dom”. Mogli wtedy trochę hałasować, kłócić się. Gospodarz przyrządzał jakieś kanapki, jeżeli miał z czego, parzył kawę lub herbatę.

Marusz spóźnił się prawie o godzinę, ale grali zawsze w piątkę, był więc od razu pierwszym wychodzącym. Natrafił na zażartą kłótnię pomiędzy inżynierem Węclawskim i jego partnerem, mecenasem Biejczakiem. Dwaj pozostali - gospodarz lokalu, inżynier Chęcki, i „prywatna inicjatywa”, Pasowski, czekali cierpliwie, aż tamci skończą i gra potoczy się dalej. Marusz usiadł z boku, posłuchał. Jak zwykle, mecenas rugał inżyniera, który wyszedł mu nieprawidłowo i przegrali robra. Skończyła się pierwsza tura, następnym wychodzącym był Węclawski.

- Adam, można ci pogratulować nagrody? - spytał Chęcki, stawiając przed profesorem filiżankę z kawą.

- Jakiej nagrody? - zainteresował się Biejczak.

- Jak to, nie słyszeliście? Marusz dostał przecież piękną sumkę w zielonych! - zaśmiał się Chęcki. - Nagroda z Instytutu Elektroniki, nazwy nie pamiętam, ale w New Bedford w stanie Ohio. Dobrze mówię, Adaś?

- Dobrze - uśmiechnął się Marusz.

- Ile to było, przyznaj się stary?

- Sporo. Ponad dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Gratuluję! - mecenas wyciągnął do niego rękę, uściśnął mocno. Lubił zamożnych przyjaciół. - Zanim zaczniemy robra, powiem wam o pewnym interesującym zakładzie. Jest taki facet, nazywa się całkiem zwyczajnie Kowalski, i waży sto ileś tam kilo. Grubas niesamowity. Otóż byłem niedawno w towarzystwie i on też się tam znalazł. A chłop strasznie lubi się zakładać i zazwyczaj wygrywa. Założył się wtedy, że w ciągu dwóch dni schudnie dziesięć kilo. Nikt w to nie wierzył, zakład przyjęło aż czterech znajomych. Poszli wszyscy do apteki, gdzie była waga, Kowalski

wlaził, tamci wspólnie odczytali: sto trzydzieści sześć. Po, dwóch dniach znowu tam się spotkali, grubas znowu wszedł na wagę i, wyobraźcie sobie, ważył dokładnie dziesięć kilo mniej.

- Zupełnie nieprawdopodobne - odezwał się Marusz.

- Wygrał cztery zakłady od razu, zagarnął parę ładnych tysiączków. Mnie to nie dawało spokoju. Nie byłem bezpośrednio zainteresowany, więc zaprosiłem faceta na wódkę, a kiedy - „dojrzał”, pytam, jak to zrobił. Obiecałem mu zachowanie tajemnicy przed tamtymi. Wtedy się przyznał, że jak za pierwszym razem wszedł na wagę, miał wszyte w szelkach ołowiane ciężarki. Dlatego w szelkach, bo kieszenie sprawdzali, no, a szelek nie macali.

- Panowie, gramy! Kaziu, ty siadasz z profesorem. Ja mam zaszczyt grać z mecenasem, tylko bez wymyślań, bo nie lubię.

„Prywatna inicjatywa” przeczesał palcami bujne, sfalowane włosy i uśmiechnął się do Marusza.

- Proszę i mnie pozwolić sobie powinszować: nagrody - powiedział Węćławski. - Wyjedzie pan pewnie do Stanów, aby ją odebrać?

- Ja już odebrałem - odparł profesor. - Tuj mi wręczono.

- Nie gadać! Grać. Węćławski długo spod oka przyglądał się laureatowi, rozważając coś w duchu. Miał końską, suchą twarz z krótko strzyżoną brodą i oczy zwykle przymrużone, obserwujące wszystkie i wszystko z naprężoną uwagą. Marusz spojrział na niego raz i drugi, w końcu zdenerwował go ten uporczywy wzrok, przeszkadzał w grze. Znali się z inżynierem z różnych narad w NOT i sporadycznych konferencji w ministerstwie. Znali i nie lubili, choć gdyby każdego z nich zapytać o przyczynę, nie umiałby jej podać. Są takie antypatie, na pozór niczym nie

uzasadnione, jakby jakaś ukryta siła odpychała od siebie dwoje ludzi. Zwierzęta obwąchują się wtedy nieufnie i warczą, szczerząc kły. Człowiekowi taka szczerłość nie przystoi, choćby miał na nią ochotę.

\*

Dochodziła dziesiąta wieczór. Pani doktor Maruszowa znów miała dyżur w szpitalu. Gosia spała swym mocnym, dziecięcym snem, a profesor ślęczał nad korektą artykułu do czasopisma naukowego. Od czasu do czasu sięgał to po szklanekę z herbatą, to po papierosa, rad, że małżonka jest nieobecna, gdyż z pewnością schowałaby mu papierosy i zamknęła na klucz, do następnego dnia. Oczywiście miał kilka zapasowych paczek, ukrytych w schowku na pawlaczu, ale musiałby wówczas poczekać, aż Jadwiga zaśnie. Niestety, sen miała lekki i zapach dymu zwykle budził ją, nawet, jeżeli palił w kuchni czy łazience. Dbała o jego zdrowie, przyrządzała surówki, których nie cierpiał, i przynosiła z apteki witaminy, łykał kilka tabletek naraz, aby mieć z tym spokój.

A mimo to, bardzo się kochali. Stwierdził to teraz, zaciągając się papierosem, gdyż miał - niewielkie zresztą - wyrzuty sumienia. Poczul nagle, że bardzo trudno byłoby mu żyć bez niej. Potrzebował jej obecności, opieki, nawet jej zrzędzenia, które zresztą puszczał mimo uszu. Myślał tak o tym, odpoczywając od korekty, kiedy u drzwi rozległ się dzwonek.

- O tej porze? - zdziwił się. Jakiś spóźniony gość. Albo pomyłono drzwi, w korytarzu panowały ciemności, odkąd administracja przestała dostarczać żarówki. W sklepach też ich nie było, a na bazarze sprzedawano za potrójną cenę.

Profesor wstał, przytknął drzwi od śpiącej Gosi i poczłapał do

przedpokoju. Zerknął przez wizjer, ale nic nie zobaczył.

- Kto tam? - spytał nieufnie.

- Ze szpitala, od pani doktor - odparł męski głos, trochę przytłumiony, może facet miał katar. - List przyniosłem.

- List? - zdumiał się Marusz. - Przecież mogła zadzwonić.

- Ja tam nie wiem - mruknął posłaniec. - Widać nie mogła.

Nagle profesor przestraszył się, że z żoną coś się stało. Szybko otworzył, a wtedy krzyknął, serce podeszło mu do gardła. W mdłym świetle lampy z przedpokoju dojrzał czyjąś straszłą, białą twarz, połyskiwały w niej szparki oczu i wąska szczelina ust. Uczuł potężne uderzenie w głowę, potem jeszcze jeden cios. Upadł, przewracając stolik, którego chciał się uchwycić. Potem była już tylko ciemność, dalekie dzwony - i cisza.

Wracał z tego czarnego niebytu bardzo powoli, jakby ledwie powłócząc nogami. Ktoś koło niego mówił, ktoś próbował wlewać mu do ust coś gorzkiego, ale tylko zwilżył wargi. Poczł ukłucie w ramię, znowu mroczna otchłań i cisza.

Ocknął się pod wpływem dotknięcia czyichś rąk na czole, poznał te ręce, były swojskie i dobre.

- Jadzia - wymamrotał już spokojny, że kiedy jest przy nim, wszystko będzie dobrze.

- Spij -, usłyszał jej szept Nagle opanował go lęk, przez chwałę nie mógł sobie przypomnieć o kogo potem powiedział wyraźnie:

- Gosia?

- Jest cała i zdrowa. Jutro do ciebie przyjdzie. Spij.

W dwa dni później profesor znajdował się jeszcze w szpitalu, ale

wstawał już i spacerował, choć z pewnym wysiłkiem. Uderzenie w głowę pozbawiło go wprawdzie przytomności, lecz nie wywołało wstrząsu mózgu, o co najbardziej bała się doktor Jadwiga i jej koledzy. Pozwolono też, aby odwiedził go oficer milicji, zastrzegając jedynie, iż rozmowa ma być krótka i „nie denerwująca pacjenta”.

Okazało się jednak, że Marusz przyjął kapitana Kręglewskiego nawet z ochotą. Sądził bowiem, że śledztwo wyjaśni sprawę napadu i kradzieży. Zginęło nie tylko dwadzieścia tysięcy dolarów, naiwnie schowane w szafie z bielizną, ale biżuteria żony, bardzo cenna jako stara pamiątka rodzinna: obrączki rodziców z grubego, dukatowego złota, broszka ze szmaragdem i pierścionek z dwoma brylancikami i piękną perłą w środku.

Kręglewski usiadł z profesorem w gabinecie stomatologicznym, wypożyczonym na ten cel przez panią Jadwigę. Kapitan poczęstował pacjenta papierosem, a Marusz, obejrzawszy się na drzwi, przyjął skwapliwie i zapalił. Opowiedział potem, co mu się wydarzyło, choć nie było to wiele: rozmowa z rzekomym posłańcem przez drzwi, potem moment, może dwie sekundy, kiedy ujrzał jakąś potworną twarz zupełnie białą, z wąskimi otworami na oczy i usta... No i silny cios w głowę. To wszystko. Z relacji żony, kiedy już uznała, że jego stan psychiczny na to pozwala, dowiedział się dalszych szczegółów. Zadzwoiła do niej, do szpitala, sąsiadka z wyższego piętra, która wracając do domu zobaczyła uchylone drzwi mieszkania Maruszów Weszła zdziwiona ciszą. Profesor leżał nieprzytomny, z potężnym guzem na głowie, natomiast na pierwszy rzut oka nie sposób było dostrzec śladów buszowania po pokojach. Widocznie złodziej działał ostrożnie i z wprawą. Nie miał zresztą większych trudności ze znalezieniem łupu: dolary w bieliźniarce, biżuteria

w koszyczku pod lustrem.

Kapitan słuchał tego, co mówił profesor. Nie znał dotąd jedynie tej krótkiej, pierwszej sceny, resztę znał dobrze, zarówno z zeznań sąsiadki, a następnie doktorowej, która przybiegła przerażona z dyżuru, jak i z oględzin mieszkania.

- To była maska ta straszna twarz - powiedział w pewnej chwili. Dlatego napastnik miał stłumiony głos. Czy me zdążył pan zauważyć czegoś więcej? Szczegółów ubrania, butów?

Marusz potrząsnął głową. Na obuwie nie patrzył, okrycia po prostu nie zdążył zapamiętać, wszystko działo się tak błyskawicznie.

- Jakiego wzrostu był ten człowiek?

- No, chyba mojego. Tak, dość wysoki.

- Czy miał coś w ręku?

- Oczywiście, tak! - wykrzyknął z irytacją. - Przecież tym czymś mnie uderzył. Ale ja nie widziałem, co to było. Pewnie Tom albo pistolet.

Kręglewski uśmiechnął się, jego wesołe, jasne oczy zamigotały.

- Niech pan się cieszy, że ani jedno, ani drugie. Najprawdopodobniej pończocha pełna piasku. Bardzo stara metoda złodziejska, dziś już właściwie nie stosowana.

- Pończocha? - Profesor był wyraźnie urażony. Umilkł, wzruszył ramionami. - Znalazł pan jakieś ślady w mieszkaniu?

- Właściwie żadnych - odparł oficer wymijająco - Kto wiedział o tym, że otrzymał pan nagrodę w dolarach?

- No, sporo osób. Nie robiłem z tego tajemnicy. Cieszyło mnie takie wyróżnienie. Wiedzieli moi koledzy z instytutu, brat, jego żona, jeszcze tam pewnie ktoś z rodziny.

- A dziecko?

- Gosia? - Marusz roześmiał się. - Ona przecież jeszcze nie rozumie, co to są dolary. - A swoją drogą, ma dziewczyna zdrowy sen! Zbudziła się dopiero, jak moja żona przyszła ze szpitala.

- Proszę mi powiedzieć, kto wie o regularnych dyżurach pańskiej żony? Jest pan wówczas sam w domu, dziecka nie licząc.

- Cóż, wiedzą w szpitalu. No i tak samo: rodzina, znajomi. Ten łobuz specjalnie wybrał taki moment, kiedy jestem sam? - Tak pan sądzi? - Marusz zamyślił się głęboko. Wciąż go uwierała myśl, że okazał się tak bardzo nieodporny na pończochę. Kręglewski jakby to wyczuł, i rzekł z powagą:

- Metoda „na pończochę z piaskiem”, bywała już śmiertelna, jeżeli napastnik uderzył w skroń. Miał pan szczęście.

- Powiedzmy. Straciłem całą nagrodę, a żona pamiątkową biżuterię.

- Zawsze mogło być gorzej. Jest pan już prawie zdrowy, dziecku nic się nie stało, to najważniejsze. My z naszej strony zrobimy oczywiście wszystko, aby wykryć sprawcę i odzyskać dla was stracone mienie. - Wstał, ściągnął brwi, twarz miał teraz chmurną. - Nie mamy dzisiaj łatwej pracy - dodał ciszej.

Marusz patrzył na niego przez chwilę, potem wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Życzę nie tylko odnalezienia złodzieja, naszych pieniędzy i biżuterii - rzekł przyjaźnie. - Życzę większej życzliwości i zrozumienia dla waszej pracy. To wam się przecież należy.

### **Rozdział 3**



Następny list otrzymała Monika drugiego czerwca. Tak, jak poprzednio, wrzucono go do skrzyneczki na drzwiach willi, widać nadawca nie dowierzał usługom pocztowym. Nie było w nim żadnego zdjęcia i tylko jedna kartka:

„Czas uregulować drugą ratę: sto tysięcy złotych. W poniedziałek ósmego bieżącego miesiąca, między godziną 10 a 11 wieczorem, pojedzie Pani na Pragę, na ulicę Obrzeżną, numer domu szesnasty. To wieżowiec 12-piętrowy, nowe osiedle. Mieszkania są po obu stronach każdej klatki schodowej, systemem korytarzowym, jak w hotelu. Na siódmym piętrze skręci Pani w lewy korytarz, dojdzie do ostatnich drzwi, również po lewej stronie. Będzie tam na nich tabliczka z napisem: »Mgr Waław Borejko«. Pieniądze, zapakowane w torbę z uchwytem, proszę powiesić na klamce, po czym natychmiast odejść. Nie dzwonić, nie stukać, bo i tak nikt nie otworzy, dopóki Pani będzie w tym domu. Wkrótce potem dostarczę negatywy i podziękowanie.»

Ostatnie słowo wzburzyło ją i rozgniewało.

- Bezczelny sk...n! - wykrzyknęła. - Ażeby cię cholera wzięła.

Na ogół Monika starała się być elegancka, zarówno w zachowaniu, jak i w mowie. Czasami jednak wyłaziły z niej dawne przyzwyczajenia. Znajdowała się zresztą sama w mieszkaniu, Jacek nie wrócił jeszcze z instytutu. Opuściła rękę z listem na kolana, westchnęła ciężko. Skąd wziąć kolejne sto tysięcy? Nie mogła sprzedać całej biżuterii; już i tak mąż dwukrotnie pytał, co się stało z naszyjnikiem, dostała go jako prezent w dziesiątą rocznicę ślubu. Bąknęła coś tam, że w naprawie, bo zepsuł się zameczek. Może potem zapomni, postara się kupić podobny z wyglądu,

choć oczywiście ze sztucznej biżuterii, widziała coś takiego w sklepie „Jablonexu”. Jeżeli nie przyglądać się dokładnie...

Tak, ale co teraz? Do poniedziałku miała siedem dni. Bardzo mało, aby wytrzasnąć skądś taką sumę. Chciała wierzyć, że trzeciego listu już nie będzie, choć po trochu zaczynała w to wątpić. Chodziła po mieszkaniu, przygryzając wargi i marszcząc cienkie, starannie wytuszowane brwi. Spoglądała to na kredens ze starą porcelaną, to na obrazy, zamyśliła się nad srebrnymi świecznikami, ale to wszystko nie wchodziło w rachubę, Jacek natychmiast zauważył „ubytek mienia”, jak to kiedyś określił z irytacją. Zdarzyło jej się bowiem podarować kolejnemu przyjacielowi piękną japońską filiżankę ze spodkiem, bardzo cieniutką, można było przez nią patrzeć niemal jak przez szkło. Wyznała mu wtedy ze skruchą, że upuściła na podłogę i rozbiła cacko w drobny mak. Uwierzył, ale zbeształ.

Tak rozmyślając, weszła w końcu do gabinetu i usiadła za starym, palisandrowym i ogromnym biurkiem. Jacek kupił je za bezcen od znajomego, który wyemigrował z jakichś tam przyczyn. Dokupił potem fotel klubowy, wybity brązową skórą i pokój nabrał nobliwego wyglądu pomieszczenia człowieka uczonego, myśliciela itp. Wskazywały też na to regały z mnóstwem książek, od podłogi do sufitu.

Monikę nie interesowało ani biurko z fotelem, ani książki. Zaglądała do nich rzadko. Teraz bezmyślnie wodziła wzrokiem po ścianach, po biurku, po szufladach. Wyciągnęła jedną, potem następną. Mnóstwo tani było dokumentów, rachunków, trochę listów urzędowych, paszport Jacka, książeczka PKO. Wzięła ją do ręki, spojrzała na ostatni zapis. Dwanaście tysięcy... Barachło. Sięgnęła głębiej i wyciągnęła książeczkę czekową. W środku znalazła małą karteczkę z Oddziału NBP, informującą o aktualnym

stanie konta.

Przeczytała i serce jej zabiło żywiej. Dwieście czterdzieści sześć tysięcy. Jeszcze nie zdawała sobie sprawy, do czego zmierza, ale wzięła paszport męża i zaczęła bardzo uważnie przyglądać się podpisowi. Miał zwyczaj podpisywać się zawsze w ten sam sposób, pismem nieco ukośnym, dużym, wyraźnym. Takie same widniały na książeczce PKO, na jeszcze paru dokumentach leżących w szufladach.

Spojrzała na zegarek. Południe. Mąż wróci do domu za kilka godzin. Pozostaje dużo czasu, aby...

- Idiotka! - powiedziała sama do siebie. - Choćbym idealnie podrobiła jego podpis, nie zamienię się przecież w Jacka. Zresztą, pewnie go znają w banku. A żonie nie wydadzą bez upoważnienia. Nie, to na nic.

Zacząła znowu przeglądać szuflady. Na samym dole, głęboko wsunięta za jakieś bruliony i notesy, leżała niewielka szkatułka, chyba srebrna, bo ciężka, zamknięta na kluczyk, który tkwił w zamku. Postawiła ją na biurku, otworzyła. Zobaczyła kilka złotych monet, dwie grube obrączki i pierścionek z kamieniem, w którym bez trudu poznała szmaragd. Nie widziała nigdy szkatułki ani jej zawartości. Obrączki należały z pewnością do rodziców męża, stwierdziła to wyczytawszy na nich imiona i datę ślubu.

Położyła monety na dłoni. Dwie dwudziestodolarówki, jedna z rosyjskim napisem, pewnie carski rubel. I jeszcze złoty dukat. Zdziwiła się, że Jacek trzymał to wszystko w biurku, a nie pod dobrym zamknięciem i nie pokazał jej, o co poczuła nagłą pretensję. Nie miał zaufania?

- Bardzo dobrze - mruknęła.

Zabrała całą zawartość szkatułki, zawinęła w chusteczkę. Pudełko zaniknęła kluczykiem, umieściła z powrotem w dolnej szufladzie. Uporządkowała biurko, na którym to i owo porozrzuciła. Potem przeszła do swojej sypialni i zdobyty skarb ukryła w biureczku, a klucz schowała do torebki. Teraz zaczęła zastanawiać się, komu to sprzedać, aby osiągnąć najlepszą cenę. Pierścionka trochę żałowała, ale i tak nie mogłaby go nosić ze względu na Jacka. Może zresztą wystarczy sprzedać monety i obrączki - na razie.

Miała znajomą, która od szeregu lat handlowała złotem i biżuterią. Nie była jednak pewna jej dyskrecji i rzecz mogła dotrzeć do męża. Istniał też pewien dawny adorator, jubiler z prywatnym warsztatem, który nie znał męża. Więc może on?

\*

Jubiler nie tylko ucieszył się na jej widok, ale znów zapalał afektem, co było niewygodne. Postanowiła więc, że wpierw transakcja, a potem umówi się na spotkanie, nie dotrzymując zresztą obietnicy, w końcu mu przejdzie. Odświeżony adorator okazał się jednak wyjątkowo twardym kupcem w myśl zasady: kochajmy się jak bracia... Użyła całych wpływów, którym ongiś łatwo ulegał, wdzięczyła się, roztaczała wspaniałe perspektywy wspólnie spędzanych wieczorów, paplała i całowała go na przemian, gdyż byli tylko we dwoje w warsztacie.

Wreszcie dobili targu. Za monety i obrączki wypłacił jej sto dwadzieścia tysięcy, narzekając iż traci co najmniej połowę, ale robi to wyłącznie dla niej. Kiedy wyszła, zatarł ręce z zadowoleniem. Złote dwudziestodolarówki szły po dwieście trzydzieści tysięcy jedna!... Zarobił na Monice prawie pół miliona. Obrączki dostał jakby darmo. Obejrzał

wewnątrz, odczytał napisy i pomyślał, że trzeba je będzie później przetopić, gdyż mogą pochodzić z kradzieży.

Przez następne dni Monika drżała, że Jackowi przyjdzie do głowy, aby sprawdzić zawartość cennego pudełeczka. Oczywiście mogła wówczas udawać, że o niczym nie wie, żadnych monet ani obrączek nie widziała, nigdy jej nie pokazywał, to ostatnie było prawdą. Pierścione ukryła tak dobrze, iż z pewnością mąż go nie znajdzie, gdyby nawet przeszukał cały dom. Bała się jednak dlatego, że mógł posądzać jedynie dwie osoby: żonę i pomoc domową. Monika miała wiele wad, ale dla dziewczyny była dobra i lubiła ją.

Obawy jej okazały się bezpodstawne, mąż - nie przeglądał szuflad biurka, a pod koniec tygodnia znowu wyjechał. W niedzielę wieczorem, po kilkunastu dniach przerwy, Monika zadzwoniła do Kazimierza, paliła ją ciekawość czy i on otrzymał drugi list. Nie zastała go jednak, mimo iż wydzwaniała wiele razy do późnej nocy, a potem w poniedziałek rano. Być może i on wyjechał. Pomyślała, to nawet lepiej, bo w głowie zarysował się jej pewien plan, w którym przyjaciel mógł tylko przeszkadzać. Znowu chciałby strzelać do szantażysty...

Zapakowała pieniądze w torbę plastikową, ciesząc się, że tym razem okup nic jej nie kosztował, zyskała w dodatku pierścionek. Dzień był upalny, o dziesiątej wieczorem jeszcze tak ciepły, że ubrała się w letnią elegancką sukienkę z kwiecistego jedwabiu. Nie pasowały do tego pantofle na niskim obcasie podbite gumą, wybitnie sportowe, ale takie obuwie stanowiło ważną część planu. Wyprowadziła volvo z garażu, wprawdzie poszukawszy na mapie Warszawy ulicy Obrzeźnej.

Nie zaparkowała przed domem numer szesnasty, lecz kawałek dalej,

na małym placyku. Obejrzała uważnie wieżowiec, potem weszła do holu. Na liście lokatorów nie znalazła nazwiska magistra Wacława Borejki, co ją trochę zdziwiło. Widocznie wprowadził się niedawno. Szantażysta nie podał w swym liście numeru mieszkania, nie mogła więc sprawdzić kto jest lokatorem na siódmym piętrze, lewy korytarz, ostatnie drzwi również po lewej. Będzie to można zrobić później.

Jedna z wind stała unieruchomiona między piętrami, bo światelko na dole paliło się bez przerwy dłuższą chwilę. Wsiadła do drugiej, wjechała na siódme. Trochę się bała, bardzo jej było żal pieniędzy, denerwowała perspektywa przeprowadzenia ryzykownego planu. Skręciła w korytarz słabo oświetlony jedną żarówką. Ostatnie drzwi na lewo - to tutaj. Przybrudzona wycieraczka z szarego wołoku, tabliczka metalowa z napisem: „Mgr Wacław Borejko”. Cisza. Nikogo na korytarzu, jedynie z któregoś mieszkania dolatywały dźwięki muzyki.

Powiesiła torbę z pieniędzmi na klamce, miała wielką ochotę zadzwonić, ale złąkla się nagle. Tam za drzwiami znajduje się może człowiek, który nie tylko weźmie sto tysięcy, ale uderzy ją, wciągnie do środka, zgwałci albo zabije. Nikt tego nie usłyszy, ludzie siedzą przy telewizorach, niektórzy śpią. Postąła więc chwilę, potem odeszła. Nie wsiadła jednak do windy, lecz wspięła się po schodach kilka stopni, zatrzymała i, przywarłszy do poręczy, patrzyła w głąb korytarza po lewej stronie. Chciała, musiała przekonać się, kim jest szantażysta. Czy to ten jakiś Wacław Borejko?

Na schodach było ciemno. Czekała cierpliwie, nikt nie jechał windą, w wieżowcu panowała cisza. Widziała, w półmroku korytarza swoją torbę z pieniędzmi, wiszącą na drzwiach mieszkania dziewięćdziesiąt dwa, bo

zapamiętała numer. Minał kwadrans, potem jeszcze kilka minut. Raptem coś spadło jej na głowę, worek czy szmata, nie zdążyła krzyknąć, to coś wdarło jej się w usta jak knebel, zacisnęło szyję. Poczowała ból, okropny strach, nogi ugięły się pod nią. Straciła przytomność.

Musiała zsunąć się ze stopni na podest schodów i uderzyć o poręcz, bo ocknęła się wskutek bólu w nodze. Leżała chwilę, zanim zdołała pozbierać myśli i przypomnieć sobie, gdzie jest i co tu robi. Na głowie nie miała już żadnej szmaty, zaschło jej tylko w gardle i bolała szyja. Pomacała dokoła - siebie, znalazła torebkę. Podniosła się z trudem i bezwiednie spojrzała w głąb korytarza po lewej stronie Torby z pieniędzmi nie było. Monika poczuła jednak, że nie starczy jej odwagi, aby tam pójść, zadzwonić, może porozmawiać. Nie! Miała już dość wszystkiego, chciała jak najprędzej znaleźć się w domu!

Z torebki nikt nie zabrał kluczyków i całej reszty. Oczywiście, jeżeli szantażysta dostaje za nic sto tysięcy - a właściwie, to już dwieście, nie licząc tych Kaziowych, to nie będzie się interesował portmonetką czy puderniczką.

Volvo stało na placyku. Siedziała przez jakiś czas w samochodzie, aby dojść do jakiejś takiej równowagi. Nagle przypomniało jej się, że nie sprawdziła, kto mieszka pod numerem dziewięćdziesiąt dwa. Wysiąść? I, czy warto... Może jutro, w ciągu dnia, jak dokoła zaczną kręcić się ludzie i nie będzie tej przyczajonej ciszy7 nocnej.

W godzinę później, leżąc na swoim tapczanie i masując obolałą nogę, zastanawiała się, kim był człowiek, który zarzucił jej worek na głowę i próbował udusić. Czy to był właśnie szantażysta? Może jego wspólnik? Dlaczego to zrobił? I odpowiedziała sobie natychmiast, że po

to, aby nie mogła dowiedzieć się, kim jest.

Następnego dnia rano Kazimierz zadzwonił do niej, pytając ostrożnie, czy jest sama. Potwierdziła, dodając, iż natychmiast muszą się zobaczyć. Spotkali się znowu w tej samej kawiarence i przyjaciel spytał z pewnym zdziwieniem, czy coś się stało.

- Nie dostałeś drugiego listu? - odparła pytaniem.

- Nie, ale wyjeżdżałem do Krakowa i Katowic, wróciłem dopiero wczoraj w nocy. A ty dostałaś?

- Tak.

Opowiedziała mu, co zaszło. Kazimierz słuchał ze zmarszczonymi brwiami, nagle drgnął, przesunął ręką po czole i rzekł z zafrasowaniem:

- Obawiam się, że i do mnie przyszedł list, który odebrała prawdopodobnie moja żona. Wprawdzie na ogół nie czytujemy wzajemnie naszych korespondencji, ale mogła przypuszczać, że to coś ważnego, a ja znajdowałem się poza Warszawą. Psiakrew! - zaklął. - Gdybym wiedział, co tam było!, }.

- Pewnie żądanie drugiej raty. No i dzień, miejsce, godzina jak poprzednio. Nie rozmawialiście po twoim powrocie?

- Wróciłem po północy - zawahał się, zerknął na nią spod oka - wiesz przecież, ona ma oddzielną sypialnię. Rano spałem jeszcze, kiedy wyszła do baru. Nie - sądziłem, że przyjdzie list, przeszukałbym mieszkanie. W tej sytuacji czeka mnie przykra rozmowa. Muszę wymyślić coś sensownego.

- Nie zajmuj się teraz sobą - powiedziała z irytacją. - Zainteresuj się mną. Chcę, żebyśmy tam zaraz pojechali do tego wieżowca na Obrzeżnej. Mamy adres, nazwisko, trzeba się z tym człowiekiem rozmówić, bo nie da



nam spokoju. Muszę wiedzieć, kto to jest. Znasz jakiegoś Borejkę?

- Nie. Teraz mamy jechać? - W jego głosie wyczuła obawę i niechęć, co ją mocno zdenerwowało.

- Oczywiście, że tak! W końcu, to jest nasz wspólny interes, a ty jesteś mężczyzną, chociaż... - zawiesiła głos, było to obraźliwe.

- No, dobrze - odparł ulegle. Zaczerwienił się trochę, może ze wstydu.

Wyszli z kawiarni, wsiedli do jej wozu. Tak jak wczorajszego wieczoru, Monika zaparkowała na placyku przy Obrzeźnej. W holu zatrzymali się przed listą lokatorów.

- Ile to było? - spytał, przebiegając oczami po spisie.

- Dziewięćdziesiąt dwa. Odnalazł, wskazał palcem:

- Puste miejsce. Nie ma żadnego nazwiska. Może pomyliłaś numer?

Chociaż tutaj w ogóle nie ma żadnego Borejki.

- Jedziemy na siódme piętro.

Na korytarzu było pusto, ale w całym bloku kręcili się lokatorzy, dobiegały głosy dzieci, szczękanie garnków i ujadanie psów. Podeszli do ostatnich drzwi.

- Tu - szepnęła Monika z ogromnym zdziwieniem. - Popatrz, nie ma tabliczki ani wycieraczki do nóg.

- Na pewno ten numer? - rozglądał się po korytarzu.

- Z całą pewnością. Zdążył się w nocy wyprowadzić?

W tym momencie otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie, wyjrzała jakaś kobieta. Popatrzała na nich i zapytała:

- Państwo dostali przydział?

Nie wiedzieli, co odpowiedzieć, nieznajoma uśmiechnęła się wieje i

dodała przepraszająco: - Pytam, bo będziemy sąsiadami, a my się tu wszyscy znamy na korytarzu. Dobrze, że już ktoś się wprowadził, tyle czasu mieszkanie stało puste, aż żal.

- Dlaczego puste? - spytała Monika niepewnie.

- No, kiedy pani Korzeńska zmarła, to zrobili remont, ale widać nie znaleźli amatora, więc lokal nie był zamieszkały. Ona była rencistką, długo chorowała, wreszcie zmarła. Jakoś tak - zastanowiła się - w końcu grudnia, przed Nowym Rokiem.

- Proszę pani - Monika musiała o to zapytać, choć Kazimierz trącił ją ostrzegawczo - czy wczoraj nie mieszkał tu taki pan magister Wacław Borejko?

Kobieta uniosła brwi ze zdumieniem.

- Wczoraj? Pięć miesięcy nikt tu nie mieszka, a gdyby wczoraj ktoś się wprowadził, to byśmy przecież słyszeli, widzieli. Borejko? Nie ma takiego na naszym korytarzu. Zresztą, proszę zadzwonić Sama jestem ciekawa, ale to chyba niemożliwe.

Kazimierz, mrucząc niechętnie pod nosem, nacisnął biały guzik dzwonka. Zrobił to kilkakrotnie - bez rezultatu. Lokatorka z przeciwka pokiwała głową z uśmiechem.

- Oczywiście, nikogo nie ma, bo nikt tam nie mieszka. Myślałam, że państwo się wprowadzą. A ten Borejko, to znajomy?

- Zdaje się pomyliliśmy piętra - Monika roześmiała się z przymusem.

- Przepraszamy.

- Nie ma za co - odparła, patrząc za nimi, kiedy odchodzili. Wzruszyła ramionami. - Borejko? Ciekawe...

Kazimierz nie odezwał się, dopóki nie wsiedli do samochodu. Wtedy

odwrócił się do Moniki, popatrzał jej przeciągle w oczy i rzekł:

- Przyznaj się, piłaś wczoraj?

- Jak śmiesz! - krzyknęła z oburzeniem.

- Tyś tu chyba wcale nie była. A w ogóle, skąd wzięłaś pieniądze?

- Moja sprawa, - burknęła. - Przysięgam ci, że mówię prawdę, powiesiłam na klamce woreczek z forszą, ktoś na schodach chciał mnie udusić... a w każdym razie przeszkodzić w tym, abym go zobaczyła, czy rozpoznała. Nic już z tego nie rozumiem!

Odwiozła go pod dom, pożegnali się chłodno, wyczuła, że jej nadal nie wierzy. Przyznawała w duchu, prawdopodobnie ona na jego miejscu też by wątpiła w całe wydarzenie, takie było dziwne i niewytłumaczalne.

Wieczorem zadzwonił, że szantażysta do niego listu z pewnością nie wysłał, bo Danuta jest taka jak zwykle, żadnej awantury nie urządziła. A kiedy pozwolił sobie na małą złośliwość, Monika rzuciła słuchawkę.

\*

Rozejrzał się po pokoju. Tak, wszystko jest w porządku, mógł odejść. Podszedł do okna, aby je zamknąć - siedział przy otwartym, wieczór czerwcowy był parny, niemal gorący - kiedy tara, w dole, na skwerze coś go zastanowiło. Z trzeciego piętra miał go jak na dłoni, oświetlony co prawda tylko przez dwie latarnie, ale blask padał również z okien pobliskich sklepów i z mieszkań kamienic, okalających placyk.

Przy ławce, z drugiej strony kiosku „Ruchu”, leżał na chodniku człowiek. Nieco dalej stał motocykl, obok kilka osób rozprawiało o czymś z wyraźnym podnieceniem. Dosłyszał urwane zdania: -...pijany. Dlatego nie... to co, że pijany?... w balonik nadmu... gównu cię to obcho... po lekarza...

Po chwili paser zrozumiał, że pijany motocyklista potrącił jakiegoś przechodnia, tego, który leżał na chodniku, być może, martwy. Sytuacja zaciekała go. Nie chciał jednak pokazywać się dłużej w oświetlonym oknie, więc zgasił lampę, zamknął drzwi mieszkania na kilka misternych zamków i zszedł na dół. Stał potem w bramie, niewidoczny w ciemności, oparty o wygrzany jeszcze upałem mur. Patrzył i słuchał.

Na skwerze powoli zbierał się coraz większy tłum. Motocyklista, czerwony na twarzy, zdjął kask i wycierał spocone czoło. Odburknął komuś, że wypił tylko dwa piwa, a tamten wlaź mu pod motor, nie sposób było zahamować. Ktoś natomiast wołał, że przechodzień szedł normalnie chodnikiem, motocyklista potrącił go właśnie na tym chodniku, nie miał prawa tam wjechać! Kłótnia rozszerzała się na inne osoby, było wielu świadków, każdy mówił co innego. Właściwie nikt nie interesował się rannym czy zabitym człowiekiem, rozmawiano ponad nim i jakby nie o nim.

Nagle z daleka dobiegło wycie syreny, tłum rozstąpił się niechętnie, robiąc miejsce dla radiowozu. Przyjechała nysa z „drogowej”, widać przez kogoś zaalarmowana. Wóz zatrzymał się, wysiadł kapral, za nim sierżant. Obaj byli młodzi, szczupli, jeden miał czarne wąsiki, drugi twarz gładko wygoloną, prawie dziecinną, z lekko wydętymi ustami.

- Proszę się odsunąć! - powiedział sierżant. - Co tu się stało?

Kapral przykucnął obok leżącego, dotknął jego ręki i czoła. Chwilę przyglądał mu się ze zmarszczonymi brwiami, potem wstał i mruknął:

- Chyba nie żyje. Wezwę karetkę. - Wrócił do nysy

- Ten go uderzył! - zawołała jakaś kobieta, wskazując na motocyklistę. - Na pewno pijany.

Sierżant podszedł do mężczyzny z kaskiem w rękę

- Jak to było? - spytał Motocyklista wzruszył ramionami.

- Napatoczył mi się pod motor - burknął. - I tyle

- Dokumenty, proszę. Pan pozwoli do wozu, tu za ciemno.

Milicjant starał się mówić spokojnie, czuł za sobą niechętny, rozfalowany tłum, który naciskał ze wszystkich stron Winowajca też to wyczuł, bo odparł ostro, że nigdzie nie pójdzie.

- Proszę do samochodu! - Sierżant podniósł trochę głos.

- Ej, ty! Zostaw człowieka! - krzyknął ktoś. Z wozu wyskoczył kapral, zbliżył się do motocyklisty, w rękę miał notes, chciał opisać wypadek, wtedy usłyszał: - Bić go chcesz, sk... synu?!

- Ludzie, przecież go nawet nie dotknąłem! - zawołał, bardziej zdumiony niż przestraszony. Wyciągnął rękę, aby pokazać, co trzyma.

- Patrzcie, strzelać będzie! Spieprzajcie stąd, cholerne gliny!... Wynocha! Mordercy, kanalie, zbrodniarze... - Tłum krzyczał, napierał, w świetle latarni widać było rozognione, czerwone twarze, błyszczące oczy. Motocyklista roześmiał się, odprowadził dalej swój pojazd, zapuścił silnik, po chwili zniknął. Martwy człowiek na chodniku leżał obojętny na poszturchiwania nóg, potem jakaś kobieta litościwie odciągnęła ciało na trawę pod drzewem, nakryła rozharataną głowę gazetą.

Kapralowi udało się wejść do nisy. Chciał ruszyć z miejsca, nie byli w stanie we dwóch odpiąć atak kilkuset osób. Nacisnął klakson, sierżant powinien zrozumieć i wskoczyć do wozu, wtedy na sygnale mieli szansę wydostać się.

Nagle zobaczył, że jakiś chłopak rzuca się w poprzek na maskę samochodu. Zaraz potem przez opuszczoną szybę wleciał kamień. Poczul

silne, uderzenie w głowę, zamroczyło go. Drugi kamień rozwalił radiostację, trzeci trafił w szybę, rozprysnęła się w drobne okruchy. Mężczyzna w kraciastej koszuli wdarł się do wozu, chwycił kaprała za krawat i począł zaciskać. Młody podoficer widział jego rozwścieczone, krwią nabiegłe oczy i szeroko otwarte usta, które coś krzyczały, już nie zdawał sobie sprawy, co tamten krzyczy, trzeba było walczyć o życie.

Próbował oderwać te zaciskające się ręce, potem pomyślał: Koniec. Raptem dostrzegł, że wyłamano drzwi nysy po prawej stronie. Ostatkiem sił zdołał odepchnąć napastnika, który na sekundę puścił krawat, musiał być mocno pijany, bo kaprał czuł przy swojej twarzy jego oddech, przesycony alkoholem. Wykorzystał tę sekundę, przerzucił nogi przez silnik, wydarł się, sam nie mógł potem zrozumieć, jak mu się to udało, przez wyłamane drzwi na zewnątrz. Zanim tłum się zorientował, kaprał znalazł się już pośrodku skweru, między gęstymi krzakami.

Do najbliższego komisariatu należało przebiec trzy ulice i jedno skrzyżowanie. Tego skrzyżowania bał się najbardziej, na oświetlonej szerokiej przestrzeni nie było gdzie się schować. Pędził przez ulice, po chwili usłyszał za sobą warkot motocykla. Potem kilku. Ci, którzy za nim gonili, w świetle reflektorów, wyglądali jak na scenie, a sam pościg nadawał się do sensacyjnego filmu, ale tu chodziło o ludzkie życie.

Przemknęło mu przez myśl, że chyba nie mają broni, bo by już jej użyli. Znał tę dzielnicę, tu się urodził i wychował, więc w pewnej chwili skręcił gwałtownie w ciemną bramę, przemknął przez dwa podwórza i wybiegi na drugą stronę, tak było nawet bliżej do komisariatu. Serce tłukło się w nim jak oszalałe, pot zalewał oczy, bolała uderzona głowa, ale musiał jak najprędzej tam dobiec, bo przecież na skwerku został sierżant.

Potrzebna była pomoc, co najmniej trzy, może cztery radiowozy.

A jeżeli jest za późno?

- Józek, nie mogłem inaczej! - szeptał do siebie, ledwie poruszając wyschniętymi wargami. - Musiałem cię zostawić, biec po naszych. Przecież zatłukliby nas na śmierć.

Dochodziła północ. W komisariacie prócz dyżurnego oficera siedziało jeszcze kilku milicjantów i dwóch ze Służby Bezpieczeństwa. Kapral, zataczając się ze zmęczenia, wpadł do dyżurki, wybełkotał coś i osunął się na podłogę. Oficer zerwał się, milicjanci podnieśli leżącego, trwało jednak chwilę, zanim zdołał powiedzieć, co zaszło. W kilka minut później z jękiem syren dwa radiowozy i nysa popędziły w stronę skweru.

Sierżant bronił się jeszcze. Bity, kopany, z zakrwawioną twarzą i połamanymi zębami, zasłaniał już tylko oczy, bo co jakiś czas widział przed sobą błysk bandyckiego noża. Nysa leżała przewrócona na bok.

- Spalić to pudło! - odezwały się okrzyki. Po chwili dwóch chłopaków, wyjąc z uciechy, zaczęło oblewać samochód benzyną. Raptem w stronę sierżanta przedarł się mężczyzna siwowłosa, szczupły, na brązowej marynarce miał dwie wstążeczki odznaczeń wojskowych.

- Zostawcie go! - krzyknął. - Ludzie, opamiętajcie się! Czyście poszaleli?

Był już przy podoficerze, próbował osłonić go przed ciosami, coś jeszcze wołał, kiedy duży kamień zatoczył nad tłumem łuk i uderzył wołającego prosto w skroń. Człowiek drgnął, chciał dotknąć rękami twarzy, ale osunął się na ziemię.

Sierżant widział to. Poczul rozpacz, nic nie mógł zrobić, zerwali z niego pas z kaburą i pistoletem, nie wiedział, co się stało z kolegą. Z

podpalonej nysy buchnął płomień, najbliżej stojący cofnęli się. Tłum mruzczał i podziwiał widowisko.

Mężczyzna, który rzucił się na pomoc sierżantowi, leżał teraz w bramie, przeniesiony przez dwoje młodych - dziewczynę o długich, jasnych włosach i chłopca w dzinsach ze skórzaną torbą na ramieniu.

- Trzeba zadzwonić po pogotowie - powiedział ktoś, patrząc na krew, sączącą się powoli z czoła leżącego. - On jeszcze żyje.

- Ale! Dopuszczą to? - odparł inny głos. - Spalą karetkę jak ten radiowóz.

- Nagle nie było już ciemnej bramy, rozwścieczonego tłumu ani palącego się wraku na jezdni. Nagle był inny, ciepły wieczór pod lasem. Leżał na piaszczystym zboczu, pachniało kwitnące zboże, a może to była świeżo skoszona trawa. Z lasu wychodził oddział, szli zmęczeni, karabiny przewieszane przez ramię, jeden niósł rkm, inny radiostację. Strasznie bolała głowa. Jeszcze mocniej - gorączka.

Nad sobą zobaczył chudą, wąsatą, spaloną od słońca twarz dowódcy. Więc powiedział do niego z pretensją i żalem:

- Nie o taką Polskę walczyłem! I nie o takich...

Pułkownik patrzył na niego uważnie, spokojnie. Dlaczego milczał?

Dziewczyna o jasnych włosach i twarzy bladej, zalanej łzami, uklękła przy leżącym w bramie człowieku. Zdjęła z siebie sweter, zwinęła i podłożyła mu pod głowę.

- Zakrwawi się - powiedziała jedna z kobiet. - Z wełny ciężko sprać.

Wzruszyła ramionami. Chłopak, który z nią był, stał nieruchomo nad umierającym, wpatrując się w stygnące rysy. Po raz pierwszy znalazł się twarzą w twarz ze śmiercią.



- Trzeba coś zrobić - mruknął. Rozejrzał się dokoła, napotkał oczy złe, ciekawe lub obojętne. Z nagłą porwał go gniew. Na nich wszystkich. I własną bezsilność.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, pogładziła starego człowieka po twarzy.

...Pułkownik położył mu ręką na czole. Wciąż milczał.

- Powiedz, dlaczego tak? - Rozzalił się przed swoim dowódcą. - Dlaczego od swoich?

Wtedy tamten odparł:

- Nie pierwszy ty od swoich. Ale, jak sądzisz, czy był sens w tym, co zrobiłeś?

- Przecież musiałem - rzekł twardo. I powtórzył z naciskiem: - Musiałem. Zresztą, usłyszałem twój rozkaz... a może mi się tylko zdawało. Ale teraz chcę już odejść. Dość się napracowałem. Mam siedemdziesiąt jeden lat.

Dowódca uśmiechnął się. Jego chłodna dłoń przyjemnie łagodziła ból.

- No, to chodź ze runą „Śmiały”. Pójdziemy znowu w las. Jak dawniej.

Oddział zatrzymał się, czekał na nich. Z nagłą buchnęła pieśń: „My ze spało...”

Ktoś zbiegł schodami, przystanął w bramie i podszedł bliżej.

- Proszę mnie przepuścić - mruknął, odsuwając dziewczynę. - Jestem lekarzem.

Przez chwilę próbował wyczuć tętno, uniósł leżącemu powieki, przyłożył ucho do serca, potem wstał, potrząsnął głową.

- Nie żyje? - spytał chłopak.

- Nie żyje - powtórzył lekarz. - Jak to się stało?. - Powiódł wzrokiem po obecnych. Nikt nie odpowiedział. Trochę zdziwiony popatrzał na skwer, na tłum, na dopalającą się nysę. Z daleka usłyszeli wycie syren i szum nadjeżdżających samochodów.

- Chłopaki, chodu! - wrzasnął ktoś w tłumie. - ZOMO leci!

Na skwerze zakotłowało się, kilkanaście osób rozpierchło się po bramach i bocznych uliczkach, ale część pozostała. Widowisko nie było skończone, mogło zresztą zacząć się od nowa. Radiowozy zatrzymały się, za nimi przystanęła karetka pogotowia. Wysiadł lekarz w białym kitlu, pytał o coś najbliższej stojących. Wzruszali ramionami, patrzyli na niego obojętnie.

Trzech milicjantów przedzierało się przez tłum, który ustępował z niechęcią. Czterej inni próbowali obejść skwerek i przedostać się od tyłu, gdzie ludzi było najmniej. Lekarz i sanitariusze z noszami, po krótkiej wymianie zdań pomiędzy sobą, rozpychali stojących łokciami i parli naprzód, do środka skweru. Kierowca karetki pozostał sam. Przerażonym wzrokiem wodził dokoła, dostrzegł spaloną nysę i pobladł. Schylił się, pogrzebał na dnie wozu, wy dobył klucz francuski, w miarę ciężki i mocny. Położył go na kolanach, nie spuszczać już wzroku z otaczających ludzi.

- Psychologia tłumy od dawna budziła moje zainteresowanie - powiedział pan o wyglądzie profesora uniwersytetu czy jakiegoś instytutu naukowego. Jego rozmówca, niski i krępy, trzymał w rękach kamerę telewizyjną z obcojęzycznym napisem, od czasu do czasu podnosił ją, wodził po tłumie i nagrywał. Musiał znać język polski, bo potakiwał temu, co tamten mówił. Stali trochę z boku, przez nikogo nie zaczepiani. Tłum,

widząc zagraniczną telewizję, okazywał wyraźną życzliwość, może nawet sympatię.

- Sądzę, że tych ludzi ogarnął w tej chwili rodzaj amoku - ciągnął dalej profesor, bardzo spokojnie i beznamiętnie. - Wielu jest pijanych lub podpijanych. To również ma znaczenie. Wszyscy mają następujące cechy, charakterystyczne dla tłumów: ciekawość, żądza sensacji, bezmyślność i poddawanie się nastrojom. Być może, gdyby wziąć każdego z osobna, zawstydziliby się tego, co robi...

- Nienawidzę tłumy - mruknął reporter.

- Więc dlaczego pan tu jest? - zdziwił się profesor.

- Ja pracuję. A jeżeli chce pan znać mój pogląd... Gromada ludzka jest nieobliczalna, zdolna do wszelkiej podłości, fanatyczna, a nie ma nic gorszego niż fanatyzm. Człowiek może być, i bywa często, bohaterem, świętym, cudownym zjawiskiem natury. Ale pojedynczo.

- *Odi profanum vulgus* - szepnął profesor. - Myślę, że powinniśmy już się oddalić. Zbyt to załatuje potem, wódką i spalenizną.

\* Dosłownie: Nienawidzę nieoświeconego tłumy.

Nadjechały jeszcze dwa radiowozy z komendy dzielnicowej. Tłum nagle zniechęcił się, oklapł i rozchodził do domów. Sanitariusze stali pośrodku skweru, obok nich leżał zabity przechodzień. Lekarz prowizorycznie opatrywał sierżanta, który słabł z każdą chwilą. Ułożono go na noszach i poniesiono do karetki. Kapral szedł przy nim, mówił o swoim szaleńczym biegu do komisariatu po pomoc, ale sierżant niewiele już rozumiał, przymknął oczy. Tracił przytomność.

Do lekarza podbiegł chłopak, który był z dziewczyną o jasnych włosach. Zaczął coś tłumaczyć, pokazując na bramę, może miał jeszcze

nadzieję, że tamten człowiek żyje. Poszli we dwóch, lekarz z pogotowia spojrzął jednak tylko na leżącego, dotknął jego twarzy i potrząsnął głową. Ciało było już zimne, martwe.

- Wystawię świadectwo zgonu - powiedział. - Widział pan, kto go uderzył?

- Nie - odparł chłopak. - Tutaj było ze trzysta osób. Rzucali kamieniami... - Umilkł, nerwowo zagryzał wargi.

Przyjechała potem ciężarówka z przedsiębiorstwa pogrzebowego, zabrała obu zabitych. Milicjanci na próżno próbowali ustalić świadków zajścia. Nikt nie chciał udzielić informacji. Bali się... może.

Paser przez długi czas stał w bramie, przyglądając się temu, co działo się na skwerze. Od czasu do czasu na jego wargach pojawiał się nikły uśmiech, zwłaszcza kiedy poznawał wśród tłumu swoich dostawców „szkiełek i sikor”. Widział też, co być może uszło uwadze innych, jak w pobliskim sklepie elektrotechnicznym wybito szyby, jak dwóch młodych weszło tam, a po pewnym czasie wyszli obładowani zrabowanym sprzętem. W najbliższej okolicy nie było jubilera, ale salon odzieżowy. Tam też wybito szyby, a kiedy tłum się rozszedł, w sklepie zostały puste półki i kilka sztuk tanich swetrów, leżących na podłodze razem z odłamkami szkła.

Paser wiedział także, iż kilkunastu, może kilkudziesięciu spośród zebranych nie pójdzie spokojnie spać do domów; Są zbyt podnieceni, rozgorączkowani, muszą się wyładować. Jedni zrobią to w alkoholowych melinach, inni ogołocą sklepy w sąsiedniej dzielnicy albo dobiorą się do spóźnionego, samotnego przechodnia.

Tak czy owak, jutro, a najdalej pojutrze paser otrzyma świeży towar,

za który zapłaci niewiele, ale dla nich to i tak wystarczy, od razu przepiją. Nie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że od pewnego czasu tego towaru przybywa, bo w coraz ostrzejszy sposób sprawy wielkiej polityki mają swój rezonans w tym półświatku, który dobrze znał i ciągnął z niego ogromne zyski.

Jest to wyraźne podżeganie elementu przestępczego do absolutnej negacji władzy i do atakowania jej - myślał, wracając do mieszkania. -. Atakuje się tę władzę za wszystko, co robi. Z zasady. Za to, że w ogóle istnieje. Wytworzyła się aktywizacja środowisk przestępczych na skalę, dotąd chyba nie spotykaną. Milicja wydaje się być bezsilna. To dobrze. To mi ułatwia robotę. Niech tak będzie jak najdłużej.

Roześmiał się, zapalając światło w pokoju. Tę, co działo się na skwerze, wprawiło go w doskonały humor Usiadł przy stole, wyjął notes i zaczął obliczać zyski z ostatniego tygodnia. Pisał sobie tylko znanym szyfrem, był niezwykle przezorny. Nie bez przyczyny nosił pseudonim „Król paserów”, dali mu go tamci, najbardziej cwana szumowina, spekulanci, złodzieje, włamywacze i chuligani. Cenili go, trochę się obawiali, choć on był jeden, a ich wielu.

Poza tym był im potrzebny.

## **Rozdział 4**

W połowie czerwca raptem zrobiło się chłodno, deszczowo. Kolejki przed sklepami stały od świtu, ludzie klęli na pogodę, marzli, przytupywali, narzekali na brak towarów, na byłych prominentów - imiennie i na cały świat, ogólnie. Brudne szyby w autobusach i

tramwajach, pozalepiane ulotkami, albo ze śladami zaschniętego kleju, nie pozwalały wypatrzeć właściwy przystanek i coraz to ktoś wysiadał nie tam, gdzie trzeba.

Prokurator Białecki wstał, jak zwykłego szóstego, zrobił kilka przysiadów i pompek, więcej mu się nie chciało.

- Kupiłaś mydło? - zawołał do żony, stojąc we drzwiach łazienki.

- Tak, w „Juniorze”! - doleciała odpowiedź z kuchni Małgosia szykowała śniadanie.. - Stałam ponad godzinę, ale dostałam trzy kawałki.

- A żyletki były?

- Nie.

Westchnął i mruknął, że chyba zapuści brodę. Na śniadanie mieli kartkową kielbasę, chleb i rzodkiewki.

- Bułek nie znalazłaś? - spytał smętnie, miał wrzód żołądka, zwykła choroba ludzi, pracujących przede wszystkim nerwami.

- Nigdzie nie ma. Pójdę w kolejkę po bagietki, naprzeciwko sądów na Świerczewskiego. Znowu postoję godzinę. Albo dwie...

Przechylił się i pocałował ją w jasny loczek na skroni. Zjadł czerstwy chleb, bo zdrowszy, zamiast kielbasy ugotował sobie jajko, rzodkiewkę ominął, popił gorącą herbatą Wypalił papierosa, wstał, popatrzał w okna. Siąpił deszcz.

- O czym myślisz? - spytała, widząc, że stoi tak nieruchomo, nie bierze płaszcza ani teczki.

- Mam przesłuchanie.

- Trudne?

- Tak. Facet nie chce gadać. Może dzisiaj mi się uda.

- Za mało o nim wiesz? - zastanowiła się.

Przytaknął ruchem głowy. Ileż czasu, ilu lat potrzeba, aby naprawdę poznać człowieka. A oś miał za sobą zaledwie trzy przesłuchania, raczej monologi prokuratorskie, tamten bąkał tylko: „tak”, „nie”, patrzył gdzieś w bok, spuszczał głowę. Cóż, należało jednak próbować, taki wybrał sobie zawód! A bądź co bądź kradzież kilkunastu kilogramów środków toksycznych, to nie bagatela. Oporny złodziej musi stanąć przed sądem. Jak dotąd jednak akt oskarżenia był daleko w lesie.

Spojrzał raz jeszcze w okno, a widząc, że deszcz ani myśli przestać, nałożył płaszcz, wziął teczkę i ze wstrętem parasol, zawsze mu przeszkadzał i często gubił go. Nie mieli samochodu, więc stanął na przystanku autobusowym w długiej kolejce. Jak zwykle, kiedy ikarus nadjechał, wszyscy naraz rzucili się do wejść, tłocząc i popychając. Białecki wcisnął się ostatni, ale ulokował się względnie wygodnie na okrągłej, ruchomej platformie, łączącej obie części autobusu. Stąd przynajmniej nie musiał przyglądać się rysunkom i napisom na ulotkach, zaklejających szyby. Znał zresztą ich treść, przynoszono je czasem do prokuratury. Od paru tygodni przestał na to reagować; merytorycznie były ciągle takie same, zmieniały się tylko rysunki i epitety.

W pokoju, który zajmował razem z wiceprokuratorem Chorzęckim, nie było jeszcze nikogo. Wchodząc, stwierdził po raz któryś, że jest to pokój wyjątkowo ponury, smutny. Może sprawiał to szary kolor ścian, stare biurka, a może deszcz za oknami. Najpewniej jednak perspektywa rozmowy z Janem Zawadowskim, który” wciąż wyglądał właśnie tak: smutno, ponuro. A w dodatku nie chciał odpowiadać na pytania.

Zatęsknił za kawą nie było to wskazane, chory żołądek buntował się, ale mimo to zszedł do bufetu. Pijąc, pomyślał o Małgosi, że stoi teraz w

bardzo długiej kolejce po bagietki, potem będzie szukać proszku do prania i pewnie nie znajdzie; jeżeli starczy jej czasu, pojedzie na Pragę, bo tani w którymś ze sklepów podobno wczoraj były żyletki, obiegnie sześć, siedem innych i nie dostanie żarówek. Wróci do domu zmoknięta, wymęczona, zastanawiając się po drodze, z czego zrobić obiad. Postanowił też, że trzeba jednak kupić zwykłe, najtańsze radio do sieci, bo baterii nie da się już zdobyć nigdzie, transformatorka również. A radio, jest mu bardzo potrzebne. Jeżeli nawali telewizor, technik znowu powie, że nie ma części.

Takie radio - myślał, wracając na górę - powinno nie kosztować więcej niż dwa tysiące. Może nawet mniej. Chyba gdzieś widziałem „Giewont” za tysiąc sześćset czy siedemset.

O pół do dziewiątej przyszedł Chorzęcki, zaraz potem konwojent milicyjny przyprowadził Zawadowski ego.

- Mam rozprawę - mruknął Chorzęcki. -: Jakby kto dzwonił, zanotuj, dobrze? Zajrzę w przerwie.

Popatrzał na zgarbioną, nieszczęśliwą postać starszego inspektora ze spółdzielni „Nowa Przyszłość”, mówiąc ściślej byłego inspektora, wymienił z Bialeckim współczujące spojrzenie i wyszedł.

- Niech pan siada - powiedział prokurator. Zawadowski odczekał chwilę, zanim zdecydował się osunąć na krzesło po drugiej stronie biurka. Wyglądało na to, że treść słów dociera do niego z pewnym opóźnieniem.

- Jak pan się czuje? - spytał Bialecki raczej zdawkowo. Odkąd lekarze zdecydowali, iż podejrzany może opuścić więzienny szpital i przeprowadzić się do zwykłego aresztu, pytanie o zdrowie było raczej przejawem uprzejmości ze strony organu ścigania. Ale Zawadowski nie zareagował. Wobec tego prokurator odpowiedział sam sobie:



- Widzę, że nie najgorzej. Chciałbym prosić o wyjaśnienie przyczyny, dla której przywłaszczył pan sobie środki psychotropowe z magazynu spółdzielni. Więc pytam wprost: jest pan narkomanem?

- Nie - odparł starszy eks-inspektor.

- Dostarczał pan narkotyki innym osobom? Zawadowski skulił się w krześle, jakby zrobiło mu się zimno i prokurator mimo woli spojrzął, czy okno się nie otworzyło, było lekko uchylone. Przez chwilę panowała cisza.

- Czekam na odpowiedź.

- Musiałem - wystękał wreszcie.

- Ktoś pana zmuszał?... Kto?

Znowu kilka minut milczenia. Kawa dodała Białeckiemu sporo energii, ale wszystko rozbijało się o mur, jakim, otoczył się podejrzany. Żelazny pancerz ochronny, przez który tak trudno się przebić. Mur czego? Strachu przed kimś? Przed stratą źródła zysków? Po namyśle prokurator postanowił zaryzykować.

- W jaki sposób pana szantażowano?... Czym?

Po raz pierwszy Zawadowski drgnął, uniosł głowę i spojrzął na niego z wyraźnym zdumieniem. Jakby raptem coś się w tym człowieku - ocknęło, oczy zabłyśły żywiej.

- Chyba ma pan dosyć tego milczenia - zauważył Białeckie. - Jak długo można ciągnąć takie przesłuchania? Mówię do pańskiego zdrowego rozsądku, w końcu jest pan człowiekiem inteligentnym, ma pan wyższe wykształcenie... - Urwał, bo po twarzy siedzącego przed nim człowieka przeleciał jakiś przykry skurcz.

A wtedy Białeckiemu przypomniało się, co mówił niedawno kapitan Połński, z którym byli zaprzyjaźnieni.

- Wiesz Tadeusz, on mi dziwnie nie wygląda na inżyniera.

- Na to się przecież nie wygląda! - roześmiał się.

- Ja wiem, chodzi mi o co innego Jakby ci tu wytłumaczyć. Ten facet coś ukrywa Badaliśmy jego przeszłość, niby wszystko się zgadza, jest w porządku, ale coś mi tu nie gra.

- Mętnie mówisz.

- Wiem, ale... - Połowski zawahał się. - Widzisz, on tak się zachowuje, jakby w tej przeszłości wydarzyło się coś niedobrego, mającego wpływ na całe jego dalsze życie On jest ambitny i bardzo drażliwy, to się od razu wyczuwa Dlatego myślałem, że ten błąd, ciemna plama w życiorysie, doprowadziły go w końcu do próby samobójstwa A pamiętaj, mógł liczyć niemal na sto procent, że próba będzie udana. Tutokaina, to morderczy środek, doskonały na wyniesienie się z tego świata. I gdyby nie żona, która wróciła kilka godzin wcześniej niż zapowiedziała, Zawadowski by nie żył.

- Czemu wróciła wcześniej?

- Bo dentysta, u którego miała, umówioną dłuższą wizytę, musiał odwołać tego dnia pacjentów. Pękła rura u sąsiada na górze, zalało mu mieszkanie, hydraulicy wyłączyli wodę. No, a bez wody lekarz nie może pracować.

Ta rozmowa przypomniała się Białeckiemu teraz, ale właściwie rozmyślał nad nią cały poprzedni wieczór. Mogło być tak, jak sugerował Połowski, jednakże prokurator wstawił w swoje rozważania jeszcze drugą osobę. Szantażystę. Powtórzył więc pytanie:

- Kto pana szantażował i dlaczego? Nie widzę żadnego sensu w tym, że pan go kryje. Po co?... To ktoś bliski?

Zawadowski potrząsnął głową. Westchnął ciężko, poprosił o papierosa. Białecki poczęstował go ekstra mocnym, podał ogień.

- No więc? - Zniecierpliwził się. - Może kolega ze studiów? - Dostrzegł znowu zmianę na twarzy znękanego człowieka, coś mu przyszło na myśl i natarł z energią: - Zrobił pan te studia czy nie?

- Mam dyplom - wyjąkał Zawadowski.

- Prawdziwy czy kupiony od kogoś?

- Praw... - Długo milczał, wargi mu drżały nerwowo. Wreszcie powiedział głucho: - Kupiony.

Chociaż było to przestępstwo, Białecki odetchnął z ulgą. Chyba odkrył nareszcie przyczynę szantażu. A więc ktoś, kto o tym wiedział. Zawadowski ma czterdzieści dwa lata. Dlaczego szantażysta odezwał się dopiero po tak długim czasie?

- Czy środki toksyczne dawał pan temu, od kogo kiedyś kupił pan sfalszowany dyplom?

Inspektor przytaknął ruchem głowy.

- Żądał od pana narkotyków czy pieniędzy?

- Pieniądzy. Ale... wpierw dałem, potem już nie miałem. Wtedy powiedział, że mogę przynieść... narkotyki.

- To jest narkoman? i

- Nie wiem.

Białecki przyglądał się chwilę siedzącemu przed nim człowiekowi, jakby go zobaczył po raz pierwszy. Było w tym trochę prawdy: oto ceniony, szanowany w pracy inżynier chemii okazuje się... czym właściwie?

- Co pan skończył?

- Liceum.

- Zaczął pan chemię czy w ogóle nie?

- Zacząłem. Po roku przerwałem.

- Dlaczego?

- Nie szło mi. Przerzuciłem się do technikum ekonomicznego. Zrobiłem dwa lata i...

- Znów pan rzucił?

- Tak. Potem pracowałem. Prywatnie, w warsztacie elektrotechnicznym. To wszystko było poza Warszawą. Tutaj przyjechałem dopiero później. Dyplom mam... ten dyplom jest z Politechniki Gdańskiej.

- Nie rozumiem, jak pan mógł dawać sobie radę w spółdzielni „Nowa Przyszłość”, nie będąc chemikiem.

- Poduczyłem się sam. Jak już byłem starszy, to mnie ta robota wciągnęła. Interesowała.

- Mógł pan wtedy studiować zaocznie.

Po twarzy Zawadowskiego przeleciał ironiczny uśmiech.

- Nie mogłem - odparł. - Przecież wydałoby się, że...

- No, tak - przyznał prokurator. - Ale kiedy dowiedzieliśmy się już tyle, myślę, że dowiemy się również, kto pana szantażował. Być może ten człowiek uprawia swój proceder także z innymi. Trzeba temu zapobiec, to chyba zrozumiałe.

- Kiedy ja go nie znam - rzekł inspektor. Zabrzmiało to szczerze i Białecki spojrział na niego ze zdumieniem.

- Jak to: nie zna pan? Więc w jaki sposób kontaktowaliście się?

- Z dyplomem... to było jeszcze w Gdańsku. Kolega z pracy, elektrotechnik, któremu” kiedyś zwierzyłem się ze swoich braków w

wykształceniu,” zaproponował mi „pomoc”, tak to nazwał. Wiedział o kimś, kto za pieniądze może dostarczyć dyplom ukończenia politechniki. Zarabiałem wtedy sporo. Zgodziłem się. Po pewnym czasie wręczyłem koledze swoją fotografię, podałem dane personalne. No i dałem gotówkę.

- Ile?

- Trzy tysiące. Po tygodniu otrzymałem dokumenty...

- Powiedział kim jest dostawca fałszywych papierów?

- Nie. Nie dopytywałem się. Mnie było wszystko jedno, grunt, że miałem dyplom.

- Jak się, nazywa ten pański kolega?

- Jego nie ma w Polsce. W rok później wyjechał na Zachód i już nie wrócił. Nazywa się Jasiński. Chyba Edward, nie pamiętam.

- No dobrze. A kiedy odezwał się szantażysta? I jak pana odnalazł?

- Cóż, znał moje dane, widział zdjęcie. Nie wiem, jak mnie znalazł w Warszawie, nie powiedział. Któregoś dnia, kiedy wyszedłem ze spółdzielni późnym popołudniem... to było jesienią zeszłego roku, zatrzymał się obok mnie samochód. Taksówka. Wysiadł jakiś mężczyzna w ciemnych okularach, w kapeluszu, z podniesionym kołnierzem płaszcza, wyglądał jak z kryminalnego filmu. Wymienił moje nazwisko, powiedział, że ma ważną sprawę. Szliśmy ulicą, ludzi było mało, trochę padał śnieg. Przypomniał mi sprawę dyplomu. I zażądał pieniędzy.

- Taksówka jechała za wami?

- Nie.

- I co? Tak się pan dał łatwo zaszantażować? Zawadowski popatrzał przeciągle na prokuratora, wzruszył ramionami.

- Łatwo, to może panu mówić - odparł. - Ale ja od lat pracowałem w

spółdzielni jako człowiek z wyższym wykształceniem, byłem żonaty, ułożyło mi się życie, myślałem, że tak pozostanie. Nagle brutalnie przypomniano mi, iż to wszystko opiera się na bardzo kruchych podstawach. Na oszustwie Przeraziłem się.

- Nie mógł pan pomówić z żoną?

- Przemyślałem to i doszedłem do wniosku, że nie zaczęłaby mnie podejrzewać o inne sprawy, przestałaby mi wierzyć. Ożeniłem się z dziewczyną z tak zwanej dobrej rodziny, szanowanej, bardzo uczciwej Nigdy by mi tego nie wybaczyli

- Więc wolał pan płacić.

- Tak Wolałem Teraz mogę się panu przyznać, momentami chciałem tego człowieka zabić. Uwolnić się od niego. Ale on jakby to wyczuwał, bo nigdy nie dał mi do tego okazji. Od czasu do czasu telefonował, podając termin Potem spotykaliśmy się, zawsze wieczorem, na peryferiach miasta Zjawiał się raptownie, nigdy nie mogłem zorientować się, z której strony nadejdzie, tak jakby wychodził ze ściany czy z drzewa w parku Zawsze w ciemnych okularach, które prawie przesłaniały mu twarz. Odbierał ode mnie paczkę z narkotykami. Lewą ręką, bo w prawej trzymał pistolet Potem znikał Nic nie mogłem zrobić.

- Wtedy zdecydował się pan na samobójstwo?

- Byłem już na granicy wytrzymałości nerwowej W spółdzielni lada dzień rzecz musiała się wydać, przy pierwszej kontroli.

- I nie pomyślał pan o żonie, jak ona to przyjmie? Chciał pan tak ją zostawić?

Zawadowski pochylił głowę. Nie odpowiedział.

- Czy od dnia, kiedy, próbował pan pozbawić się życia, szantażysta

odezwał się jeszcze?

- Chyba nie.

- Co to znaczy: chyba?

- No, bo wpierw ja byłem bardzo chory, miałem przejściowy zanik pamięci, w ogóle nie wstawałem z łóżka. Potem zostałem przewieziony do więziennego szpitala. W każdym razie żona nie wspominała mi o żadnym telefonie czy liście.

- Czy żona pańska zna przyczynę samobójczego kroku?

- Częściowo. To jest, wie o zabraniu przeze mnie tych środków toksycznych ze spółdzielni. Nie wie o szantażu. No i o dyplomie...

Podniósł głowę, spojrzął na prokuratora błagalnie. - Ja pana bardzo proszę, niech pan jej tego nie mówi! Stanę przed sądem, będę odpowiadał za kradzież i oszustwo... Dobrze. Odsiedzę i wrócę.

Bialecki zachnął się z irytacją.

- Panie Zawadowski, jak pan to sobie wyobraża? Przecież my nie rozmawiamy prywatnie, pan w tej chwili składa zeznania, a moim obowiązkiem jest na ich podstawie sporządzić akt oskarżenia. Nie mam prawa pominąć kwestii szantażu ani fałszywego dyplomu. - Popatrzał niechętnie na eks-inspektora i dodał: - Trzeba się było wówczas zastanowić, kiedy kupował pan dyplom Tysiące ludzi kończy studia, ale mają za sobą kilka lat ciężkiej nauki, zdobywania wiedzy. A pan chciał tak, lekką ręką, za pieniądze. Trzeba było wtedy pomyśleć, że może to mieć fatalne konsekwencje.

\*

Kazimierz odezwał się dopiero po dziesięciu dniach, pod koniec czerwca. Zadzwonił wieczorem, jak zwykle, szeptem, spytał, czy jest

sama, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, zaproponował spotkanie w kawiarni „Europejska”. Powiedzmy, za pół godziny. Monika nie zastanawiała się ani chwili, od razu powiedziała: „dobrze”.

Odkąd wybrali się wspólnie stwierdzić tożsamość magistra Wacława Borejki na ulicy Obrzeżnej, od tamtego dnia nie rozmawiali ze sobą. Była głęboko urażona, że nie uwierzył w jej dramatyczną opowieść i postanowiła nie - odzywać się więcej. Ale gdzieś po tygodniu zrobiło jej się żal. Mąż bezustannie wyjeżdżał, siedziała w domu sama po całych dniach, znudzona i nieszczęśliwa. Próby<sup>7</sup> nawiązania innych ciekawych znajomości nie udały się. Interesujący mężczyźni z samochodem i grubym portfelem patrzyli na nią wzrokiem roztargnionym lub omijali spojrzeniem. Widywała ich później z dziewczynami młodszymi od niej o wiele lat, miały smukłe figury, piękne długie nogi i rozpuszczone włosy o złocistym połysku.

Patrzała na nie zazdrosna, rozżalona, pełna gorzkości. Dlatego telefon Kazimierza podział na nią jak trąbka na kawaleryjskiego konia. Przebrała się błyskawicznie, uczesała, nałożyła staranny makijaż i po dwudziestu minutach jechała już swoim granatowym volvo do kawiarni. Nie chciała, żeby czekał zbyt długo, bo mógł się rozmyślić.

Siedział w samym rogu, na końcu sali. Wstał na jej widok, odsunął krzeselko, witał z uśmiechem, który tak dobrze znała, był bardzo przystojny i wytworny. Dostrzegła, że ściągnął na siebie wzrok kilku kobiet. W jednej chwili rozkwitła, pojaśniała, wyglądała jakby ubyło jej piętnaście lat. Co tam czterdziestka, oto ma znowu swego chłopca, który na nią czekał, a teraz zajmuje się tylko nią, żadną inną.

- Dostałaś negatywy zdjęć? - spytał, kiedy już siedzieli naprzeciw



siebie.

- Tak. Dwa dni po tym moim... - zawahała się - no, po zostawieniu pieniędzy tam, na Ochocie. Było sześć negatywów, parę zdjęć i kartka - Roześmiała się, wówczas co prawda treść rozgniewała ją, ale teraz miała świetny humor, więc rzecz wydała jej się zabawna.

- Co było na kartce?

- Napisał: „Miła pani Moniko, może się kiedyś zobaczymy, pozwoli pani wtedy ucałować rączki!”

Kazimierz zmarszczył brwi.

- Bezczelny łobuz! - syknął ze złością. - Mam nadzieję, że więcej się nie odezwie.

- A ty? Zapłaciłeś drugą ratę?

- Tak. Kilka dni temu dostałem list. Żądał znowu dwudziestu tysięcy.

- Gdzie je zawiozłeś?

- Jak za pierwszym razem, położyłem pod ławką, w Wilanowie. Zmienił tylko godzinę, więc byłem tam o północy. Przyznam ci się, że miałem ogromne trudności ze zdobyciem gotówki. W końcu... - urwał, popatrzał na nią z zafrasowaniem, - Przecież nie ukradłeś! - zaśmiała się, ubawiona jego niepewną miną.

- Tak jakby - przyznał z wyraźnym zażenowaniem. - Wziąłem z kasy domowej, którą wyłącznie dysponuje Danuta Rozumiesz, ona tam chowa forszę na zakupy do baru. W kasie miała ponad osiemdziesiąt tysięcy, wziąłem oczywiście tylko dwadzieścia. Klucze... no, zabrałem jej w nocy z torebki, kiedy spała. Nie zbudziła się, ma mocny sen.

- Ryzykowałeś - zauważyła. - A co było, kiedy przeliczyła kasę?

- Nic - wzruszył ramionami. - Ona wie, że ja nie mam kluczy do

kasy, więc nie mogła mnie posądzać. Udało mi się jej wmówić, że widocznie pomyliła się w obliczeniach.

- Uwierzyła?

- Sądzę, że tak. A zresztą! - Machnął ręką lekceważąco. - W barze są tak duże obroty, że co to dla niej znaczy głupie dwadzieścia patyków. Czysty zarobek kilku dni.

- Nie przesadzasz? - zdziwiła się.

- Nie. - Nagle sposepniał. - Moja żona jest bogata. To ja nic nie mam. Najwyżej tyle, ile dostanę za jakieś pośrednictwo przy sprzedaży działki albo daczy. Teraz niektórzy szybko chcą się pozbyć, bo im kontrola depcze po piętach - zaśmiał się urągliwie. - No, więc wyrabiam im jakieś tam rachunki z dałą wstecz, czasem sprzed kilku laty. Wiesz, opowiadał mi znajomy murarz, że wezwano go do willi pewnego prominenta, aby starannie zamurował wszelkie marmury, boazerie i inne ozdoby. Ściany miały teraz być gołe i proste. Ale nie mówiłaś mi, jak sobie poradziłaś z forszą? Sprzedałaś coś?

- Tak - przyznała niechętnie. - Miałam jeszcze w domu dwie złote - dwudziestodolarówki, carskiego rubla i dukat.

Popatrzał na nią, niebieskie oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia.

- Ile ci za to dali?

- Nawet sporo.” Sto dwadzieścia tysięcy - odparła z dumą. - Tak, że zost...

Wybuchnął głośnym śmiechem, aż goście obejrzelili się od stolików. Długo nie mógł się uspokoić, wreszcie otarł załzawione oczy, pogłaskał ją pieśczołliwie po twarzy i powiedział:

- Moje ty naiwne, głupiutkie dziewczątko! Dlaczego nie

porozumiałaś się ze mną, zanim poszłaś do tego jakiegoś tam spekulanta, właściwie po prostu oszusta?

- Jak to: oszusta? - zaperzyła się. - To mój znajomy, jubiler, on by mnie nie oszukał!

- Ależ dziecino, on cię okpił straszliwie! Wykorzystał twoją absolutną nieznajomość cen i aktualnej wartości monet. Czy ty wiesz” że za jedną złotą dwudziestodolarówkę można dostać dwieście dwadzieścia, nawet dwieście trzydzieści tysięcy? Za jedną. A ty mu sprzedałaś dwie.

I jeszcze rubla i dukat. Powinien był ci dać za to, lekko licząc, ponad pół miliona!

Zrobiło jej się niedobrze. Wypiła łyk kawy, otarła spoconą twarz.

- To niemożliwe! - wymamrotała.

- Oczywiście, że możliwe - odparł brutalnie - Jak się ma do czynienia z kompletną idiotką, to się na niej zarabia grube hopy. Ech, Monika... Straciłaś mnóstwo pieniędzy. Czemuś ty do mnie nie zadzwoniła? Powiedz mi, kto to jest.

- Pojadę jutro do niego - postanowiła. - Musi mi wypłacić tyle, ile się należy.

- Pojedziemy razem. Spotkamy się o pół do jedenastej Tu, w tej Kawiarni Pomogę ci.

Następnego dnia kilka minut po jedenastej granatowe volvo zatrzymało się przed małym warsztatem jubilerskim na Woli.

- To tu? - spytał Kazimierz, przyglądając się skromniutkiej, zakurzonej wystawie. - Wygląda na zupełne dziadostwo.

Weszli do środka. Właściciel był sam. Siedział przy stole, zarzuconym drobnym sprzętem i narzędziami. Na widok wchodzących

uniósł głowę i spytał grzecznie.

- Słucham państwa?

- Pan mnie nie poznaje? - zdziwiła się Monika.

- Przepraszam, ale... - przyglądał jej się chwilę, po czym z ubolewaniem potrząsnął głową - Pani coś oddała do naprawy?

- Ależ, panie Władku! Cóż to za żarty? - zniecierpliwiła się. - Znamy się przecież od roku czy nawet dłużej!

Kazimierz uznał, że należy się wtrącić.

- Niedawno kupił pan od tej pani dwie złote dwudziestodolarówki, rubla i dukat - powiedział ostrym tonem. - Dostała za to sto dwadzieścia tysięcy, chociaż wie pan z pewnością...

- Panie, to jakaś kompletna bzdura! - Jubiler podniósł się z krzesła, stanął tuż przy ladzie. - Być może, nie przeczę, że kiedyś tam miałem przyjemność poznać tę osóbkę, choć nie przypominam sobie. Ale nie kupowałem od niej, ani niedawno, ani w ogóle, żadnych złotych monet. Nie robię takich interesów. Nie stać mnie na płacenie setek tysięcy złotych. To pomyłka w adresie.

Kazimierz ściągnął brwi, wodził wzrokiem po twarzach to Moniki, to jubilera. Trochę stracił pewność siebie.

- Słuchaj, może ty naprawdę pomyliłaś warsztat? - zwrócił się do niej półgłosem.

- Skądże! - odparła gniewnie. - Dobrze wiem, komu i co sprzedalam. Tylko ten oszust, ten...

- O, przepraszam! - Jubiler podniósł głos. -;

Ja obrażać się nie pozwolę. Wezwę milicję, będzie sprawa przed kolegium. Zażądam przeprowadzenia natychmiastowej rewizji, zarówno w

warsztacie, jak w mieszkaniu. Nie znajdzie żadnych złotych monet, bo ich tam nigdy nie było. Więc do widzenia państwu!

Wyszedł zza lady otworzył szeroko drzwi i wymownym gestem zaprosił oboje do wyjścia.

- Czy ktokolwiek był świadkiem twojej sprzedaży? - spytał Kazimierz, patrząc na Monikę z zafrasowaniem.

- Nie.

- Żadnego papierka też nie masz?

- Żartujesz chyba? W takich sprawach nie daje się przecież kwitów.

- No, to moja droga... trudno. Musimy odejść. Było tak czy nie, nic już nie poradzisz.

Jubiler pożegnał ich drwiącym spojrzeniem i zatrzaskał za nimi drzwi. Stali chwilę przy samochodzie, wahając się jeszcze.

- Czy, powiedzmy, twój mąż wie o waszej znajomości? Mógłby ewentualnie zaświadczyć, że miałaś takie monety?

Przeraziła się. Nie powiedziała przecież Kaziowi, czyje one naprawdę były.

- Za nic na świecie! - krzyknęła. - Jacek nie może o niczym wiedzieć. Ani o monetach, ani o jubilerze.

Przyglądał jej się - chwilę, wykrzywił wargi i rzekł z ironią:

- Przyznaj się, to był twój amant?

- Nie znałam cię wtedy - burknęła niechętnie.

- A monety podebrałaś mężowi?

Odwróciła głowę w bok, żeby nie mógł dojrzeć jej twarzy. Wskoczyła do samochodu i odjechała tak szybko, że pozostał na chodniku, wciąż uśmiechając się złośliwie.

\*

Paser czekał. Człowiek, z którym się umówił, na ogół nie zawodził, nigdy jednak nie było wiadomo, czy skok się uda. Co prawda, ten rudy, zwinny złodziejaszek dostawał się do najlepiej zabezpieczonych mieszkań, wślizgiwał niczym mysz przez dziurę w podłodze. Miał delikatne, kobiece ręce z długimi palcami, na które wkładał cieniutkie rękawiczki. Nosił pseudonim „Operator” i paser myślał czasem, że gdyby tego człowieka kiedyś skierowano na inną drogę, byłby może znakomitym - chirurgiem.

Adres, pod którym tamtej nocy miał „pracować”, był paserowi znany, natomiast rezultat pozostawał niewiadomą. Mimo to „Operator” postanowił spróbować. Bardzo potrzebował gotówki.

Kilka minut przed jedenastą wieczorem paser usłyszał wreszcie ciche, umówione stukanie do drzwi. Zerwał się, wyszedł do przedpokoju, otworzył. Złodziej wsunął się do środka, był tak szczupły, że zabierał bardzo mało miejsca, ważył podobno niecałe pięćdziesiąt kilo. Może stosował specjalną dietę, która go utrzymywała w takiej formie.

Weszli do pokoju. Palila się tylko mała przyćmioną lampka, zasłony były szczelnie zaciągnięte.

- Jak poszło? - spytał. Złodziej pokiwał głową z wyrzutem.

- Gdybym wiedział, że to taki cwaniak - odparł - to bym chyba poszedł gdzie indziej.

Zmordowałem się, uszargałem, przewaliłem całe mieszkanie, potem warsztat i nic. Złość - mnie wzięła, wyjąłem mu szmatę z ust, przyłożyłem majchra do gardła i zaproponowałem małą operacyjkę po szyi. Nie lubię tego, niech mi pan wierzy Mokra robota to nie mój fach. Ale wciąż się stawiał, więc przejechałem mu wolniutko po szyjce, nie głęboko, ale zalał

się krwią. Oczy mu wylazły ze strachu. No i powiedział.

- Gdzie schował? - zaciekawił się paser. „Operator” roześmiał się cicho.

- Dasz pan wiarę, że nosił pod koszulą? Jak baba, co idzie na targ. Woreczek taki sobie uszył, całkiem elegancki. Zabrałem, wsunąłem mu szmatę z powrotem w mordę, zalepiłem plastrem, żeby się za wcześnie nie rozdarł, przywiązałem go mocniej do krzesła. I poszedłem. - Wyciągnął z kieszeni jedwabny żółty woreczek, przepocony, ciężki od zawartości. Rozwiązał i wysypał monety na stół. Były tam dwie dwudziestodolarówki, kilka carskich rubli, dukat austriacki, dwie obrączki z grubego złota, trzy pierścionki i sygnet.

Paser wziął lupę, oglądał wszystko po kolei, jego twarz wyrażała zadowolenie. Zastanowił się chwilę, potem odsunął obrączki. Miały wryte jakieś imiona i datę, a nie lubił ryzykować.

- Daj je komuś do przetopienia - powiedział. - Najlepiej „Rączce”, on ma warsztat zegarmistrzowski. Może sam weźmie i zapłaci.

Złodziej zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie sprzedam mu - odparł. - Będę patrzył, jak „Rączka” przetapia i zabiorę. Żadnych śladów za sobą, to moja zasada.

- Chwalebna.

Obliczyli się później, trochę potargowali, chociaż paser na ogół tego nie tolerował, wreszcie doszli do porozumienia. „Operator” zwinął banknoty, porozmieszczał po wewnętrznych kieszeniach i w portfelu. Wstał, rozejrzał się, jakby chcąc się upewnić, czy czegoś nie zapomniał. Wyciągnął rękę po woreczek, ale paser tę rękę odsunął.

- Spalę - mruknął. - Sam powiedziałaś: żadnych śladów!

- Słusznie.

Pożegnali się spojrzeniem i ruchem głowy, paser nikomu ręki nie podawał, taki miał zwyczaj. Nie wy dobył też pistoletu, bo wiedział, że z „Operatorem” nie musiał. On naprawdę nie lubił mokrej roboty, był na swój złodziejski sposób uczciwy.

\*

Monika nie mogła zrozumieć, dlaczego jubiler, nie tak dawno przecież jej gorący wielbiciel, nagle przestał ją poznawać, wyparł się transakcji i zachowywał się wręcz arogancko. W końcu doszła do wniosku, że to przez zazdrość Przyszła przecież do niego z takim przystojnym, eleganckim panem. A jeżeli tak - myślała dalej - to wszystko będzie inaczej, kiedy pojedzie tam sama. Na pewno Władek ją przeprosi i zwróci resztę pieniędzy.

Wybrała się po kilku dniach, wczesnym popołudniem. Zajechała przed warsztat, ale na drzwiach wisiała kartka, że z powodu choroby nieczynny. Jubiler mieszkał na piętrze nad zakładem, bywała tam nieraz, zwłaszcza kiedy po rozwodzie wyprowadziła się od niego eks-małżonka.

Weszła więc po schodach, trochę niespokojna, jak też ją przyjmie, zawczasu przygotowując sobie różne argumenty ataku i obrony. Dzwoniła długo, nikt nie otwierał. Czyżby to jakaś poważna choroba, że zabrali go do szpitala? Wreszcie, kiedy już miała odejść, ktoś ostrożnie uchylił drzwi, zaczepione na łańcuch. Jubiler patrzył na nią nieufnie, był w szlafroku, na szyi miał bandaż.

- To ja! - wykrzyknęła zniecierpliwiona. - Znowu mnie nie poznajesz? Zostaw te głupoty i otwieraj.

Zdjął łańcuch, była zdziwiona takim przyjęciem, pomyślała, że jest



wciąż obrażony na Kazia, który wszedł między nich. Chciało jej się śmiać, w porównaniu z Kazimierzem ten chudy, łysawy człowieczek z brodawką na nosie przegrywał z kretesem.

- Chorujesz? Masz anginę? Wskazał jej fotel i odparł szeptem:

- Napadli mnie. Pokaleczyli szyję. - Popatrz - odchylił trochę bandaż, zobaczyła krwawą bliznę. Przejął ją strach i obrzydzenie.

- Kto cię pokaleczył? - spytała, choć pytanie nie - miało sensu, na ogół znajomi nie napadają na znajomych.

- Złodziej! Bandyta. Rzezimieszek - szeptał, wytrzeszczając na nią oczy, na policzkach miał ceglaste rumieńce, pewnie wskutek gorączki. - Chory jestem Straciłem cały majątek.

- Zawiadomiłeś milicję?

- Zwariowałaś? - oburzył się. - Żeby mnie wsadzili za handel złotem?

Przypatrywała mu się, nieufna i zaniepokojona. Blizna była prawdziwa, ale może sam się czymś skaleczył, a teraz odgrywa przed nią całe przedstawienie. Jubiler sapał chwilę, a potem rzekł:

- Gdybyś wtedy przyjechała bez niego, dopłaciłbym ci ze dwadzieścia tysięcy, bo to, co ten twój... znajomy mówił o cenach, to bzdura! Wziął je chyba z sufitu - dodał pogardliwie.

- Kto wiedział, że miałaś złoto i biżuterię?

- Nikt. Zaraz... No, oczywiście wiedzieli niektórzy z moich dostawców. Ale tych jestem pewien. O transakcji z tobą nie wiedział absolutnie nikt.

Nagle coś jej przyszło do głowy. Myśl była jednak tak absurdalna i przerażająca, że musiała natychmiast zapytać:

- Jak wyglądał ten złodziej?

- Na co ci to? Był mały, chudy i zwinny jak szczur. Twarzy nie widziałem, zasłonił ją sobie szmatą czy pończochą. Chyba był rudy.

Odetchnęła z ulgą. Powinna teraz powiedzieć kilka słów współczucia, ale doszła do wniosku, że to zbyteczne. Tak czy owak, jubiler zapłacił jej za mało, a to już było z jego strony obrzydliwe. Poza tym, z tą okropną blizną, ze spoconą, czerwoną twarzą, ziejący przykrym oddechem wydal jej się po prostu nieapetyczny. Jak ja mogłam z nim... - myślała, czując wstręt. - W dodatku, taki skąpiec!

Podniosła się, kiwnęła mu głową na pożegnanie. Nie zatrzymywał jej, tylko kiedy wychodziła, podreptał do przedpokoju i starannie pozamykał drzwi.

Wieczorem zadzwoniła do Kazimierza i opowiedziała mu, co zaszło. Zastanawiał się chwilę, a potem odparł z pewną satysfakcją

- Widzisz, nie opłaciło mu się oszustwo. Jak w przysłowiu, kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Przechytrzył cię, a potem jego przechytrzyli. Nie mówił ci, gdzie trzymał monety?

- Nie pytałam. To już wszystko jedno, monet i tak nie ma.

- Też prawda. Ale pamiętaj, na drugi raz, jak będziesz chciała coś sprzedać, poradź się przedtem człowieka, do którego masz zaufanie. To znaczy mnie - roześmiał się. - Prawda kochanie? Słuchaj, czy przypadkiem nie pytałaś jubilera, jak wyglądał, złodziej, który go napadł?

- Pytałam - przyznała zdziwiona. - Skąd wiesz?

- Bo, widzisz, byliśmy tam we dwoje. Ty nie zrobiłaś tego na pewno, - więc pozostają tylko ja.

- Masz źle w głowie - odparła zmieszana. Była zadowolona, że

rozmawiają przez telefon, a nie w cztery oczy.

- No, więc jak wyglądał ten bandyta? Podobny do mnie?

- Nie. Mały, rudy Władek powiedział, że kojarzył mu się ze szczurem.

- Cieszę się. Bo ze szczura, to we mnie nic nie ma - mówił z ironią, którą wyczuwała w jego głosie. Potem zmienił ton: - Słuchaj, może byś do mnie wpadła wieczorkiem? Jestem sam; Danuta pojechała do rodziny, wróci dopiero pojutrze.

- Dobrze - odparła, znowu rozczulona i radosna. - Przyjdę na pewno!

\*

Jedenastego lipca, tak jak i w poprzednich paru dniach, prawdziwie letni żar lał się z nieba. Była sobota, kto mógł uciekał z miasta na wieś, nad wodę, byle gdzie, aby z dala od rozpalonych murów i ulicznej spiekoty. Noc też nie dała ani odrobiny chłodu, termometry w mieszkaniach uparcie wskazywały blisko trzydzieści stopni.

Ciemnozielony fiat-125 p, sfatygowany, z poobijanym prawym bokiem i wgniecionym błotnikiem wyjechał powoli z peryferii Pragi Północnej, kierując się za miasto. Siedział w nim tylko jeden człowiek. Mimo nocnej pory miał na oczach duże ciemne okulary, a choć był upał, kurtkę z podniesionym kołnierzem i sportowa czapkę. Prowadził wóz spokojnie, na wyprzedzające go samochody nie zwracał większej uwagi, niż wymagała tego zwykła czynność kierowcy. Chwilami wydawało się że woli trzymać się z tyłu i nigdzie mu się nie śpieszy.

Skręcił w prawo na polną drogę, potem jeszcze kilka razy, to w jedną, to w drugą stronę, minął jakąś fermę hodowlaną, plantacje porzeczek, wreszcie znalazł się w lesie. Ten las nie otaczał głównego

traktu, prowadzącego od Warszawy na północ, lecz stał z boku, zresztą nie był gęsty, za to ciągnął się długim pasem, może kilkanaście kilometrów, a nawet więcej. Na wąskiej i piaszczystej drodze wóz poruszał się z pewnym trudem. Reflektory oświetlające najbliższe kilka metrów rzucały słaby blask i z pewnością nie były to światła widoczne z daleka. Może temu człowiekowi właśnie o to chodziło.

W pewnej chwili las rozstał się, okalając małą polanę. Wznosiły się na niej jakby ruiny niegdysiejszego zameczku, wielkie głazy obrośnięte mchem, popękane, poprzerastane krzewami i wysoką trawą. W mroku nocy wydawały się czarne. Bujna, swobodnie rosnąca zieleń nie nosiła żadnych śladów ludzkiej bytności - żadnych papierów, puszek, stłuczonych butelek, plastikowych opakowań, tego wszystkiego, czym turyści lubią „upiększać” swój pobyt na tak zwanym łonie przyrody. To łono było czyste, dzikie i nad podziw wyrosłe.

Ale człowiek w ciemnych okularach nie przyglądał się polanie, kwiatom, drzewom, zresztą był tu nie po raz pierwszy. Wysiadł z samochodu, postać kilka minut, nad słuchując szmerów i odgłosów, dobiegających z leśnych mroków. Uspokojony wyjął z samochodu niewielką torbę, kieszonkową latarkę i pęk kluczy. Potem, cicho stąpając po miękkiej trawie, zbliżył się do omszałych kamieni. Obszedł je półkolem, poświecił, schylił się i przez chwilę szukał czegoś, aż znalazł. Były to, świetnie zamaskowane, małe drzwiczki. Otworzył je za pomocą kilku kluczy specjalnego kształtu. Z otworu wionęło chłodem i wilgocią. Człowiek wśliznął się do środka, zamykając drzwi za sobą.

Znalazł się w dużej piwnicy o mocnym, kamiennym stropie i murowanych ścianach. Powiesił latarkę na haku, dawała silne światło,

ukazując skąpe umeblowanie: stół, dwa krzesła i szafę pancerną, niczym sejf bankowy, z szyfrowym zamknięciem. Okien tu nie było, lecz dolatywało skądś świeże powietrze i tylko trochę czuło się wilgoć, pełzającą po ścianach i podłodze.

Położył torbę na stole. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął jeden tylko, ale oryginalny w kształcie klucz. Podszedł do żelaznej szafy, nakręcił cztery cyfry na sejfie, potem włożył klucz w ledwie dostrzegalny otwór i otworzył kasę. Przez jakiś czas przyglądał się temu, co było w środku, przesuując wzrok od jednej półeczki do drugiej. Wysunął ostatnią na dole - zamigotało, rozbłysło złociście i kolorowo. Mężczyzna uśmiechnął się do przepięknej kolekcji brylantów i drogich kamieni. Jego ulubione szafiry błękitnej, wpadającej w lekki fiolet barwy, leżały w oddzielnym pudełku, na aksamitnej wyściółce. Osobno też znajdował się najdroższy z całej kolekcji, bladozielonkawy szmaragd. Rubiny były dwa: okrągło rżnięty i podłużnie, wyglądały jak krople krwi. Prócz tego na dolnej półce znajdowało się kilka ciemnoczerwonych granatów i trochę pośledniejszego gatunku kamieni, jak topazy, akwamaryny, turmaliny, a wreszcie duże, nieobrobione kawałki agatu, malachitu i fiołkowego ametystu.

Nie mógł oderwać wzroku od tego bogactwa, pieścił je oczami, dotykał lekko czubkami palców, jakby bał się, że mocniejsze dotknięcie uszkodzi kamień, choć znał doskonale ich twardość. Wreszcie z westchnieniem zasunął głębiej półeczkę. Z przyniesionej torby wyjął parę szwajcarskich sztabek złota; każda ważyła trzy uncje i nosiła próbę 999, co dawało jej aktualnie wartość dwustu kilkudziesięciu tysięcy złotych. Umieścił je na górnej półce, dodał wszystko, co jeszcze miał w torbie,

osobno ułożył paczki banknotów dolarowych, inna waluta tu nie trafiała.

Wreszcie starannie zamknął, swoją kasę pancerną. Przyjrzał się drobnym kropkom wilgoci na ścianie i zmarszczył brwi. Pomyślał, że należałoby od czasu do czasu osuszyć powietrze, najlepiej elektrycznym grzejnikiem. Mógł go podłączyć do akumulatora w samochodzie albo przywieźć oddzielny. W kasie wilgoci nie było, tym niemniej należało uważać.

Rozejrzał się jeszcze po piwnicy, zabrał torbę i wyszedł na polanę. Dokładnie pozamykał drzwiczki, przysłonił kamieniami. Znowu stał kilka minut, słuchał i patrzył w Jas. Około drugiej nad ranem wyjeżdżał z powrotem na peryferie północnej Pragi.

## **Rozdział 5**

Do sklepu nabiałowego mieli przywieźć jajka, więc kolejka po ser powiększyła się do setki i zatoczyła dwie pętelki na skwerku pomiędzy kioskami. Ostatnia dekada lipca zaczęła się chłodem i deszczem, ludzie stali jednak twardo, nie przepuszczali nawet kobiet w ciąży ani inwalidów, chyba, że był to inwalida, jak mówiono, wyraźny, bez nogi czy czegoś tam.

Nawiązywały się życzliwe, przelotne znajomości, udzielano sobie rad, wymieniano co smakowitsze epitety, związane z tym, czy owym nazwiskiem, krążyły nawet aktualne dowcipy, gdyż w kolejkach żadna cenzura, nawet obyczajowa, nie obowiązywała.

Jakiś mężczyzna z długimi włosami i takąż brodą próbował wepchnąć się do obłożonego sklepu, ale wyproszono go natychmiast i

boleśnie.

- Te brodate ludzie, to strasznie nicpotem - zauważyła jedna z kobiet.

- Pani nie wie, kiedy jajka przywiozą?

- Od jajek się głupieje - mruknął stojący za nią pan w szarym płaszczu i kichnął potężnie.

- Mój dziadek na dwa dni przed śmiercią też tak kichał - westchnęła.

Pan przestraszył się, a dwaj stojący dalej młodzi chłopcy zarechotali radośnie. Było im nudno, ale musieli stać, bo chcieli jeść.

Młoda dziewczyna, starannie umalowana i uczesana, przedostała się przez ogon kolejki, zaszła sklep od tyłu, zastukała umówionym sposobem.

Ekspedientka otworzyła, popatrzała, poznała i wpuściła.

- Co ci dać, Jolka? - spytała przyjaźnie. Wyjrzała inna sprzedawczyni, zmarszczyła brwi.

- Bez kolejki? - zdziwiła i się, ale koleżanka wyjaśniła:

- To przecież Jolka z baru, od pani Pasowskiej. Wiesz, tej czarnej Danuty. Wskoczyła z pracy, to trzeba jej dać, bo musi zaraz wracać. Chcesz ser czy jajka?

- Daj, kochana, z dziesięć jajek. - I ser żółty, może pół kilo, jaki bądź.

-

- I tak nie ma wyboru. Dobrze, że w ogóle jest mazurski. Zaraz ci przyniosę. Co tam u was słychać?

Jolka wzruszyła ramionami.

- Szefowa jakaś marudna, wścieka się o byle co. Dobrze, że we wrześnie idziemy na urlop. Zamykamy budę.

- A o co jej chodzi?

- Pewnie o męża Wiesz - zaśmiała się - widziałam go niedawno z

taką szykowną babką, siedzieli w „Europejskiej”. Blondyna, już nie bardzo młoda, ale przystojna, elegancka, zaglądali sobie w oczka i gruchali jak para gołąbków. Czysta komedia!

- Czemu? Może się kochają. - Ekspedientka lubiła romanse. Cudze, bo męża trzymała krótko.

- Coś ty! Ten Kazimierz, to już niejedną obskakiwał, wiemy, bośmy go nie raz widziały, ja albo Zośka, ta druga kelnerka. Szefowa wczoraj rozmawiała z kimś przez telefon i żaliła się, że mąż coraz częściej nie wraca na noc do domu albo dopiero o bladym świcie. Do baru też rzadko zachodzi. A szkoda, bo my go lubimy. Miły człowiek, przystojny, grzeczny. A ona, to się taka zołza zrobiła, aż strach. Nic dziwnego, że Kazio na noc nie wraca - zaśmiała się.

Kupiła jajka i ser, pożegnała ekspedientkę i wyszła.

\*

Pułkownik popatrzał po zebranych, zajrzał do notatek i ciągnął dalej:

- Mówiłem już, że w okresie od sierpnia ubiegłego roku gwałtownie wzrosła przestępczość - napady rabunkowe, gwałty, włamania, wybryki chuligańskie. Od kilkunastu do kilkudziesięciu procent! W niektórych województwach nawet dwukrotnie. Sami rozumiecie, co to znaczy.

Oficerowie, siedzący na naradzie, mruknęli potakująco, twarze mieli zmęczone i gniewne. Oni najlepiej odczuwali w praktyce, co oznaczały te procenty.

- W ulotkach i napisach na murach możemy przeczytać, że milicja bije, porywa ludzi, torturuje. Kolportowane są tak zwane „listy otwarte”, skierowane przeciwko nam i naszym rodzinom. Posądza się nas o najróżniejsze przywileje, odmawia podstawowego prawa do wypoczynku,



do sanatoriów i tak dalej. To też wiecie.

Rozpiął guziki munduru, na sali było gorąco. Spojrzał po sali, na zegarek i kontynuował:

- W Zakopanem ale nie tylko tam, rozrzucono ulotki nawołujące do nieobsługiwania milicjantów w lokalu, do niesprzedawania im paliwa na stacjach Cepeenu. W jednym z warszawskich tramwajów motorniczy zatrzymał wóz i odmówił dalszej jazdy, dopóki nie wysiadzie funkcjonariusz w mundurze. Takich przykładów jest wiele. - Przerzucił parę kartek w notatniku. - Trochę liczb. Od stycznia do lipca, czyli za pierwsze półrocze, mieliśmy wzrost wszczętych śledztw i dochodzeń o trzydzieści sześć procent. Największy dotyczy zabójstw na tle seksualnym i bliżej nieustalonym. Rozboje - wzrost o trzydzieści siedem procent. Włamania do obiektów prywatnych aż o blisko dziewięćdziesiąt procent! O eskalacji okrucieństwa sprawców przestępstw, o ich bezwzględności, o aktach przemocy, o coraz częstszym sięganiu po broń palną już mówiłem. Chciałbym tylko dodać, że mamy dziś w kraju dobrze ponad sto tysięcy tak zwanych pasożytów społecznych, ludzi nie pracujących i nie uczących się. Notujemy ogromny wzrost czarnorynkowych cen na obce waluty i na złoto.

Umilkł, patrzył przez chwilę na swoich kolegów. Byli to wszystko oficerowie z długoletnim stażem w służbie, doświadczeni, znający zarówno technikę kryminalistyczną, jak i psychologiczne motywy działania sprawców. Każdy miał za sobą wyższe studia, niektórzy ukończyli też Akademię Spraw Wewnętrznych. Przyjechali ze wszystkich komend wojewódzkich, znali swój teren jak własną kieszeń i to, co mówił teraz do nich, mogli poprzeć dziesiątkami przykładów. Wiedział o tym.

Chciał jednak zebrać ich razem, jakoś to wszystko podsumować, a potem wspólnie zastanowić się, co dalej.

Gorycz, gniew, zniechęcenie przeżywał tak, jak każdy z nich. I on, jak tamci, niejedno - życie ocalił, nie jeden, a dziesiątki, może setki razy zatrzymywał złodziei, włamywaczy, pijackich awanturników, chuliganów, oddawał właścicielom zrabowane miernie, zapobiegał napadom, odnajdywał morderców. To wszystko teraz, w opinii niektórych, może wielu - nie liczyło się. Przekreślono to wszystko grubą krechą niepamięci, jakby nigdy nie istniało. Nieznani, może zresztą nie tak bardzo nieznani, mówili do niego, do wszystkich oficerów i podoficerów, poprzez ulotki, biuletyny, napisy na murach: „Nie jesteście potrzebni! Nikomu - nigdy - dla niczego”. Mówili to również ludzie, którzy jeszcze niedawno zwracali się do milicji o pomoc, bo ich ktoś okradł, napadł, zgwałcił kobietę, zamordował brata czy matkę, pobił bez żadnej przyczyny.

Ale o tym dzisiaj nie chcieli pamiętać. - No więc dobrze. Trudno - zakończył głośno swoją myśl. - Do nas należy wypełniać obowiązki służbowe, czy to się komu podoba czy nie. Nie ma urlopów, sytuacja jest taka, że trzeba ratować bezpieczeństwo obywateli. Ratować kraj. Przed zupełną anarchią i przemocą elementu przestępczego. - Popatrzał po sali i dodał ostrym tonem: - To jest rozkaz, koledzy!

\*

Noc była ciemna, bezksiężycowa i chłodna. Zielony, obszarpany fiat-125p zatrzymał się w głębi lasu na skraju polany Człowiek w ciemnych okularach, wysiadłszy z samochodu świecił sobie latarką, choć do ukrytego skarbcza mógł trafić nawet z zamkniętymi oczami. Bał się jednak, że na mokrych po deszczu kamieniach noga jego poślizgnie się, a wtedy

rozbić się mogą dwa piękne, kryształowe wazony, które niósł w torbie.

Jak zwykle odszukał drzwiczki, otworzył i wszedł do piwnicy. Z widocznym upodobaniem przyglądał się artystycznie rzeźbionym smukłym wazonom, lśniącym w świetle lampy wszystkimi kolorami tęczy. Potem rozejrzał się, aby znaleźć dla nich właściwe miejsce, kiedy nagle znieruchomiał. Coś go zaniepokoiło, wyczuł raczej niż usłyszał szmer - tam, na górze, może doleciał przez otwór wentylacyjny, bo drzwi były zamknięte.

Nasłuchiwał przez chwilę. Szmer powtórzył się, jakby coś otarło się o karoserię wozu czy o głąz. Zwierzę?... Albo człowiek.

Użycie broni palnej nie wchodziło w rachubę. Nie miał tłumika. Sięgnął więc po niedużą, ale ciężką rurkę ołowianą, leżała od dawna zawsze w tym samym miejscu, na wszelki wypadek. Zgasił lampę, wziął małą latarkę z niebieskim szkłem, dawała minimalny snop światła, który musiał wystarczyć. Bezszelestnie otworzył drzwiczki piwnicy i wyczołgał się raczej, niż wyszedł na zewnątrz.

Od razu zrozumiał, co się stało. Zapomniał choć jeszcze nigdy mu się to nie zdarzyło, wyłączyć reflektory wozu, w dodatku te silniejsze Fiat był więc widoczny z daleka, a w każdym razie z leśnej drogi. Ktoś te światła zobaczył i przyszedł. Stał teraz pochylony przy bagażniku i chyba próbował odczytać to, co znajdowało się na tablicy rejestracyjnej.

Pomyślał, że nie ma ani sekundy do stracenia. Podkradł się bliżej, raptownie wyprostował i zanim tamten zorientował się, co oznacza szmer za jego plecami, na pochyloną postać spadło straszliwe uderzenie. Potem na tył głowy. A kiedy leżał, otrzymał jeszcze kilka morderczych ciosów po twarzy, ale już ich nie czuł.

Człowiek w ciemnych okularach oddychał teraz ciężko, zmęczony wysiłkiem. Przyszło mu na myśl że może było ich dwóch, więc przerzucił rurkę do lewej ręki, i mimo wszystko, wyjął pistolet, odbezpieczył. Ale dokoła panowała cisza, przerywana tylko szelestem kropel wody, spadających od czasu do czasu z mokrych liści. Czekał kilka minut, rozglądał się, nasłuchiwał. Potem wyłączył reflektory wozu i znowu czekał. Wreszcie pomyślał, że jednak tamten był sam.

Należało teraz zastanowić się, co dalej. Pi chwili namysłu schylił się, stęknął i dźwignął martwe ciało, a potem zaciągnął je do piwnicy i rzucił, jak worek z kartoflami, na podłogę. Zamknął drzwi od wewnątrz, usiadł przy stole i odpoczywał. Odzwyczał się od fizycznego wysiłku, chociaż mięśnie miał wyrobione, ale ostatnio zaniedbał gimnastykę i sport. Popatrzał obojętnie na rozharataną twarz człowieka, którego zabił, tylko dlatego, że przeszkodził mu w ważnym zajęciu i mógł stać się niebezpiecznym świadkiem. Tylko tyle odczuwał, nic poza tym.

Kiedy odpoczął, kucnął przy zwłokach i zaczął przeglądać kieszenie. Chciał wiedzieć, kim był zamordowany, to mogło się przydać. Wyciągnął dowód osobisty, otworzył. Daniel Mroziak, kawaler, zamieszkały w Warszawie... ulica, numer... miał dwadzieścia sześć lat. W rubryce: adnotacje o zatrudnieniu widniała pieczęć dużej stołecznej fabryki. Mógł być robotnikiem, urzędnikiem, inżynierem... W drugiej kieszeni marynarki znalazł” legitymację służbową, tam wymieniono zawód Daniela Mroziaka - mechanik. Jeszcze paczka marlboro, zapalniczka, chustka do nosa, kilka biletów autobusowych i tramwajowych, stary bilet PKS. Klucze, pewnie do mieszkania. Okulary przeciwsłoneczne, zgniecione uderzeniem. Na ręku złoty lub pozłacany zegarek omega. Na szyi łańcuszek z medalikiem.

Poukładał wszystko na stole, polem zgarnął do foliowego woreczka i, wzięwszy łopatę, wyszedł na polanę. W gęstej trawie pomiędzy drzewami wykopał dół, wrzucił woreczek, zasypał ziemią, nakrył trawą, liśćmi. Nie było znać, chyba że w jasny dzień... ale któż by, ni stąd ni zowąd, rozkopywał trawę akurat tu. Nonsens.

Wrócił do piwnicy. Spojrzał na zegarek: sześć minut po pierwszej. Dobra, bardzo dobra pora na to, co zamierzał zrobić. Owinął zwłoki w brezent, który woził w samochodzie, owiązał sznurkiem byle jak, wytaszczył na polanę i z pewnym trudem umieścił w bagażniku. Poświecił sobie w miejscu, gdzie Daniel Mrozik otrzymał śmiertelny cios. Na zgniecionej trawie znać było ciemne plamy. Powyrywał więc zakrwawione źdźbła i chwasty, nasypał trochę liści i gałązek, przyłożył parę kamieni. Jeszcze raz wszedł do piwnicy, popatrzał na podłogę. Wytarł starannie ślady krwi, sypnął garść piasku i stłuczonej cegły, na wszelki wypadek rozlał na tym miejscu nieco szybko schnącej farby nitro czerwonego koloru. Wreszcie zgasił lampę i wyszedł.

Znał dobrze to małe jezioro, zarośnięte, po brzegach trzcina i szuwarami, łowił w nim czasem ryby. Leżało w głębi lasu, mało kto z wędkarzy tam zaglądał, żeby do niego dotrzeć, należało iść kilka kilometrów, przedzierając się przez krzewy dzikich malin i jeżyn pod olszynami i osikami. Znał jednak drogę, którą mógł poprowadzić samochód aż na brzeg jeziora. Była to wprawdzie jazda trudna, powolna, zwłaszcza że nie chciał zapalać świateł. Nie miał jednak innego wyjścia.

Wóz toczył się ostrożnie, przechylał i podskakiwał na wystających korzeniach, coś w nim zgrzytało i skrzypiało. Po trzech kwadransach las nagle rozstał się. Oczy człowieka, przyzwyczajone - już do ciemności,

dostrzegły połyskującą tafłę wody. Odetchnął z ulgą. Dojechał na sam brzeg, stanął. Wsiadł i długo znowu nasłuchiwał, rozglądał się, bo przecież mógł tu mimo wszystko, gdzieś zacząć się wędkarz albo kłusownik, jakaś straż leśna czy inspektorzy z koła wędkarskiego, diabli wiedzą kto.

Kiedy już upewnił się, że dookoła nie ma żywej duszy, wyciągnął z bagażnika zwłoki, odwinął sznurek, rozpostarł brezentowe płótno i dźwignąwszy ciało zataszczył je na piasek przybrzeżny. Potem popchnął swą ofiarę w wodę, między szuwary, twarzą w dół. Stał czas jakiś i patrzył. Niebo na wschodzie pojaśniało, odezwały się pierwsze głosy zbudzonych ptaków. Trzeba było wracać i to szybko. Zwinął brezent i sznurek. Przez chwilę zastanawiał się, co z tym zrobić, nie chciał zabierać i wieźć do miasta zakrwawionej płachty. W końcu poszedł brzegiem jeziora sto, może sto pięćdziesiąt metrów, dojrzał trzciny gęstsze niż gdzie indziej i wrzucił tam. Z brzegu nie było widać, ciężkie płótno plusnęło w wodzie i chyba opadło na dno.

Obejrzał jeszcze wnętrze bagażnika, ale było czyste. Powrócił na polanę, popatrzał znowu na miejsce zabójstwa. W świetle wstającego dnia kamienie i gałązki wyglądały, jakby leżały tu zawsze. Wyprowadził fiata na drogę, dodał gazu.

Do domu dotarł kilka minut po trzeciej.

\*

Leśniczy Staniszewski szedł krokiem pewnym i szybkim, jego towarzysz, stażysta z zarządu lasów, chwilami nie mógł nadążyć, co widząc tamten zwolnił, bo chciał pogadać. Mówiąc dokładniej,- leśniczy pragnął przekonać się” czy przysłano mu kompletnego wała w materii, o

którą chodziło, czy też chłopak coś niecoś umie. A chodziło o torf.

- Szukał pan kiedy torfu? - spytał życzliwym tonem, wyjmując z kieszeni fajkę i kapciuch z tytoniem. Przystanęli pod starym dębem, odpoczywali chwilę.

- Nie - odparł stażysta z zakłopotaniem. - Zdaję się więc na pana jako gospodarza lasów. Jestem dopiero po studiach i nie mam jeszcze praktyki.

Szczera odpowiedź ostudziła kpiarskie zapędy leśniczego, spodobało mu się, że facet z Warszawy nie zadziera nosa. Postanowił wyjaśnić mu to i owo, jako że sprawę torfu miał w jednym palcu.

- Dwa kilometry stąd - powiedział - jest nieduże jezioro, obrośnięte olszynami, brzoškami i osikami. Dokoła niego rozciąga się spory pas gleby murszowej, która to gleba utworzyła się na pobagiennej. Co to jest bagno, lepiej, żeby pan się własnymi nogami nie przekonał.

Stażysta miał wyobraźnię, więc błyskawicznie przed jego oczami pojawił się obraz bulgocącego, cuchnącego mokradła, w którym zapada się coraz głębiej, głębiej i tonie... Wzdrygnął się, ale słuchał dalej.

- Gdyby taką glebę murszową przekroić z góry na dół, zobaczyłby p?fn tuż pod ściółką kilka rodzajów murszów, ułożonych warstwami, jak, nie przymierzając, tort z kremem, potem wodę, a na końcu dwa gatunki torfu.

- Czemu dwa? - zaciekał się. Staniszewski wydmuchał kłęb dymu i odparł z nutą wyższości w głosie.

- Ten na samym spodzie jest nie zmurszony, a ten wyżej ma spēkania. No, tyle musisz pan wiedzieć. Są też gleby czysto torfowe, od niskich do Wysokich, ale tutaj ich nie ma, więc nie musimy się nimi zajmować. Chyba że pana wyślą w inny rejon, ale to już nie moja sprawa. Czy wasz dyrektor jeździ jeszcze tym czarnym mercedesem?

Przejście od torfu do dyrektora było tak niespodziewane, że chłopak na chwilę zaniemówił. Potem zamyślił się, próbując, przypomnieć sobie kolor i markę wozu szefa, jednakże nic z tego nie wyszło. Nie interesowały go rzeczy, które nie leżały w kręgu jego możliwości finansowych. Na wszelki wypadek odpowiedział, że dyrektor zmienił już mercedesa na volvo, zdaje się, zielone. Jego zdaniem dyrektorzy łatwo i często zmieniają samochody, stać ich na to.

Szli potem leśnymi ścieżkami, które Staniszewski odnajdywał bezbłędnie w coraz gęstszych krzewach i wysokich paprociach. Młody stażysta słyszał kiedyś, że w paprociach siedzą kleszcze, przelazące na człowieka i wbijające się pod skórę, skąd bardzo trudno je wydostać. Schował więc ręce w kieszenie i szedł krokiem jakby nonszalanckim, w rzeczywistości pełen strachu. Raptem leśniczy zatrzymał się, chłopak wpadł na niego, przeprosił i stanął z boku, zasapany.

- Jezioro - powiedział Staniszewski i pokazał ręką.

- Tak, oczywiście - odrzekł jego towarzysz, chociaż nie - widział nic poza trzciniami, ale uwierzył na słowo.

- Idziemy.

Usiedli później na trawie, przed oczami mieli spokojną, leciutko pofalowaną powierzchnię wody, nad którą przelatywały ze świstem kaczki-cyranki, a gdzieś daleko huczał bąk. Leśniczy zatoczył ręką szeroki łuk, wskazując pasma gleb murszowych z torfem, a stażysta znowu uwierzył na słowo, gdyż widział tylko las i trawy. Wypalili, jeden fajkę, drugi papierosa, posłuchali krzyku ptaków i szelestu zielonych ważek o połyskliwych skrzydełkach. Wreszcie Staniszewski schował fajkę i już miał wstać, kiedy nagle coś zwróciło jego uwagę. Właściwie na to „coś”



zareagował jego nos.

- Coś tu śmierdzi - mruknął, a jego współtowarzysz przez chwilę poczuł się urażony, gdyż

- oprócz nich dwóch nie było nikogo więcej, nawet psa. Nie wiedział, że był jednak ktoś trzeci.

Wiatr niósł woń z lewej strony, od brzegu jeziora. Poszli w tym kierunku, aż leśniczy bystrym okiem dojrzał w trzcinach ciemny, podłużny kształt. Zbliżyli się do samego brzegu, przystanęli. Nie było już wątpliwości, w wodzie leżał topielec. Chłopak bał się trupów, zwłaszcza w nocy, teraz jednakże nie miał innego wyjścia, jak zastosować się do tego, co robił leśniczy. Wzięli więc kije, przyciągnęli zwłoki na piasek, odwrócili twarzą. Widok był tak straszny, że stażysta dostał torsji, a Staniszewski, choć niejedno w życiu widział, poczuł nagłą chęć ucieczki z lasu, jak najdalej od jeziorka.

- Trudno - powiedział marszcząc siwe, krzaczaste brwi. - Trzeba.

Nachylił się i, nie dotykając ciała, próbował za pomocą kija stwierdzić, czy w kieszeniach marynarki nie ma dokumentów. Nic takiego nie wyczuł, ale papier mógł rozmięknąć w wodzie i przykleić się do podszewki. Z całą pewnością jednak nie było w marynarce portfela ani na ręku zegarka. Leśniczy wyprostował się, zapalił fajkę i zwrócił się do chłopaka, któremu tymczasem trochę przeszło.

- To jak będzie? Ja pójdę na milicję, a pan tu zostanie, czy...

- Za nic! - wykrzyknął tamten. - Gdzie ta milicja?

- Jakies dwa kilometry pójdzie pan do szosy, tam się można zabrać byle czym do miasteczka. Komisariat jest w rynku.

Stażysta zastanowił się chwilę, a potem powiedział:

- Właściwie moglibyśmy iść razem, nie? Przecież ten... nie ucieknie.

- Leć pan, leć! Nie mędrkuj. Ja wiem, co mam robić.

Kiedy indziej leśniczy nie pozwoliłby sobie na takie słowa wobec, jakby nie było, przedstawiciela zarządu lasów, chociaż ten gówniarz... No, mniejsza. Teraz jednak rozumiał, że tylko energiczne polecenie zmusi chłopaka do działania, inaczej zacznie histeryzować, trudno się dziwić, nieczęsto się widuje trupa, zwłaszcza takiego.

Stażysta puścił się biegiem przez las, ścieżki, którymi tutaj przyszli, były dobrze widoczne, gdyż wydeptały je dwie pary nóg i trawa nie zdążyła jeszcze się wyprostować. Leśniczy przyglądał się zwłokom uważnie, chciał zorientować się czy jest to ktoś znajomy, może mieszkaniec którejś z sąsiednich wiosek czy miasteczka. Po wzroście, ubraniu i po tym, co zostało z twarzy, nie rozpoznawał jednak nikogo. Brak portfela i zegarka wskazywał na mord rabunkowy, ale ofiara nie musiała wcale zegarka nosić. Portfel mógł wypaść na dno jeziora. Ciekawe, w jakim celu ten człowiek przyszedł nad samotne, rzadko odwiedzane jezioro i jakim cudem na takim odludziu napotkał złodzieja i zabójcę, akurat tutaj, tak jakby tamten na niego czekał, żeby okraść i zabić.

- Dziwne - mruknął Staniszewski. - Może się tu umówili. Cholera wie, po co.

Bo, że to było morderstwo, nie miał wątpliwości. Gdyby woda wyrzuciła na brzeg topielca, nie miałby tak rozbitej twarzy. Myślał o tym, rozglądał się dokoła i pożałował, że nie zabrał z domu strzelby, albo chociaż psa, co zwykle czynił. Las był dotychczas spokojny, a jeziorko prawie niedostępne, więc komu by przyszło do głowy...

Odszedł kilkanaście kroków, aby nie czuć strasznej woni. Usiadł na

pniu, znowu zapalił.”Chciało mu się jeść, ale kiedy sięgnął do kieszeni po chleb z serem, cofnął rękę. Nie mógł przełknąć ani kęsa. Trzeba było cierpliwie czekać na przyjazd milicji.

\*

Przyjechał porucznik - kierownik komisariatu i sierżant. Leśniczy znał obu, kontaktowali się w sprawach o kłusownictwo. Kierowca został w gaziku na szosie, oni prowadzeni przez stażystę dotarli wkrótce na brzeg jeziora.

- Topielec? - spytał porucznik, witając się z leśniczym.

- Raczej nie.

- Gdzie to jest?

- Tam leży - pokazał. - Był metr dalej, w wodzie. Wyciągnęliśmy na piasek.

Podeszli do zwłok. Sierżant przyklęknął, na rękach miał gumowe rękawiczki. Pobieźnie obmacał ciało, przejrzał kieszenie, nic nie znalazł. Kiedy obrócił trupa plecami do góry, zobaczyli, że marynarka jest przedarta czy rozpruta nożem. Sierżant dotknął kręgosłupa, przesunął po nim palcami i rzekł:

- Połamane kręgi. Tak jakby spadł z dużej wysokości...

- Albo ktoś go przetrącił łomem lub drągiem. I ta twarz... Ma pan rację, panie Staniszewski. To nie jest topielec. Trzeba zawiadomić Komendę Stołeczną.

- Pójdę do wozu - rzekł sierżant. - Porozumiem się z komisariatem, niech dadzą znać do Warszawy.

- Powiedz, że zabójstwo - dorzucił porucznik - bo do zwykłego topielca nie przyjadą.

Z Pałacu Mostowskich przyjechał major Szczęsny z ekipą dochodzeniowo-śledczą. Lekarza nie mogli znaleźć, więc zdecydowali, że się obejdzie, i tak potem denata trzeba położyć na stole sekcyjnym. Niebieska nysa zatrzymała się na szosie obok gazika, sierżant poprowadził ekipę w las, a dwaj kierowcy rozpoczęli pogawędkę.

Szczęsny wypytał leśniczego, gdzie leżały zwłoki, w jakiej pozycji, jak głęboko zanurzone w wodzie, i tak dalej. Potem obejrzał je, zwłaszcza rany na twarzy i plecach, podniósł się z klęczek i uważnie rozglądał dokoła. Porucznik Mańkowski z dochodzeniówki zbliżył się i rzeki:

- Nie tutaj, prawda?

- Myślę, że nie - odparł major. - Poszukajcie śladów jakiegoś pojazdu. Przez te krzewy chyba się nie przedarł, więc może od innej strony. Albo... - urwał, jego czarne wąskie oczy dostrzegły coś ciemniejszego w trzcinach, sto, może sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie leżały zwłoki.

Poszedł tam, po chwili przywołał porucznika i fotografa. Z trudem wytaszczyli z wody na wpół zatopiony podłużny tobół, owinięty sznurkiem.

- Mam nadzieję, że pie drugi trup - mruknął Mańkowski.

- Nie Za lekkie, to chyba tylko brezent. Rozwinęli, rozłożyli na piasku.

- Pójdzie do analizy. Ale to dowodzi, że ktoś przywiózł zwłoki, owinięte w to płótno, po czym pozbył się jednego i drugiego. Dla niepoznaki płachtę wyrzucił kawałek dalej. - Szczęsny podszedł do leśniczego, który rozmawiał z kierownikiem komisariatu. - Pan z pewnością zna dobrze te lasy. W jaki sposób można dojechać samochodem

do brzegu jeziora? Tu, do tego miejsca lub blisko stąd.

Staniszewski zagryzł wargi w zamyśleniu, a potem chciał odpowiedzieć, że takiej drogi właściwie nie ma, kiedy ktoś z ekipy zauważył ślady kół. Były wprawdzie ledwie widoczne, na samym brzegu zupełnie pozacierane - może umyślnie - dalej jednak, pomiędzy drzewami o słabym poszyciu, wyraźniejsze, zwłaszcza na wystających, porysowanych korzeniach-

- Pójdziemy tym śladem - zdecydował major i wskazał na fotografa, porucznika Mańkowskiego oraz sierżanta z komisariatu. Leśniczy przyłączył się, zaniepokojony informacją o tajemniczym samochodzie, buszującym po jego - gospodarstwie.

Była szósta po południu czasu letniego, więc słońce stało jeszcze wysoko. Szli śladem kół, chwilami ginęły w trawie, to znów odnajdywali je na piasku lub korzeniach.

- Musiał jechać wolno i trzęsło go porządnie - zauważył sierżant. - Pewnie wiozł trupa w bagażniku. No, bo chyba nie na siedzeniu?

- Fiatem, sto dwadzieścia pięć pe - dodał porucznik. - Ma prawie nowe opony. Ślady są tam i z powrotem. Wyraźne.

Po półgodzinie leśniczy, który rozglądał się dokoła, powiedział do Szczęsnego:

- Coś mi się wydaje, że on jechał na Uroczysko.

- Co to jest?

- Taka mała polana, dobrze schowana w lesie. Podobno w dawnych czasach, jeszcze pogańskich, stał na niej ołtarz Światowida czy też chram, nie znam się na tym. Niektórzy zaś mówią, że był tam cmentarz sławnych wojów słowiańskich. Teraz to nic tam nie ma, tylko trochę dużych

kamieni.

- Interesowali się tym historycy albo archeologowie?

- Kiedyś tak. Ale nic ciekawego nie znaleźli, więc przestali.

- Turyści tam chodzą?

- Nie. Co mają oglądać? Kupę kamieni? Zresztą daleko, trudne dojście.

Siady kół doprowadziły ich rzeczywiście do Uroczyska. Tutaj nieznany kierowca zatrzymał się.

- Szukamy - powiedział major, nie dodając czego, bo sam nie wiedział. Wszystko mogło być ważne.

Sierżantowi z komisariatu nie spodobały się kamienie i gałązki ułożone w jednym miejscu, więc je delikatnie rozgrzebał i przyglądał się temu, co znajdowało się pod spodem.

- Tu chyba było powyrywane - mruknął.

- Tak - potwierdził major. - Ktoś usunął trawę, ale zostawił korzonki. I nakrył kamieniami. Jeżeli tej trawy nie zabrał ze sobą, musi leżeć gdzieś blisko. Tam mogą być, powiedzmy, ślady krwi.

Kępki uschniętej, wyraźnie czymś splamionej, trawy znaleźli pod krzakiem i, owinąwszy starannie, zabrali do analizy. Obeszli wielkie omszałe głązy, przyglądając im się z uwagą, spenetrowali metr po metrze całą polanę.

- Więc tak - Szczęsny przysiadł na płaskim głązie, a fotograf niestrudzenie pstrykał raz za razem. - Myślę, że bez pudła można wyciągnąć następujące wnioski. Na polanie było co najmniej dwóch ludzi. I samochód. Morderstwo nastąpiło tu, gdzie wyrwano później trawę, aby zatrzeć ślady. Zabójca owinął w płótno trupa, wywiózł nad jezioro. Potem

wrócił. Mówię: on, ale mogło ich być kilku. Chociaż... - zamyślił się. - Zresztą, nie wiem. Natomiast z całą pewnością mogę stwierdzić, że on czy oni przyjechali tutaj nie po raz pierwszy. Są też stare ślady nóg, stare odciski opon. Diabli wiedzą, dlaczego to miejsce wybrali sobie na tajemnicze spotkania. Może ze względu na odludzie. Coś tu musieli robić.

- Może coś chowali? - spytał Mańkowski.

- Ale gdzie? Musimy obejrzeć pnie i grubsze drzewa, czy nie ma tam jakiejś skrytki. Na moje oko denat leżał nad jeziorem trzy, cztery dni, lekarz powie dokładniej. W takim razie zabójstwo nastąpiło, przypuśćmy, we wtorek. Pożarli się o coś i jeden drugiego załatwił. Z jakichś, sobie tylko wiadomych powodów, morderca nie chciał zostawić ciała na polanie.

- To by sugerowało - wtrącił porucznik - że zabójca miał zamiar jeszcze tu wrócić, albo nawet wracać co pewien czas. Do ciężkiej cholery, co oni tutaj robili?! - Patrzył po krzakach, drzewach, głązach. Nie dostrzegł śladów ustawiania namiotu, palenia ogniska, żadnych papierów, puszek, nie było nawet niedopałków ani wypalonych zapalek.

Leśniczy obszedł polanę, zagłębiając się w las. Kiedy - zjawił się z powrotem, dodał od siebie, że nie znalazł również śladów kłusownictwa, wnyków, sideł, łusek od naboju z dubeltówki, nic z tych rzeczy. Oczywiście, mogli kłusować parę kilometrów stąd-

\*

Sekcja, przeprowadzona w poniedziałek (wolna sobota, niedziela) dała wynik następujący: mężczyzna NN, lat około dwudziestu sześciu-siedmiu, jasny blondyn, oczy szare, nos prosty, krótki, włosy gęste. Nie nosił - wąsów ani brody. Skóra na palcach, chociaż zmieniona pod wpływem leżenia w wodzie, wskazuje na to, że pracował fizycznie.

Uzębienie dobre, brak tylko górnej szóstki po prawej stronie. Człowiek ten został bardzo silnie uderzony w plecy ciężkim, metalowym narzędziem z zaostrzonym końcem. Mogła to być odpowiednio przygotowana rurka ołowiana lub żelazna, ale także jakiś przyrząd, używany na budowach lub w fabrykach, warsztatach.

Drugi cios denat otrzymał w tył czaszki, tym samym narzędziem zbrodni. Prawdopodobnie już nie żył, kiedy został, przez zabójcę względnie inną osobę, przewrócony na wznak. Wtedy bito go po twarzy, również wspomnianym przyrządem. Uderzeń tych było co najmniej sześć lub siedem. Spowodowały zniekształcenie rysów, pęknięcie kości policzkowych i żuchw, kości nosowej, rozbicie gałek ocznych. Ocalały zęby, mocno osadzone w szczękach, natomiast uderzenia kompletnie zniekształciły wargi.

Dalej lekarz medycyny sądowej pisał, że biorąc pod uwagę częściowe zanurzenie ciała w wodzie stojącej typu bagiennego oraz porę roku, ocenia czas który upłynął od chwili zabójstwa do znalezienia zwłok, na cztery dni. Potem następował szczegółowy opis tego, co zwykle robi się w trakcie sekcji. Tę część major Szczęsny przebiegł tylko oczami, darując sobie detale.

- A więc, najpewniej zabito go w poniedziałek - powiedział do pułkownika Daniłowicza, swego szefa. - Dwudziestego siódmego.

- Przejrzałeś listę zaginionych i poszukiwanych?

- Tak. Wiemy już, kim jest ofiara. Tu się zresztą zbiegły dwa zawiadomienia, dotyczące tego samego człowieka. Rodzice poszukiwali syna, który nie wrócił do domu i nie dał znaku życia. Fabryka „Terpoks” zawiadomiła komendę dzielnicową, że jeden z pracowników nie stawił się



do obsługi jakiejś, specjalistycznej maszyny z importu, co uniemożliwia rozpoczęcie pilnej produkcji. Nie znaleźli go w domu, nie rozumieją, co się stało, bo jest to podobno mechanik bardzo zdyscyplinowany i przeszkolony za granicą do tej obsługi. Nazywa się Daniel Mrozik, dwadzieścia sześć lat. Rodzice podali trochę bliższych szczegółów.

- Od kiedy go nie ma?

- Od tygodnia. To znaczy, w zeszły poniedziałek, dwudziestego siódmego lipca, jeszcze pracował w „Terpoksie” na rannej zmianie. Do domu, mieszkają na Bielanach, przy Żeromskiego, wrócił jak zwykle na obiad. Potem powiedział, że pojedzie pekaesem do krewnych pod Warszawę, jest to wieś Starosiółki; przenocuje i prosto stamtąd, we wtorek, uda się do fabryki. Kiedy nie zjawił się w domu we wtorek ani w środę, ojciec pojechał na tę wieś, aby sprawdzić, co się z chłopakiem dzieje. Okazało się, że był, ale nie nocował, tylko postanowił wrócić do Warszawy ostatnim autobusem. Nie dojechał. No, rodzice rozpoznali go po ubraniu, częściowo po twarzy.

- Wszystko wygląda dość logicznie - zauważył pułkownik. - Jak daleko z tych Starosiółek do Uroczyska?

- O, właśnie! Trafiłeś w sedno. Na polanie znaleźliśmy ślady opon jednego i tego samego fiata sto dwadzieścia pięć pe, prowadzące nie tylko nad jeziorko i z powrotem, ale i do szosy, boczną leśną drogą, która dwanaście kilometrów dalej przecina Starosiółki, a pekaes ma tam przystanek. Istotniejsze jest jednak to, że wspomniana przeze mnie leśna droga dociera do szosy około dwieście metrów od przystanku „na żądanie”. Czasami wysiadają tam lub wsiadają strażnicy leśni, drwale. Zakładam, że Daniel Mrozik jechał pekaesem ze Starosiółek i właśnie na

tym przystanku wysiadł. Dlaczego? Nie wiem. Mogło też być inaczej: szedł ze wsi szosą, dotarł do przystanku „na żądanie” i czekał na autobus. Być może zabójca nadjechał fiatem, zaproponował mu wspólną jazdę na polanę. Albo byli już umówieni, że w tym miejscu się spotkają i pojedą na Uroczysko.

- Ta druga wersja o tyle się nie zgadza, że przecież Mrozik miał nocować u krewnych.

- A skąd wiemy, czy zabójca nie mieszka gdzieś w pobliżu? Bo w samej wsi nie ma nikogo, kto miałby fiata ze śladami protektorów, które zebraliśmy. Tam zresztą teraz działają koledzy z komisariatu, szukają, wypytują. Czekam na informacje z komendy na Żoliborzu, wszystko o Danielu i jego rodzinie, a także na wynik analizy śladów krwi na paru garściach trawy z polany.

- Czy Mrozik miał przy sobie tamtego wieczoru coś charakterystycznego? Wiesz, chodzi mi o paserów i handlarzy na bazarach.

- Rodzice twierdzą, że złotą omegę, ale numeru nie znają. No, papierosy, portfel, chustkę i takie różne drobiazgi. Nic specjalnego. Oczywiście, dowód osobisty i legitymację służbową. Aha, i medalik z łańcuszkiem. Srebrny.

- Co było na medaliku?

Szczęśny zakłopotał się. W tej dziedzinie nie był mocny.

- Chyba jakiś święty... Nie, czekaj! Już wiem. Papież. Jan Paweł II.

- Dużo jest takich medalików? Chodzi mi o srebrne. Dowiedz się, to może być ślad. Major wzruszył ramionami.

- A któż to wie? Pewnie nawet ksiądz proboszcz nie policzył.

Natomiast gdyby u Mrozików w domu była jeszcze karta gwarancyjna omegi... Widzisz, to się da zrobić.

Sięgnął do telefonu, połączył się z dzielnicą i poprosił o sprawdzenie. Usłyszał, że będzie ciężko, bo w domu żałoba, matka leży prawie nieprzytomna, jedyny syn i w ogóle. - Sprawdzić trzeba - powiedział i odłożył słuchawkę, spojrzał na pułkownika badawczo.

- No? O co chodzi? - Daniłowicz nie lubił takich spojrzeń. Wydawało mu się wtedy, że czegoś zapomniał albo przeoczył.

- Bo nie wiem, czy ci wspomniałem, że Uroczysko jest pod obserwacją. Trochę ci z komisariatu, trochę z Pragi-Północ. Bardzo ostrożnie. W mundurach leśników i w kombinezonach robotniczych.

- Słusznie. Ale to może dość długo trwać, zanim zabójca zjawi się na polanie. Tylko właściwie po co miałyby tam jechać? W myśl powiedzonka, że zbrodniarz wraca na miejsce zbrodni? Nie wierz w to.

- Wcale nie dlatego. Stefan, tam coś musi być na tej polanie. Może przyjdzie dwóch, trzech.

Świetne miejsce na tajne obrady. A jeżeli natrafimy na gang spekulantów? - Zamyślił się i dodał; - Pójdę tam z psem. To znaczy, z przewodnikiem i psem. Miejsce, z którego zabójca powyrywał zakrwawioną trawę, nakryliśmy z powrotem gałązkami i kamieniami. Jeżeli przyjdzie, nie powinien zauważyć, że tam byliśmy. Ale myślę, że pies wywęszy to, czego człowiek nie zobaczy. Tej nocy po naszym pobycie na Uroczysku padał deszcz, więc zatarł ślady naszych nóg...

Szczęśny mówił chaotycznie, przerzucał się myślą w czasie i przestrzeni, chciał już być na polanie. I żeby pies szukał.

## Rozdział 6

Albo obserwatorzy Uroczyska zdekonspirowali się jednak przed zabójcą, albo też po prostu nie miał on czy oni zamiaru ponownie przyjeżdżać na polanę... - zastanawiał się Szczęśny.” Odczekał kilka dni, a potem wsiadł do swego malucha razem z kapralem, przewodnikiem psa imieniem Tropik, gdyż moda na Szariki dawno minęła. Pojechali o świcie w poniedziałek trzeciego sierpnia; rano była mgła, później pogoda poprawiła się i zaświeciło słońce.

Major znał już ukrytą leśną drogę z szosy na Uroczysko, nie znał natomiast tak zupełnie możliwości swego fiata-126 p, zwłaszcza że wóz był po którejś tam z rzędu naprawie. Toczyli się więc po piaszczystych wertepach powoli i z godnością, maluch zgrzytał, pojękiwał, brzęczał żelastwem, ale jechał.

- Dobry wózek, dobry! - mruczał Szczęśny, co pewien czas, a kapral dziwił się trochę, bo on też tak mawiał, tyle, że do psa. Tropik znosił cierpliwie podskakiwanie i kołysanie, nie takich rzeczy pies milicyjny doświadcza w służbie. Wąchał świeży, mokry zapach trawy i liści, wystawiwszy nos przez opuszczoną szybę.

Dojechali wreszcie na polanę. Pies wyskoczył pierwszy, pod najbliższym drzewem uniósł na chwilę nogę, a potem rozglądał się dokoła i czekał, bo nie wiedział, czego od niego zażądata. Przewodnik wyjął z wozu torbę, a z niej czapkę i parę sandałów. Należały one do Daniela Mrozika, Szczęśny pożyczył je z mieszkania jego rodziców, upewniwszy się, że zmarły syn najczęściej w ostatnich tygodniach nosił to właśnie nakrycie głowy i to obuwie. Nie włożył tych rzeczy w dniu zabójstwa z

jakiejś tam przyczyny, więc pozostały w domu.

- Nie mam żadnych dowodów, że portfel, zegarek, dokumenty i to wszystko, co Mrozik miał przy sobie, a czego nie znaleźliśmy przy zwłokach, zostało tu, na polanie - rzekł major do przewodnika. - Szukaliśmy już w trawie i pod krzakami. Bez rezultatu. A mimo to chciałbym jeszcze spróbować przy pomocy psa.

Kapral gładził psi łeb i w zamyśleniu patrzył na Uroczysko. W końcu powiedział:

- Jeżeli cokolwiek zostało tu zakopane, Tropik znajdzie.

Podsunał mu pod nos czapkę i sandały, kazał wąchać. Przez dobrą chwilę Tropik łapał i zapamiętywał woń człowieka, który nosił te przedmioty. Potem był już pewien, że się nie omyli. Uniósł łeb i spojrzał na swego pana, w oczach miał absolutne zrozumienie sytuacji.

- Szukaj, Tropik!... Szukaj... Dobry pies, mądry pies... - Postaraj się!

Czarny wilgotny nos w skupieniu węszył trawę, krzaki, pnie drzew, liście i ogromne głązy. Szukał zapamiętanej już woni, ale wciąż jej nie znajdował. Nie było w trawie ani na piasku, chwilami zdawało mu się, że już już natrafia na ślad, ale nie, więc znowu wracał do czapki i sandałów, znowu zapamiętywał i szukał.

Szczęśny przysiadł na kamieniu, palił i czekał. Kapral puścił psa z linki, dał mu pełną swobodę w odnalezieniu tropu, jeżeli był on w ogóle do odnalezienia. Mijały kwadransy. Po trzecim major pomyślał: nonsens. Morderca zabrał rzeczy Daniela ze sobą, utopił w Wiśle albo...

- Chyba coś jest! - zawołał kapral. Podbiegł do psa, który niecierpliwie, a nawet z jakąś zawziętością rozkopywał trawę, wyrzucając za sobą porwane źdźbła, zmieszane z ziemią. Szczęśny również przybiegł,

obaj pochylili się nad Tropikiem. Po chwili pies wyciągnął z otworu plastikowy woreczek i z triumfem położył przed kapralem. Jeszcze raz dla pewności powąchał folię, aby upewnić się, że ma rację i kichnął, bo jakieś źdźbło polechtało go po nosie.

- Dobry pies! Mądry, jaki mądry! - Palce podoficera pieśczośliwie miętosły psie ucho, drapały przybrudzony łeb.

Major nałożył gumowe rękawiczki, wziął woreczek i poniósł do samochodu. Tamtych dwoje szło za nim w poczuciu dobrze, może nawet świetnie, wykonanego zadania. Kapral bardzo lubił takie chwile. Pies też.

Rozwiązanie mocno zasupłanego sznurka trwało kilka minut. W końcu jednak udało się wyjąć i rozłożyć na siedzeniu malucha to wszystko, co było w folii: dowód osobisty Daniela Mrozika z pogodną, prawie uśmiechniętą twarzą młodego chłopca, legitymację służbową z „Terpoksu”, papierosy marlboro, zapalniczkę posrebrzaną, chustkę do nosa, trzy klucze różnego kształtu, złotą omegę... Szczęśny ostrożnie przytknął zegarek do ucha, ale nie usłyszał delikatnego tykania, osiem dni, to było zbyt długo nawet dla najlepszego zegarka. Znalazł jeszcze stłuczone okulary od słońca, trochę starych biletów przejazdowych i srebrny medalik z łańcuszkiem.

Kapral przyjrzał się zdjęciu w dowodzie, westchnął i spytał:

- To ten, wyłowiony z jeziora?

- Tak.

- Młody chłopaczek. Taka miła twarz. Nie wiadomo, kto go załatwił?

- Nie - odparł major. I dodał: - Jeszcze nie.

\*

Następnego dnia Szczęśny, dowiedział się od oficera dyżurnego

komendy, że szuka go jakiś wywiadowca z dzielnicy.

- Co chciał? - spytał z roztargnieniem. Miał wiele roboty.

- Nie powiedział. Zostawił kartkę. - Oficer podał mu mały karteluszek, wydarty z notesu. - I że to ważne.

Major przebiegł oczami treść informacji, zastanowił się, połączył z komendą dzielnicową i w pół godziny później wywiadowca Tomczak usiadł w pokoju, zajmowanym przez oficerów służby kryminalnej z Komendy Stołecznej. Aktualnie był tylko Szczęsny, który rzucił niecierpliwie:

- Mówcie, co macie do powiedzenia.;

- No więc poszedłem na giełdę, miałem służbę. Chodzę na Janiszowską, tam przy alei Krakowskiej, dosyć często i znam sporo ludzi, którzy zwykle się tam kręcą. Akurat tej niedzieli trafiali mi się sami znajomi. No i spotykam takiego młodego inżynierka, który pomaga ojcu prowadzić warsztat motoryzacyjny na Woli. On bardzo często zagląda na giełdę. Przywitaliśmy się, gadamy, ale widzę, że jego łada stoi na prawie nowiutkich oponach, a niedawno miała łyse jak kolano. Pytam, gdzie zdobył, bo byłem ciekaw. On osie roześmiał i opowiedział mi historię nie do uwierzenia!

- No? - przynaglił Szczęsny. - Jaką historię?

- Kilka dni temu, w poniedziałek dwudziestego siódmego lipca, inżynier został na noc w warsztacie, coś tam robił. Gdzieś tak koło drugiej nad ranem, może trochę później, zajeżdża przed warsztat fiat sto dwadzieścia pięć p. Wysiada jakiś facet i mówi tak: „Proszę mi zmienić wszystkie cztery opony”. - Inżynier najpierw, jak to teraz najczęściej mówią, odparł, żeby mu nie zawracał głowy, opony są nieosiągalne w

sprzedazy. Na to obcy wyjmuje plik „zielonych”, sporo ich było, i powtarza, że chce mieć inne opony. No, inżynier był nie od tego, żeby trochę dolarów nie pochłapać. Akurat miał przy swojej ładzie nowiutkie major wie, że opony z łady pasują do fiata sto dwadzieścia pięć pe. Więc ogląda te fiatowskie i nic nie rozumie, bo są tak samo nowe, jak z jego łady. Mówi do faceta: „Panie, przecież pan ma zupełnie nowe!” A tamten, że to go nic nie powinno obchodzić, nie jego interes. To znaczy, interes inżyniera, ale tylko w tym, żeby dać inne.

- Ciekawe! - mruknął Szczęsny.

- Właśnie. Mój znajomy pomyślał, że gość maj niepoukładane pod sufitem, zresztą nie zastanawiał się dłużej. Zmienił mu opony na te z łady, tamte dał do swojego wozu i zainkasował dolary.

- Ile?

- A tego mi już nie powiedział, a mnie nie wypadało pytać. Obcy pojechał. Potem inżynier zaczął się wahać, czy dobrze zrobił, bo sprawa była jakaś śmierdząca. Ale że o opony trudno więc jeździł na tych „dolarowych”.

- I on wam to wszystko opowiedział? Milicjantowi? - zdziwił się major.

Tomczak uśmiechnął się.

- On mnie zna jako mechanika - odparł. - Zanim wystąpiłem do milicji, pracowałem w „Terpoksie”.

- Gdzie? - wykrzyknął Szczęsny.

- W fabryce „Terpoks”, na Pradze. Ja wiem, o co majorowi chodzi, ale nie znałem Mrozika. Myśmy się po prostu minęli, bo on przyszedł do pracy, kiedy ja już wymówiłem i zaczynałem milicyjną szkołę.



Inżynierowi wspomniałem tylko tak, mimochodem, że jestem mechanikiem samochodowym. Chciał mnie nawet kiedyś zatrudnić w swoim warsztacie. No, więc kiedy usłyszałem tę historię, przypomniało mi się, co nam ostatnio mówiono na odprawie. O Danielu Mroziku i o tych śladach zostawionych przez fiata. Marka wozu się zgadza i data zabójstwa. Jeżeli, majorze, ten facet orientował się, że pozostawił w lesie i nad jeziorem ślady opon i jeżeli akurat nie miał w domu zapasowych, a kupić rzeczywiście ciężko, to spróbował za dolary. Może to był pierwszy warsztat motoryzacyjny, jaki napotkał tego wieczoru, a może już mu kilkakrotnie odmówili za złotówki?

- Prawidłowo rozumiesz, bracie - mruknął major. - Więc tak. Zaraz skontaktuję się z dzielnicą i poproszę komendanta, aby zezwolił na naszą współpracę. Zgoda?

- Oczywiście!

- Teraz najważniejsze, czy ten inżynier zapamiętał numer rejestracyjny wozu. Nie chciałbym go spłoszyć. Poza tym to nie musi mieć nic wspólnego z... A może zrobimy inaczej. Pan mechanik... jak wam na imię?

- Stanisław.

- Pan Stanisław Tomczak, mechanik samochodowy, jest chwilowo bez zajęcia. Zjawi się jutro u inżyniera, zaangażuje się do pracy na, powiedzmy, pół roku. Teoretycznie, rzecz jasna. W trakcie naprawy wozów nie będzie wam chyba trudno dowiedzieć się bliższych szczegółów zarówno o fiacie, jak i o jego kierowcy. Rysopis, ubiór i tak dalej. Przy wymianie opon inżynier mógł to i owo zauważyć.

- Rozumiem, majorze. A jeżeli inżynier Wiśniewski, bo tak on się

nazywa, odmówi przyjęcia mnie do roboty? On mi to proponował ze dwa miesiące temu. Pewnie ma już kogoś innego.

- Powiedźcie, że wam zależy. Wyszliście z wprawy, macie zamiar kupić sobie wóz potrzebna forsa... Co ja was będę uczył, sami wiecie. Ale naciskać nie wolno, bo stanie się podejrzliwy. Gdyby już zupełnie się nie udało, znajdziemy inny sposób. Pięć, dziesięć sposobów. Od tego jest głowa, żeby myślała.

- Faktycznie - zgodził się wywiadowca.

\*

Czy to był błąd? Nie znał ani warsztatu, ani tego chudego blondyna, który siedział tam o drugiej nad ranem. Przypomniał sobie jednak, iż pobyt właściciela w warsztacie o tak późnej porze był jak gdyby wskazówką, że ma on jakieś ukryte, pewnie nielegalne, sprawy do załatwienia. Czy rozumowanie to było słuszne?... A może osądzał drugich według własnych metod postępowania, co mogło się zgadzać tylko w niektórych przypadkach?

Szukał wówczas na Pradze, na Ochocie, ale wszędzie na drzwiach warsztatów motoryzacyjnych wisiały kłódki.

Może trzeba było poczekać do rana? Jazdy nocą po mieście me obawiał się, na jakikolwiek ślad tego, co zrobił, milicja mogła natrafić najwcześniej za dzień, dwa. Może nigdy. Zresztą, di a milicji, był to i jest okres, łagodnie mówiąc, nie sprzyjający. Coraz rzadziej w nocy wychodziły piesze patrole, coraz mniej było radiowozów. Jeżeli już interweniowali, to w razie poważnej awantury, wołania o pomoc, bijatyki.

W jakimś sensie rozumiał ich. Widział, jak tłum wyrywał im z rąk przestępców, jak demolował samochody, podpalał budynki milicyjne. Na

początku maja był akurat w Otwocku i z dużym upodobaniem przyglądał się spaleni posterunku kolejowego, rozbijaniu murów, atakowaniu, barakowozu. Po raz któryś z rzędu cieszył się, wszystko to sprzyjało jego własnej robocie, która pozostawała bezkarna. Myślał też, że kiedy już piwnica na polanie dostatecznie zapełni się najcenniejszym dobrem i kiedy później on sam znajdzie się daleko poza granicami kraju - cóż, wtedy nastroje anty - czy promilicyjne zupełnie nie będą go interesować. Wtedy cały ten kraj może się spalić, utonąć lub wylecieć w powietrze. Bez niego.

Jeżdżąc tak po Warszawie trafił wreszcie na Wolę i na którejś ulicy, nie pamiętał już gdzie, dostrzegł światło w oknach warsztatu. Zatrzymał się, wysiadł, zadzwonił do drzwi. Długo nikt nie otwierał i już chciał zrezygnować, kiedy uchyliły się i stanął w nich wysoki, chudy mężczyzna o rzadkich blond włosach i małym wąsiku.

- O tej porze? - zdziwił się. - Stało się coś?

Później była krótka, rzeczowa rozmowa, w trakcie której sądził już, że się nie uda. Blondyn zmiękł, jak zobaczył dolary. Wprawdzie wzruszył ostentacyjnie ramionami, zakładając zamiast jednych nowych opon inne nowe opony, ale walutę wziął. O nic więcej nie pytał, to też było wygodne. A co myślał - to mniej istotne.

Kładąc się spać czuł spokojne zadowolenie.. Wóz ma inne opony, inną - właściwą - tablicę rejestracyjną, zielonych fiatów w mieście może sto, może tysiąc. Ale jutro musi zmienić reflektory; są zbyt charakterystyczne.

O człowieku, którego zamordował przed kilkunastu godzinami, nie myślał.

\*

Profesor Marusz znowu się spóźnił na brydża, tym razem jednak tylko o pół godziny. Gracze byli w komplecie. Jak zwykle - gospodarz domu, tego wieczoru był nim mecenas Biejczak, zawsze z nim skłócony inżynier Węclawski, drugi inżynier - Chęcki, „prywatna inicjatywa”, Pasowski, uśmiechnięty i dla wszystkich życzliwy.

Mecenas mieszkał w ładnej, piętrowej willi z ogródkiem na peryferiach Żoliborza. Pierwszego sierpnia żonę z dziećmi wyprawił nad morze, co pozwalało mu rozkoszować się ciszą, kawalerskim bałaganem i częstym brydżem do rana. Tak się dobrze złożyło, że pozostali gracze mieli już wyjazdy urlopowe za sobą, albo w ogóle nie wyjeżdżali. Chęcki planował odpoczynek we Włoszech, ale dopiero we wrześniu, Pasowski miał jakieś tam sprawy do załatwienia związane z prowadzonym przez żonę barem.

- Panowie, zaczynamy! - Biejczak rozrzucił karty półkolem. Pociągnęli. - Ja z Kaziem, wy dwaj razem. Profesor, jak przyjdzie, będzie pierwszym wychodzącym.

- Znalazły się te jego dolary? - mruknął pytająco Węclawski. Kręcił palcami bródkę, strzyżoną w szpic, i znowu myślał z niechęcią o Maruszu. Cieszył się, że go okradli.

- Chyba nie - odparł mecenas. - Kaziu, rozdajesz!

Po półgodzinie zjawił się zasapany Marusz. Napił się coca-coli, zjadł kanapkę i przyglądał się rozgrywce. Tamci skończyli robra, zrobili małą przerwę. Mecenas podliczał punkty.

- Posłuchajcie, panowie, jaka tragedia wydarzyła się w domu, w którym mieszkam - powiedział Chęcki, gryząc słony paluszek. - Zamordowano syna lokatorów spod dwunastego, na drugim piętrze.

Milicja znalazła zwłoki gdzieś daleko w lesie, porzucone w wodzie przy brzegu jeziora czy bagna.

- A co milicja robiła na bagnach? - zdziwił się Pasowski.

- Najpierw znalazł go gajowy i zawiadomił. Podobno zastrzelili chłopaka z broni myśliwskiej.

- Nie z żadnej broni, ale dostał łomem - sprostował mecenas - Znam sprawę, opowiadał mi znajomy prokurator. Chodzi o Daniela Mrozika, tak? - zwrócił się do Chęckiego, który przyświadczył ruchem głowy - Młody chłopak, nie miał nawet trzydziestki. Mechanik z „Terpoksu”. Poharatali mu straszliwie twarz, aż trudno było poznać.

- To skąd wiadomo, że to on?

- Rodzice rozpoznali - wyjaśnił Chęcki. - Bo przy zwłokach nie było dokumentów, portfela, zegarka. Nic. Okradli i załatwili na amen. Nie wiadomo tylko, po co łąził do lasu, aż gdzieś nad jezioro. Ciekawe, czy znajdą tych drani.

- Szukają - uzupełnił mecenas. - Zdaje się, że natrafili na ślady opon samochodowych. No, panowie, gramy!

\*

Inżynier Wiśniewski z wyraźną sympatią odniósł się do propozycji mechanika samochodowego Stanisława Tomczaka, „chwilowo bez pracy”. Wprawdzie dwa miesiące temu przyjął innego pracownika, ale po paru tygodniach wyrzucił go za nieróbstwo i zrobienie szkody. W dodatku ów pracownik, mężczyzna przystojny i utalentowany, tyle że do czegoś innego niż naprawa samochodów, zdążył uciąć sobie małą przygodę z inżynierową żoną, której wciąż było nudno.

Tomczak, drobny, zwinny, z oczami niewiniątka, nie wzbudzał

podejrzeń o - uwodzenie osób z najbliższego otoczenia, natomiast z miejsca wykazał duże uzdolnienia motoryzacyjne. Do roboty wziął się ochoczo, już na trzeci dzień był w nią lak wciągnięty, jakby od trzech lat nie wychodził z warsztatu. Poza tym lubił rozmawiać z inżynierem, a raczej słuchać go, z rzadka tylko rzucając jakieś pytanie. Po tygodniu Wiśniewski powiedział do żony, że znalazł w osobie nowego mechanika prawdziwy skarb. - Ma złote ręce - stwierdził z satysfakcją. Inżynierowa nie podjęła tematu. Tomczak nie wzbudził jej zainteresowania i znowu ogarnęła ją nuda.

Dziesiątego sierpnia wywiadowca przemknął się wieczorem do Pałacu Mostowskich, umówiony tam ze Szczęsnym.

- On coś nieco pamięta, choć nie jest tego dużo - westchnął z zalem.

- Fiat był zielony, miał tablicę rejestracyjną z województwa ciechanowskiego, ale to lipa.

- Sprawdziliście?

- Tak, mam kolegę w komendzie wojewódzkiej, akurat w „drogówce”. Nie ma takiego numeru. Natomiast ważna cecha charakterystyczna: fiat miał zagraniczne, podobno szwedzkie czy duńskie, reflektory specjalnego kształtu. Inżyniera to zaciekało, więc sobie obejrzał. Poza tym wóz był trochę poobijany, na oko stary.

- A kierowca?

- Wysoki, w dużych ciemnych okularach, mimo nocnej pory. Miał czapkę na głowie, rękawiczki na rękach.

- Jak ubrany?

- Czarna kurtka skórzana, elegancka, chyba turecka, Wiśniewski miał taką więc się zna. Ciemne spodnie, na buty nie patrzył. Rysów twarzy nie

pamięta, po prostu me zwrócił uwagi. Zresztą, jak mi powiedział, ten facet wzbudzał niepokój. Nawet strach. Inżynierek przyznał mi się, że przy wymianie opon cały czas uważał na każdy ruch tamtego, bo się go zwyczajnie bał. Byli sami w warsztacie, noc, puste ulice. Ale, majorze, najważniejsze schowałem na koniec! - roześmiał się. - W dogodnym momencie zjadłem odciski opon z jego łądy. I zgadza się. Na tych oponach jechał fiat, tam w lesie i nad jeziorem.

Czarne oczy Szczęsnego zabłyśły, ale zaraz przygasły.

- I dobrze, i źle - powiedział. - Oczywiście nie macie starych śladów opon łądy? Bo przecież morderca...

- Wiem - przerwał wywiadowca. - Ale co mogłem poradzić? W ciągu bez mała dwóch tygodni, które minęły od tamtej nocy, na warsztatowym podwórku i w garażu odcisnęło się chyba z pięćdziesiąt śladów najróżniejszych kółek. Tara przyjeżdża dziennie pięć, czasem osiem wozowi Stare ślady zajeżdżone dokumentnie Zresztą gdybym nawet je znalazł, to jakże, z czym porównam? Jak rozróżnić, które są te właściwe, „ładowskie”.

- No, tak - przyznał major niechętnie. - W rezultacie wiemy ogromnie mało. Zielony fiat sto dwadzieścia pięć p... jeżeli jeszcze jest zielony. Poobijany. Charakterystyczne reflektory... jeśli ich nie zmienił, bo z tego widać, że to szczwany lis. Człowiek wysoki. Duże, ciemne okulary, które, być może, już wyrzucił. Czapka, czarna skórzana kurtka. Diabelnie mało! Może już sprzedał tego fiata? Sierżancie, porzućcie teraz inżyniera Wiśniewskiego, podajcie mu jakiś wiarygodny powód, choroba w domu czy coś takiego. I pokręćcie się na giełdzie.

\*

Pułkownik przeszedł się po pokoju, poprawił zmiętoszoną firankę, przez chwilę patrzył przez uchylone okno na podwórze komendy, potem wziął do ręki gazetę i zaraz ją odłożył. Były to wszystko ruchy machinalne, tło dla intensywnego myślenia. Szczęsny siedział w starym, wysłużonym fotelu z wystającą, sprężyną i obserwował swego szefa z rosnącym zniecierpliwieniem. W końcu, kiedy Daniłowicz znowu sięgnął po „Trybunę Ludu”, major powiedział:

- Przestań szeleścić! Mamy rozmawiać. Pułkownik usiadł za biurkiem, dopił resztkę kawy i odparł:

- Zastanawiałem się nad taką możliwością: ten inżynier Wiśniewski jako współnik mordercy. A nawet: sam morderca. Opowiedziana przez niego, nawiasem mówiąc mało prawdopodobna, historia z wymianą opon ma posłużyć ukryciu przestępstwa... Rzecz w tym, czy naprawdę? Nie, to mi nie pasuje.

- Gdyby to był on, przyjechałby w nocy do warsztatu, natychmiast wymienił opony, tamte na razie dobrze ukrył, a później stopniowo, pojedynczo, sprzedawał klientom. I to spoza Warszawy. Zgodzę się, że biorąc pod uwagę rozstaw kół i opony mogliśmy pomylić fiata z ładą. Natomiast byłoby z jego strony idiotycznym błędem pozostawienie opon przy własnym samochodzie, gdyby to on dokonał zabójstwa, a jeszcze większym idiotyzmem opowiadanie o tym na giełdzie mało znanemu facetowi. Po co? Nie, Stefan! Ja jestem niemal pewien, że historia z wymianą opon tamtej nocy jest prawdziwa. - Umilkł na chwilę, zmarszczył brwi. - Przyszło mi teraz na myśl, że kto wie, czy nie należałoby... rozumiesz, zabójcy może przyjść do głowy, że inżynier go jednak zapamiętał. I wtedy zechce pozbyć się świadka.



- Trudno wziąć Wiśniewskiego pod ochronę. Potrzeba by do tego kilku ludzi na dłuższy czas a wiesz, jak jest z kadrą. Sądzę, że w tej chwili jedyna droga, jaka nam pozostała w sprawie tego, morderstwa, to bardzo wnikliwa penetracja środowiska, w którym żył Daniel Mrozik. Przecież tam musi się kryć cała zagadka! Nie zabito go bez przyczyny, musiały być jakieś powiązania. Nie był to na pewno mord rabunkowy, bo znalazłeś w lesie...

- Ja nie znalazłem - przerwał Szczęsny... - To pies.

Daniłowicz roześmiał się.

- Dobra, niech będzie, że znaleźliście razem. Złoty zegarek, portfel, dokumenty, to są rzeczy łakome dla złodzieja. A ten zabójca nie tylko ich nie zabrał, ale starannie ukrył. Dlaczego? Oczywiście, chodziło o opóźnienie identyfikacji ofiary. Znowu: dlaczego? Żebyśmy w ten sposób jak najpóźniej zaczęli szukać wśród znajomych i krewnych Mrozika. Być może zresztą zabójca jest już dawno na drugim końcu Polski.

Szczęsny słuchał, w zasadzie zgadzał się z argumentami swego szefa. Wiedział jednak, że dotychczasowe, starannie prowadzone śledztwo, wskazywało na coś zupełnie innego. Zarówno rodzina, jak otoczenie, w którym żył i pracował Mrozik, rnie dawały najmniejszych śladów ukrytych powiązań przestępczych, jakichś zakonspirowanych znajomości czy czegoś podobnego. Daniel żył, można by powiedzieć, na oczach rodziny i kolegów, był pogodny, wesoły.. bardzo towarzyski, a przy tym ogromnie przywiązany do rodziców. Cechowała go otwartość i szczerść. Potwierdzali to nie tylko ojciec i matka, ale i krewni ze Starosiółek.

Szczęsny wielokrotnie przebiegał w myślach drogę, którą Daniel przeszedł po raz ostatni dwudziestego siódmego lipca wieczorem.

Funkcjonariusze miejscowej jednostki odtworzyli niemal każdą minutę jego pobytu na wsi, sprawdzili każdy krok, przesłuchali nie tylko krewnych, ale i sąsiadów. Daniel odwiedził kilku z nich, był, jak zwykle, pełen energii, humoru, opowiadał o swoich planach na najbliższe miesiące. Kroił mu się awans w fabryce, o tym też mówił.

Wyszedł ze Starosiółek około godziny dwudziestej pierwszej, aby do leśnego przystanku „na żądanie” dojść swobodnym krokiem gdzieś po półgodzinie. Tam chciał złapać ostatni pekaes. Mógł wsiąść do niego we wsi, wołał się przejść. Był ciepły, pogodny wieczór.

Milicjanci przesłuchali kierowcę owego, ostatniego autobusu i paru spóźnionych pasażerów. Jeden wsiadł w Starosiólkach, inni wcześniej. Kierowca ani pasażerowie nie dostrzegli nikogo na leśnym przystanku. Nikt nie podniósł ręki, aby zatrzymać pekaes i wóz nie zatrzymał się. Zwolnił tylko, widząc jednak pustą drogę dodał gazu i pojechał dalej. Dochodziła godzina dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt, autobus był trochę spóźniony.

A więc Daniel Mroziak albo nie doszedł do przystanku, albo z niewiadomej przyczyny, nie czekając na autobus, skręcił w las. Dlaczego? Czy zobaczył tam coś, co go zaintrygowało? Może ktoś wzywał pomocy?

Szczesny kilkakrotnie, wraz z porucznikiem z komisariatu, przeprowadził eksperyment śledczy idąc o tej samej godzinie, tą samą drogą, do przystanku „na żądanie”. Którejś nocy major kazał kierowcy milicyjnemu wjechać na Uroczysko i stanąć tam z zapalonymi reflektorami. A wtedy okazało się, że z tego miejsca prześwituje przez drzewa blask światła. Niezbyt silny, tym niemniej w mroku nocnym dostrzegalny.

- Myślę, że to był powód, dla którego Mrozik poszedł w las - powiedział Szczęsny pułkownikowi. - Po prostu zaciekawiło go, kto i co robi nocą na polanie. Poszedł. Natrafił na mordercę i zginął, bo okazał się niepożądanym świadkiem. Czego? Ba, to jeszcze pozostaje zagadką.

- Tę zagadkę musimy rozwiązać - przyznał Daniłowicz. - W takim razie pobyt mordercy na polanie mógł być nieprzypadkowy. Pewnie czekał na kogoś akurat w tym, dobrze zamaskowanym, miejscu i dla tego człowieka zostawił palące się reflektory. Zamiast współnika przyszedł ktoś niepożądany. Może nawet niebezpieczny? Bo przecież nie wiemy, czy zabójca i Daniel nie rozmawiali ze sobą, zanim nastąpiła zbrodnia - właśnie jako wynik tej rozmowy.

\*

Ulica Targowa szumiała. O dziesiątej w gorący sierpniowy wieczór tłum przelewał się przez chodniki,- z knajp trzeciej kategorii rozlegały się pijackie śpiewy i wrzaski. Tylko w kolejkach, które już o tej godzinie ustawiały się przed sklepami mięsnymi, aby nazajutrz rano doczekać się otwarcia i zdobyć cokolwiek na kartki - nastrój był zgoła inny. Przeważały starsze kobiety, wymęczone, chorowite, najczęściej apatyczne lub zgorzkniałe. Szeptaly między sobą, wyklinały kogoś albo dzieliły się uwagami na temat męża, córki czy syna.

Z „Malowanej” wytoczył się chłopak w rozchełstanej koszuli i ryknął na cały głos:

„Zabije me ktosik albo ja kogosik!”

Dostrzegł kumpla na murku przy śmietniku podbiegł, przyjrzał mu się i spytał zdziwiony - Coś taki przegrany, Waldek?

Ten podniósł na niego smutne oczy.

- Srajtygiel mi gwiźli - burknął.

- Ale! - Chłopak przykucnął obok niego przez chwilę próbował myśleć. W końcu rzekł. - Ten żółty maluch? Gdzieś go trzymał, ofiaro!

- Na podwórku, koło domu. Farbę mu zmieniłem, numery, wszystko grało jak ta lala, nik by nie poznał. Cały tydzień go miałem. No i cizi rano wychodzę, patrzę, nie ma. Jakiś s...syn podwędził.

- Ty, a może prawowity rozpoznał i zabrał?

- Coś ty, głupi? Ja wziąłem malucha aż i Bielan, był czerwony, tablica inna, po czym miał rozpoznać? Tych małych fiatów jak psów. I skąd by tu trafił, na Targową? Człowieku, żebym tego, co mi wóz podpieprzył, dostał w swoje ręce.

Nagle wyraz twarzy mu się zmienił, spoważniał. Ukłonił się komuś, kto przechodził obok nich, nawet jak gdyby trochę uniósł się z murki co w tych rejonach miasta, i w tym środowisk było czymś niesłychanym. Chłopak otworzył usta ze zdumienia, potem spojrzął na chodnik, ale w mroku ulicy nie dostrzegł już nikogo.

- Kto to był? - spytał kumpla.

- Nie wiesz? - Obejrzał się, zniżył głos Mo szeptu: - „Król paserów”. Z byle g... do niego się nie chodzi! Cwany gość. Daje więcej niż inni. I forsy ma jak lodu.

- A gdyby to tak - chłopak wykonał ręką gest, dobrze znany w środowisku. - Opłaciłoby się, co?

- Ty pacanie odłubany! - warknął Waldek. - Już tacy byli, co próbowali. Rozumiesz? I już ich nie ma. Całkiem nie ma, na amen.

Paser obojętnie minął rozmawiających, skręcił w swoją uliczkę. Kiedy znalazł się przed bramą, wyszło z niej dwóch milicjantów w

mundurach. Przystanęli, kapral” jakby się zawahał, potem zbliżył i zapytał:

- Pan tu mieszka?

- Tak - odparł. Nie dodał nic więcej, czekał.

- Pańskie nazwisko?

- Jakub Urarz.

- Poproszę dowód.

Nie śpiesząc się, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel skórzany, mocno podniszczony, z niego zieloną książeczkę i podał milicjantowi. Drugi podoficer, w stopniu sierżanta, rozglądał się uważnie dokoła. Kapral przejrzał dokument, porównał zdjęcie z twarzą człowieka, który stał przed nim, a nie mogąc się doszukać żadnej pieczętki o zatrudnieniu, spytał:

- Gdzie pan pracuje?

- Nigdzie. Jestem na rencie inwalidzkiej.

- Zna pan lokatorów tego domu?

Paser wzruszył ramionami. Chwilę się zastanawiał.

- A konkretnie, o kogo chodzi?

- O handlarzy walutą - wtrącił sierżant - I nie tylko walutą.

- Wprawdzie nie interesuję się sąsiadami i ni bardzo wiem, kto z czego żyje - odparł wolno ale jeżeli na tej ulicy ktoś z mieszkańców nielegalnie handluje, to nie w tym domu. Być może w następnym, tam podobno jest pijacka melin i odbywają się jakieś ciemne interesy. Wolałby jednak - dodał ciszej - aby panowie nie zdradzili, że to ja podałem tę informację. Mam ledwie zaleczoną gruźlicę i nie potrafiłbym, w razie czego obronić się.

- Proszę się nie obawiać - rzekł kapral, oddając mu dowód. - To zostanie wyłącznie dla nas.

Zasalutował, mruknął coś do kolegi i oddalił się. Paser patrzył za nimi bez uśmiechu. Jego ciemna, pofałdowana twarz była jak wykuta; kamienia, duże okulary w czarnej oprawie przesłaniały wyraz oczu. Wszedł do bramy, natknął się na starą handlarzkę, która zdążyła skryć się przed milicjantami w podwórzowej ubikacji. Teraz wyszła stamtąd ostrożnie, pod fartuchem miała kilka butelek.

- Poszli już? - spytała świszczącym szeptem, z przodu brakowało jej zębów. - Czy tam jeszcze stoją?... No, mów pan!

Rzucił jej przelotne spojrzenie, które nic nie wyrażało i znowu, tak jak do tej pory, poczuła przed nim lęk. Cofnęła się pod ścianę, umilkła. Na schodach spotkał dziewczynę z drugiego piętra. Zatrzymała się, uśmiechnęła zachęcająco. Biła od niej woń tanich perfum i przepoconej bluzki ze sztucznego tworzywa.

- Zaprosiłby pan choć raz na kielicha - powiedziała niskim, matowym głosem. - Taki z pana nieużyty sąsiad?

Odsunął ją na bok ruchem silnym, absolutnie obojętnym, może nawet lekceważącym. Szczerwieniła z gniewu. Potrafiła bluznąć obfitą wiązką, mało kto jej w tym dorównał, teraz jednak żaden obraźliwy wyraz nie chciał jej przejść przez gardło. Zacięła wargi, zbiegła ze schodów tak szybko, jak na to pozwalały wysokie obcasy i schody drewniane, powyszczerbiane, zdradliwe w ciemności.

Paser wszedł do mieszkania, zapalił słabą żarówkę wiszącą u sufitu. Usiadł, wyjął z kieszeni kapciuch z tytoniem. To, że nie palił fajki, nie miało żadnego znaczenia. Ostrożnie wysypał na stół wierzchnią warstwę

tytoniu, a potem to, co znajdowało się pod nim. Wziął lupe, obejrzał biżuterię i notował w myślach:

Pierścionek złoty, próba 0,583... brylant chyba 0,75 karata, trzeba jeszcze sprawdzić dokładniej. Pierścionek złoty, próbą 0,75... brylant z całą pewnością 0,55 karata. - Uniósł na dłoni, zakołysał lekko. - Waga, powiedzmy, dwa coma osiemset pięćdziesiąt. Szlif zupełnie przyzwoity. Czystość również. Barwa... no, zadowolająca, nie bądźmy drobiazgowi.

\*

Imieninowe przyjęcie było w tym roku skromne. Zabrakło przede wszystkim szampana, poza tym czarnego kawioru, a także delikatnych grzanek z zapiekany móżdżkiem - specjalności pani domu. Wyjaśniła z zażenowaniem, iż przygotowania do kolacji okazały się kłopotliwsze niż zazwyczaj i wyraziła nadzieję, że mimo to nikt nie pozostanie głodny.

- Pani żartuje, śliczna solenizantko! - zaśmiał się Kazimierz. - W zupełności wystarczyłaby ta wspaniała polędwica i szynka, soczysta jak południowy owoc! A przecież stół jest pełen różnych innych delikatesów. Nieprawdaż, kochanie? - zwrócił się do żony.

Danuta Pasowska przyświadczyła miłym uśmiechem. Tego wieczoru miała na sobie bardzo twarzową suknię ze srebrzystej lamy, spływającej aż do kostek i trzymającą się w górze na wąziutkich paseczkach z delikatnej srebrnej plecionki. Na opalonych plecach wyglądało to zachwycająco. Czarne włosy, lekko wijące się w głębokie fale, otaczały twarz wąską o podłużnych migdałowych oczach, twarz kobiety - może damy - ze średniowiecznych obrazów.

Kazimierz spoglądał na nią z widocznym upodobaniem, aż któryś z mężczyzn zauważył to i rzekł pół żartem, pół serio:

- Popatrzcie tylko, jakim wzrokiem Kazio patrzy na swoją żonę! Można by myśleć, że są od wczoraj po ślubie, a przecież to już minęło...

- Pssst! - przerwał mu pan domu. - Kobietom nie liczy się lat. Ani w małżeństwie, ani w ogóle.

Ktoś skorzystał z okazji i wznosił toast: „zdrowie pań”. Zapanował gwar, brzęczały kieliszki, z drugiego pokoju dolatywały dźwięki muzyki; pan domu miał bogaty zbiór płyt i zagraniczny zestaw radio-magnetofon-adapter w stereofonicznym wydaniu. Goście czuli się tu dobrze, znali od lat, sami prywaciarze, żadnej wtyczki z rejonów prawa, sprawiedliwości i tym podobne. Każdy z nich robił, co mógł, aby zarabiać dużo w tych niewątpliwie trudnych czasach. Wszyscy mieli głowę na karku, majątek ulokowany w obcej walucie lub w którymś z zagranicznych banków, aby nie drażnić krajowego fiskusa. Polityką nie zajmowali się, ideologię zastępował interes z zyskiem, chcieli nie tyle „być”, ile „mieć”. W pewnym stopniu byli też dla społeczeństwa pożyteczni, bo prowadzili warsztaty usługowe, bary, prywatne sklepy i firmy budowlane. Wypełniali więc lukę w sektorze państwowym, która zresztą powiększała się z każdym dniem, co im też dogadzało.

Krewna państwa domu, wysoka koścista pani, nadzwyczaj elegancka, mimo późnego wieku, przy tym bardzo apodyktyczna i uznająca tylko własne zdanie, donośnym głosem rozповідаła o zderzeniu, którego cudem udało jej się uniknąć, kiedy prowadziła swoją smukłą, popielatą mazdę-323.

- Wyobraźcie sobie, jechałam prawidłowo prawym pasem, aż tu nagle mijają mnie z lewej rozpędzony ikarus i wypluwa olbrzymi kłęb czarnych spalin! Miałam szybę uchyloną, wszystko poszło mi w twarz,



prawie straciłam panowanie nad kierownicą. Na szczęście udało mi się uniknąć katastrofy.

- Ikarusy smrodzą z lewej strony! - zaproponował Darek. Miał sześć lat i był mądry.

- Cicho bądź! - skarcił syna pan domu. Zależało mu na dobrych stosunkach z ciotką żony, więc spytał uprzejmie: - A jak się wujowi pracuje w firmie? Szkoda, że dziś nie przyszedł.

- Mój mąż nie pracuje - odparła wyniośle. - Mój mąż zajmuje stanowisko.

Darek wybuchnął śmiechem i zaraz wszedł pod stół, żeby nie kazali mu powiedzieć, dlaczego. Nawiasem mówiąc, nie znosił gości. Wykopnięty dyskretnie przez ojca, wlaź w kąt pokoju i ulokował się obok stolika z tortem. Potem można już było korzystać z ogólnego zamętu, rozmów i toastów. Tort zmniejszał - się powoli, lecz systematycznie.

Około północy goście zaczęli się rozchodzić - Pasowscy wyszli jako ostatni, Danuta miała coś tam jeszcze do omówienia z panią domu i obie zniknęły w kuchni. Kazimierz westchnął, był; śpiący. Nie wypadało jednak przerywać kobietom rozmowy, więc usiadł w fotelu i bez większego zainteresowania słuchał bełkotu pana domu pod tytułem: „wspomnienia z dzieciństwa”. Gospodarzowi plątał się język z nadmiaru alkoholu, ale Pasowskiemu było i tak wszystko jedno, co usłyszy.

Wreszcie Danuta ukazała się na progu pokoju, nastąpiło czułe pożegnanie z uściskami, pocałunkami. Po kilku minutach Pasowscy znaleźli się w szarym opel-recordzie. Kazimierz prowadził wóz i milczał przez całą drogę. Ładna twarz jego żony nagle jakby postarzała się, zbladła, oczy przygasły.

Weszli do mieszkania. Kazimierz dokładnie zamknął drzwi na kilka zagranicznych zamków, zrzucił buty, marynarkę i krawat. Otworzył okno w sypialni, aby wychłodzić rozgrzane wnętrze. Nie obejrzał się, kiedy weszła.

- Musisz mi dać dziesięć tysięcy - odezwała się cicho.

- Na co? - warknął, spoglądając na pustą ulicę.

- Zepsuł się w barku ekspres do kawy. Naprawa będzie drogo kosztować. Poza tym powinnam gdzieś zdobyć sok cytrynowy albo pomarańczowy. Gorąco, goście chcą pić.

Odwrócił się od okna, patrzył na nią bez słowa. Pomyślała w popłochu, że bije ją tymi oczami, taki był w nich wyraz. Są jak z lodu. Niebieskiego, twardego, zimnego lodu.

- Jeżeli chcesz, żebym dalej pracowała w barze, nie możesz mi ciągle odbierać, gotówki - rzekła znużonym głosem. - Prowadzenie lokalu wymaga nieustannych wkładów, nie mogę być bez pieniędzy. Owszem, bar daje dochód, ale...

- Nie ucz mnie! - syknął. - Wiem, co i ile daje bar. Sama parzysz kawę, więc dlaczego nie dbasz o ekspres? Gdybyś uważała, to by się nie zepsuł.

Wzruszyła ramionami. Była tak zmęczona tym bezustannym użeraniem się z nim o pieniądze, które wydzielał jej skąpo, złościł się przy każdej naprawie, przy każdym - według niego - zbędnym wydatku.

- Ja ci nie wypominam tej... Moniki - powiedziała, na pozór bez związku. Poczerwieniał z gniewu. Nalał sobie trochę whisky z wodą sodową, upił dwa łyki.

- Chcesz rozwodu? - rzucił opryskliwie. Wcale tego nie chciał z

różnych przyczyn. Wiedział jednak, że Danuta nigdy nie da twierdzącej odpowiedzi. Była w gruncie rzeczy tak mało samodzielna, chwilami bezradna. Jej bierna natura nie znosiła żadnych form życia na przekór, w walce z kimś czy o coś, przebojem.

- Nie - odparła z wysiłkiem. - Ale czy nie moglibyśmy sprzedać baru? Zmęczyło mnie to.

- Co to znaczy: zmęczyło? Ja też pracuję. Masz trzydzieści sześć lat i końskie zdrowie. Zresztą bar jest mi potrzebny.

- Wydaje mi się, że masz sporo pieniędzy - powiedziała, z namysłem dobierając słowa.

- Więc po co jeszcze bar?

Przyglądał jej się, mrużąc oczy. Była w nich iskierka rozbawienia, ale też i coś innego.

- Nie pierwszy raz chcesz wiedzieć, ile mam pieniędzy - odparł. - Dlatego, również nie pierwszy raz, ostrzegam cię, abyś nie zadawała takich pytań. - Pomilczał chwilę, dopił alkohol. Dodał już lekkim, prawie żartobliwym tonem: - Inna na twoim miejscu byłaby w siódmym niebie! Czasy są teraz trudne, niepewne, ludzie stoją całymi dniami w kolejkach, nie dojadają, marzną. A ty masz wszystko. Żyjesz jak zamożna przedwojenna mieszczałka. Chcę od ciebie tylko, abyś kierowała barem. Parzyła kawę. Uśmiechała się do gości.

- Wiem - odrzekła z goryczą w głosie. - Od dawna chcesz ode mnie tylko tyle... Barmanka!

Roześmiał się urągliwie i wyszedł z pokoju.

## **Rozdział 7**

Rysopis był właściwie żaden: wysoki mężczyzna, w dużych ciemnych okularach i czarnej kurtce skórzanej. Jego wóz, to zielony fiat-125p, poobijany, z wgniecionym błotnikiem i na prawie nowych oponach. Oficer z „drogowej”, kiedy Szczęsny zwrócił się do niego z pytaniami, tylko dlatego nie roześmiał mu się w nos, że był zaledwie młodym porucznikiem, więc nie wypadało wobec majora...

- W Warszawie mamy zarejestrowanych około pół miliona samochodów prywatnych - powiedział. - W tym, jeżeli pamiętam, ponad sto dwadzieścia tysięcy fiatów sto dwadzieścia pięć p. Ale czy major jest pewien, że to był mieszkaniec stolicy?

- Niczego nie jestem pewien - westchnął Szczęsny. - Mógł to być nawet obcokrajowiec, mówiący dobrze po polsku. Teoretycznie, rzecz jasna.

Chciał jeszcze spytać o liczbę zielonych fiatów, ale machnął ręką i wyszedł. A mimo to ten skąpy rysopis został rozesłany do wszystkich jednostek MO w kraju. Raz dlatego, że Szczęsny w Biurze Kryminalnym Komendy Głównej miał dobre znajomości, a dwa - bo uparł się, że znajdzie mordercę Daniela Mrozika. Podświadomie czuł, że chłopak zginął absolutnie bez własnej winy, mając sumienie tak czyste jak świeżo wyprana koszula.

Rysopis poszedł więc w Polskę. Na drugi dzień) do majora zadzwonił prokurator Białecki. Spotkali; się i prokurator rzekł, wyjmując komunikat oraz; własne notatki:

- Nie wiem, panie majorze, czy to w ogólei ma jakiś sens, ale tak mi się skojarzył ten rysopis z zeznaniem człowieka, którego niedawno

przesłuchiwałem. Nazywa się Jan Zawadowski tam wchodzi w grę kwestia szantażu, kradzież narkotyków i tak dalej. Otóż...

- Trochę znam sprawę - przerwał Szczęsny. - To ten facet, co chciał popełnić samobójstwo, tak?

- Zgadza się. Otóż Zawadowski, kiedy po długim milczeniu przyznał się do tego, że był szantażowany, w ten sposób określił sylwetkę szantażysty... zaraz, tylko znajdę - szukał wzrokiem w notatkach - o, jest! Powiedział tak: „z taksówki wysiadł jakiś mężczyzna wysoki, w ciemnych okularach, w kapeluszu z podniesionym kołnierzem płaszcza”. A dalej: „Zjawiał się raptownie... zawsze w ciemnych okularach, które prawie przesłaniały mu twarz”.

- Interesujące - mruknął Szczęsny. - Żadnych danych o samochodzie?

- Nie. W każdym razie Zawadowski o tym nie mówił. To znaczy za pierwszym razem, kiedy szantażysta go zaczepił, podobno wysiadł z taksówki. A później spotykali się gdzieś na peryferiach, nocą, w czysto kryminalnej scenerii. - Białecki zamyślił się na chwilę. - Nie jestem pewien, czy Zawadowski nie ma zbyt bujnej wyobraźni.

- Sądzi pan, że Daniel Mroziak mógł być również szantażowany? I to przez tego samego osobnika?

- Być może. Ale niech pan słucha dalej. Otóż dwa dni temu Zawadowski, kiedy pytałem go, czy szantażysta nie przypominał mu kogoś ze znajomych, wpierw długo wykręcał się, oburzał nawet i zaprzeczał. W końcu jednak z dużym wahaniem odparł, że sylwetka tego człowieka i ruchy trochę przypominały mu właściciela baru w Śródmieściu, niejakiego Kazimierza Pasowskiego.

- Oni się znają?

- Niezupełnie. Zawadowski dość często jadał tam obiady. W zasadzie barem rządzi Pasowska, a jej mąż wpada tylko czasami. Więc Zawadowski go widywał. Nie rozmawiali ze sobą, nie było okazji do zawarcia znajomości, a pewnie i takiej potrzeby. Oczywiście, są to ogromnie kruche podstawy do zainteresowania się Pasowskim.

- Spróbuję - odparł major. - Poobserwujemy, co to za facet. Ot, tak tylko. Bardzo ostrożnie, żeby nie skrzywdzić niewinnego. Ja wiem, że wysokich mężczyzn w ciemnych okularach, zwłaszcza teraz, latem, to w Warszawie setki. A i w samej komendzie znalazłoby się takich paru. W prokuraturze też.

Roześmieli się, potem Szczęsny jeszcze zapytał:

- A głos? Czy Zawadowski porównywał głosy Pasowskiego i szantażysty?

- Pytałem, ale nie potrafił sensownie odpowiedzieć.

Tak zwany wywiad środowiskowy, który Szczęsnemu przedstawiono w dzielnicy, dawał Kazimierzowi Pasowskiemu zupełnie dobre świadectwo. Wynikało z niego, że jest to człowiek spokojny, w żadne awantury dotąd nie wmieszany, politycznie obojętny, pracujący częściowo w barze, prowadzonym przez żonę Danutę, a częściowo w dziale finansowym spółdzielni „Skarpetka”, gdzie pomaga księgowemu w prowadzeniu rachunków (praca na zlecenie). Pasowski lubi się zabawić, ale pije z umiarem, jest grzeczny, lubiany. W tym miejscu dodano: zwłaszcza przez kobity.

Były jeszcze bliższe dane personalne, adres domowy, posiadany samochód opel-record (zapisany na żonę)” parę wyjazdów zagranicznych, i to wszystko.

- Czy, oprócz bardzo nieprecyzyjnych podejrzeń Jana Zawadowskiego, jest jakikolwiek inny powód, dla którego mielibyśmy dalej interesować się Pasowskim? - spytał Szczęsny swego szefa.

Daniłowicz wzruszył ramionami.

- Mało masz roboty? - odparł pytaniem.

\*

Życzliwość „Operatora” była naturalna. Potrzebował pasera, dlatego zależało mu na jego bezpieczeństwie, gdyby go „zakiblowano” nie przedstawiałby dla rudego złodziejaska żadnej wartości; wprost przeciwnie, mógł stanowić nawet zagrożenie, gdyby to i owo powiedział w trakcie przesłuchania.

Toteż, jak tylko „Operator” usłyszał pewną rozmowę, postanowił natychmiast odwiedzić pasera. Nie byli wprawdzie umówieni i przez parę dni nie mógł go zastać w domu, co zresztą nie budziło obaw, bo złodziej wiedział, że Urazz często wyjeżdża „w interesach”. Wreszcie pod sam koniec sierpnia, późnym wieczorem, dostrzegł światło w oknie jego pokoju na trzecim piętrze.

Paser zdziwił się trochę odwiedzinami, ale miał do „Operatora” słabość, była jakaś ledwie dostrzegalna nić sympatii, która ich łączyła. Złodziej nie zastanawiał się, skąd to się wzięło; w zasadzie nie miał nic przeciwko temu, życzliwość Urazza ułatwiała transakcje.

Wszedł do mieszkania swym lekkim, kocim krokiem, omiół wzrokiem brudny pokój, stwierdził, że nic się w nim na oko nie zmieniło i, uspokojony, usiadł przy stole.

- Przyszedłem pana ostrzec - zaczął bez wstępów. - Ta zdzira z drugiego piętra ma do pana złość, nie wiem o co. Podobno wybiera się z

donosem.

Ciemna, pofałdowana twarz pasera drgnęła lekko. Poprawił okulary, ale nie odezwał się, czekał na dalszy ciąg.

- Przepytalem tu i ówdzie - mówił rudzielec - dziwka jest twarda, zawzięła się. Można by ją uciszyć. Tylko, że to znów pociągnie za sobą niepotrzebne gadanie, zaczną węszyć, na co nam to. Myślałem, żeby ją wywieźć za miasto i tam załatwić. Jak pan uważa?

Uraz zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeżeli zaczęła mówić na mój temat - odezwał się - to nie mamy pewności, czy już ni doniosła. A wtedy od razu będzie na mnie.

- Też racja. Coś jej pan zrobił, że ta szmata; łachojda, pysk drze?

Po twarzy Uraz przeleciał nikły uśmiech.

- Nic. Rozumiesz?... Właśnie nic. „Operator” błysnął oczami, roześmiał się.

- Ja się panu nie dziwię. Taka przegrana praca, chyba po pijanemu by kto na nią poleciał.

Zasepił się, nerwowo potarł policzek.

- Z taką mieć sprawę, to jak małpie dać brzytwę - mruknął. - Co zrobimy?

- Wyjadę. Na jakiś czas. Wrócę, jak wszystko przycichnie.

- Cholera, komu ja będę fanty przynosił? -: zatroskał się rudy.

- Poczekaj. Schowaj dobrze i poczekaj. Zresztą jest Rympoł, jest Ołek - dyrektor. Z tymi dwoma możesz robić interesy, zanim wrócę.

Pożegnali się, „Operator” wyszedł.

\*

To, co obmyślił, zaczęło go pasjonować. Przygotowywał się



starannie, wszystko musiało być rozegrane na sto dwa. Wtorek drugiego września był ciepły. W kraju nowa fala strajków, bunt więźniów, blokada żywności na Wybrzeżu, bezczeszczenie cmentarzy, tysiące wrogich ulotek, plakatów, broszur, rozpowszechnianych, gdzie się dało i coraz większych strat w produkcji. Tym jednak paser nie przejmował się, bo sam miał wszystko, czego potrzebował. Sprawy ginącego państwa nie były jego sprawami.

Zaczął realizować swój scenariusz około godziny dwudziestej trzeciej. Zasłonił okno, sprawdził, czy drzwi dobrze zamknięte. Potem systematycznie demolował mieszkanie, wyrzucając na podłogę te trochę ubrań i bielizny, jakie były w kulawej szafie, tłukąc naczynia, przewracając stół i krzesła, co zresztą robił po cichu i z uwagą. Wywłókł pościel z wyra, skopał siennik, rozerwał go i wybebeszył.

Kiedy pokój wyglądał, jakby szalał w nim pijany awanturnik, Urarz usiadł na brzeżku stołka, wyjął z kieszeni mały, bardzo ostry nóż, a z torby opatrunek - i bandaż. Zacisnął zęby, zdjął rękawiczki, odwinął rękaw swetra na lewej ręce i przeciął skórę, uważając, aby nie natrafić na żyłę. Trysnęła krew. Pokapał nią solidnie pościel, materac, podłogę, a także przedpokój, ściany i zlew. Obejrzał wszystko krytycznym okiem, później przykleił opatrunek, zawinął rękę bandażem. Nałożył sweter, syknął, bo rana zapiekła. Zakrwawioną koszulę schował do torby, to był rekwizyt na później. Znowu włożył rękawiczki.:

Z tobołu, walającego się w kącie pokoju wyjął dwie pary męskiego obuwia, każda miała inny; wygląd i numerację. Teraz należało zrobić rzecz trudną, ale ważną, źle wykonana mogła wszystko zepsuć. Zdjął z nóg swoje buty, został w samych skarpetkach. Bardzo ostrożnie, uważając, aby

niej stąpić tam, gdzie ciemniały z każdą chwilą plamy krwi, poruszał się po pokoju i kuchni, tu i ówdzie odciskał na tych plamach wyciągnięte z tobołu, cudze obuwie. Po jakimś czasie obejrzał podłogę i kiwnął głową z zadowoleniem. W mieszkaniu widoczne były wyraźne ślady dwóch pali obuwia - tak, jakby dwóch mężczyzn chodził™ po nim, nie zwracając uwagi na krew.

- A było ich dwóch, złodziej i morderca - mruknął i zachichotał. Stąpił wciąż na samych palcach, więc zaboląły go nogi. Przeprowadził „obce ślady” przez przedpokój, nosami w stronę drzwi. Na schodach odcisk Butów miał prawo urwać się, zniknąć. Wsunął więc obie pary obuwia do torby, dodał swoje. Po chwili namysłu rzucił w kąt, pomiędzy toboły ze szmatami, dowód osobisty Jakuba Urarza, nie omieszkując go przedtem solidnie zakrwawić.

Skaleczona ręka piekła i zdrętwiała. Przysiadł znowu na przewróconym krześle, odpoczywał. Wodził oczami po mieszkaniu, próbował postawić się na miejscu milicji. Czy niczego nie zaniedbał? Muszą być przekonani, iż Jakub Urarz został napadnięty, obrabowany i zamordowany. Brakowało mu argumentu, dla którego mordercy zabrali zwłoki. Więc może, dajmy na to, Urarz żył jeszcze i obiecał, że wskaże im kryjówkę, gdzie schował pieniądze. Za cenę życia. Wynieśli go, wsadzili do samochodu. Pojechali. Co dalej, to się zobaczy.

Wstał, zabrał torbę, zgasił światło. Minęła północ, zaczął siąpić drobny deszcz. Klucze od swoich misternych zamków cisnął na tapczan, nie były mu już potrzebne. Wychodząc zostawił drzwi odrobinę uchylone. Zbiegł cicho, w skarpetkach, po schodach, przez tylną bramę przeszedł na drugie podwórze. W zakonspirowanym garażu, przerobionym ze, starej

szopy, trzymał zielonego fiata-125 p. Wyprowadził go ostrożnie na ulicę, na peryferiach miasta dodał gazu.

Po godzinie jazdy zatrzymał się na skraju lasu. Brzeg spadał tu urwistym zboczem do rzeki, sześć, może osiem metrów w dół. Wysiadł i rozejrzał się. Deszcz przestał padać, dokoła nie było żywej duszy, nie widział żadnych świateł pojazdów - pusto, cicho. Otworzył bagażnik, wyjął z niego czystą koszulę, szary flanelowy garnitur, sportowe buty, skarpetki, krawat. Przebrał się szybko, 1 zdjęte ła chy wsunął do torby, w której były trzy pary butów. Zakrwawioną koszulę rzucił na siedzenie wozu, aby pozostawiła na nim ślady krwi, co mu się nie udało, gdyż krew wsiąkła już w materiał i zaschła.

Zawahał się, zastanawiał. Zerwanie opatrunku wcale mu się nie uśmiechało, drugie z kolei okaleczenie tym bardziej. W końcu zakłuł się w palec i wysmarował obficie siedzenia, wyglądało to, jakby ktoś tu wiozł świeżo zarżnięte kury.; Klucze zostawił w stacyjce, reflektory zgasił.

Do torby włożył dwa duże, przygotowane w tym celu, kamienie, podszedł na sam brzeg urwiska, zamachnął się, stęknął z wysiłku i rzucił swój ostatni rekwizyt do rzeki. Plusnęła woda, potem znów była cisza. Wrócił na drogę. W marynarce miał wszystko, co mogło mu być teraz potrzebne: inny dowód osobisty, pieniądze, pistolet, klucze od innego mieszkania, dokumenty innego samochodu. Czekala go jeszcze długa przechadzka do miasta.

On sam był już od tej chwili kimś innym) Uraz został zamordowany, wywieziony i wrzucony do rzeki, przestał istnieć. Będą go szukał. Wpierw jego, potem morderców. Nie znajdą ani zwłok, ani tamtych. W środowisku złodziei i włamywaczy przez jakiś czas będzie

krażyć dziesięć najprzeróżniejszych wersji o „Królu paserów”, który nagle zniknął z domu, być może zamordowany przez konkurencję.. Potem ucichną, zapomną i tylko jeden z nich, rudy złodziej, będzie czekał na jego powrót.

Ale Jakub Urarz nigdy już nie wróci.

\*

Następnego dnia wczesnym rankiem na trzecie piętro wśliznął się drobny urka, specjalista od kradzieży przez balkon na wyższych piętrach. Niósł do „Króla paserów” złoty pierścionek i obrączkę, a także naszyjnik z czegoś, co było mu nieznane, mogło, jednak przedstawiać” ładną wartość.....

Zobaczył uchylone drzwi, zdziwił się. Zdjął go strach i na wszelki wypadek dał nogę. Na dole spotkał starą meliniarkę z parteru, szła do sklepu po chleb. Znali się i mały urka spytał, czy nie wie, co się stało u pana Urarza? Czy w ogóle się coś stało? - dodał.

\* Złodziej.

- A co się miało stać? - burknęła niechętnie.

- Bo ma drzwi otwarte.

- Głupiś, Maniek. Jak otwarte, to wejdź i zobacz...

- Prawda - przyznał zawstydzony i pognął z powrotem na górę.

Ale to, co zobaczył już w przedpokoju, przerastało jego możliwości psychiczne, jeżeli w kimś takim jak on siedziała w ogóle jakaś psyche Był nieodporny na krew, w szpitalu mdlał regularnie przy każdym zastrzyku, aż pielęgniarka przestała na to zwracać uwagę. To prawda, że widok mieszkania Jakuba Urarza nie był przyjemny, złodziej pomyślał jednak przede wszystkim o własnym bezpieczeństwie - co będzie, jak go tu

zastaną. Zaraz potem przyszła druga, nieco inna refleksja. Oto pasera ktoś okradł, mieszkanie jest puste, być może ogołocone ze wszelkiego dobra... a może nie. Nadarza się jedyna okazja.

Tak szarpiąc się wewnątrz między strachem, słabością własnego organizmu i żądzą posiadania, mężnie zwalczył dwa pierwsze uczucia i wskoczył do pokoju. Skoki były konieczne, jeżeli nie chciał zostawić śladów obuwia, to i owo liznął kiedyś z kryminalistyki Jego długie, zwinne palce błyskawicznie przeleciały po wnętrznościach siennika, po tobołach w kącie, spenetrowały szafę i wszystkie zakamarki w lokalu. W miarę jak dochodził do końca, twarz mu się wydłużała markotnie. Jego kolega po fachu załatwił pa-: sera na czysto.

- Kto to mógł być? - myślał urka, zbiegając szybko ze schodów. Nie spotkał już nikogo w bramie, trzeba było jednak powiadomić najbliższych kumpli. Po południu wieść dotarła, bardzo, okrężną drogą, do sierżanta-dzielnicowego. Po; siedł do mieszkania Uraza, postął tylko w progu, zatrzaskał drzwi i wrócił do komisariatu, ab: zawiadomić, kogo trzeba. Dodał, że mu to wygląda „dziwnie”. Kapitan Kręglewski z Komendy Stołecznej MO nie zwrócił uwagi na to określenie, wnioski z oględzin zwykł wysnuwać sam, bez podpowiadania.

Przyjechali z ekipą dochodzeniowo-śledczą, zajęcia mieli do wieczora. Sugestie dzielnicowego zaczęły się jakby potwierdzać Na oko rzecz, bowiem wyglądała dość typowo Oto gospodarz lokalu Został obrabowany, przy czym napastnicy - ślady wykazywały, że było ich dwóch - widocznie czegoś uparcie szukali, nie oszczędzając żadnego sprzętu, nawet talerzy. Zirytowani i zawiedzeni, dobrali się swej ofierze do skóry, i to dosłownie. Być może, chcąc ratować życie, postanowił zaprowadzić ich

w miejsce, gdzie, (to była oczywista hipoteza) ukrył swoje „skarby”. Wyszli więc. Dokąd? Gdzie jest Jakub Urarz, którego skrwawiony dowód osobisty miał teraz Kręglewski w ręku i przeglądał uważnie.

- On nie szedł z nimi - powiedział technik, specjalista od śladów. - Jego wynieśli. O, tu. Widzi pan, kapitanie? Do drzwi wyjściowych prowadzą ślady tylko dwóch par obuwia. Co prawda... - zamyślił się, przykucnął nad ciemnymi plamami.

- W czym rzecz?

- W tym, że ci dwaj chodzili po mieszkaniu dziwnie lekko. Jakby każdy z nich ważył dziesięć kilo. No, przesadzam. Ale, kapitanie, na moje oko to nie są ślady chodzenia.

- Tylko czego? Fruwali nad podłogą?

- Może, powiedzmy, zostały odcisnięte. Ktoś trzymał but w ręku i przykładął do plam krwi.

Kręglewski zaciekawiał się, przyjrzał podłodze. Idąc tym sygnałem, zastanowił się nad bałaganem w mieszkaniu. Czy to był naprawdę rabunek? Po co, na przykład, tłuczono naczynia? Z zemsty, z gniewu? Nerwy ich poniosły? Oczywiście, analiza plam wykaże, czy to jest w ogóle krew ludzka, przeprowadzi się wszystkie badania według zasad najnowszych osiągnięć kryminalistyki...

- Zna pan tego Jakuba Urarza? - zwrócił się do dzielnicowego, który stał w drzwiach. - Co to za facet?

- Nie mogę powiedzieć, że bym go znał - odparł sierżant. - Kilka razy zamieniliśmy dwa, trzy słowa. Wiem tylko, że to jest rencista, inwalida, chyba gruźlik. W tym lokalu zwykle był spokój, żadnych awantur, mało kto do niego przychodził. Nie docierały też do mnie żadne skargi.

- Mieszka tu niecały rok - stwierdził kapitan po przejrzeniu dowodu Urarza. - To kwaterunkowe, tak?

- Tak. Przed nim mieszkała taka stara babcia, ale zmarła. Potem on się wprowadził.

- Miał przydział?

- Chyba tak - sierżant zakłopotał się. - Nie? interesowałem się tym bliżej, mój rejon jest ciężki i muszę zajmować się przede wszystkim tymi, którzy sprawiają wiele kłopotu. A takich tu mnóstwo.

Ekipa zrobiła wszystko, co do niej należało. Opieczętowano drzwi, których zamki zdumiały Kręglewskiego zarówno liczbą, jak precyzją wykonania. W taki sposób nie zamyka się mieszkania wyglądającego jak melina lub nora alkoholika. Ponieważ jednak nie znaleziono zwłok i gospodarz, całkiem żywy, mógł każdej chwili wrócić, kapitan przekazał klucze dozorczy. Zostawił mu też polecenie, żeby Urarz zgłosił się do komisariatu, jeśli się zjawi.

Kręglewski pojechał do Pałacu Mostowskich i zastał w pokoju majora Szczęsnego oraz szefa.

- Mamy ten zielony fiat! - powiedział Szczęsny do” kolegi. - Są w nim ślady krwi i to zupełnie świeże.

- Poczekaj - kapitan rzucił okiem na meldunek - a jeżeli tym samochodem wywieziono Urarza?

- Jakiego Urarza?

Opowiedział im więc, co zastał w mieszkaniu na Pradze i dodał, że ktoś w kamienicy zauważył w nocy wyjeżdżający z podwórza zielony samochód, a dozorca w takim wozie widział parokrotnie Urarza.

- W wozie nie było zwłok - rzekł major. - Ale rzeczywiście wszystko

wskazuje na to, jakby wieziono w nim człowieka rannego względnie martwego. Była też mocno zakrwawiona męską koszula.

- Skąd wiecie, że to jest akurat ten poszukiwany fiat z ładowskimi oponami? - Kręglewski stał się nagle nieufny. Za łatwo się to wszystko układało. Jakby umyślnie.

- Oczywiście, nie ma żadnej pewności. Ale opis się zgadza: zielony fiat, wgnieciony prawy błotnik i również prawy poobijany bok, prawienowe opony. I, co ciekawe, nowe reflektory. Tak, jakby właściciel zmienił je bardzo niedawno. A pamiętasz, że inżynier Wiśniewski mówił o charakterystycznych reflektorach, duńskich czy szwedzkich, specjalnego kształtu. Zakładam, że morderca Mrozika zmienił nie tylko tablicę rejestracyjną, ale i reflektory.

- Zaraz, czekaj! Ale to... - kapitan zerwał się z krzesła, podniecony - to by sugerowało, że właśnie Uraz zabił tego chłopaka! Przecież to jego samochód! I teraz z kolei zabito Uraz.

- Zemsta?

- Badaliśmy bardzo dokładnie wszystkie kontakty i powiązania Daniela Mrozika - zauważył Daniłowicz. - Nic nie wskazywało na znajomość z jakimś rencistą z Pragi. A przecież musieli się znać, jeżeli doszło aż do zabójstwa. Szczęsny, trzeba jeszcze raz porozmawiać z rodziną Mrozika. Wy dwaj - popatrzcie na obu oficerów - musicie połączyć robotę. Dobierzcie sobie jeszcze kilku kolegów. Mnóstwo pracy przed nami.

- Myślał chwilę, potem spojrzał na Kręglewskiego: - No, co jest? Co ci się nie podoba?

- Siady - mruknął kapitan. - I ten bałagan w jego mieszkaniu.



Technik twierdzi, że ślady butów są lipne. A ciało? Jeżeli porzucili samochód w lesie, to co zrobili z ciałem? Są ślady kopania?

- Nie ma. Ale mogli wrzucić do rzeki. Po patrz - Szczęsny rozłożył na biurku zdjęcia.

- Brzeg urwisty, spadek siedem metrów Tam teraz szukają, ciągną sieci. Jest też płetwonurek.

Daniłowicz wstał, spojrzął na zegarek. Był późny wieczór.

- Jadę na Pragę. Zobaczę, jak to wygląda. Zabrali się we trzech, bo major zainteresował się tym, co mówił Kręglewski. Zresztą, mieli pracować razem, sprawy się łączyły. Odebrali od dozorczy klucze, przy okazji dowiedzieli się, że Jakub Urarz nie pokazał się ani martwy, ani żywy Zerwali pieczęć na drzwiach.

- A cóż to za zamki! - wykrzyknął Szczęsny. - Albo chował tu skarby, albo panicznie się czegoś bał Możę to paser?

Weszli do mieszkania Trzy pary fachowych oczu przesuwają się po meblach, ścianach, plamach krwi, po skorupach naczyń i rozbebeszonym sienniku.

- Co jest w tych tobołach? - spytał Daniłowicz.

- Szmaty, stara bielizna, podarte buty - odparł Kręglewski. - Tak, jakby u handlarza najniższej kategorii.

- Rozmawiałeś z sąsiadami? Kapitan wzruszył ramionami.

- Próbowałem. Nie chcą gadać. To żulia. Dwie prostytutki, meliniarka wódczana, paru cwaniaków bazarowych. Reszta zastraszona, stare kobiety, milczące, schorowane. - Wyjrzał przez okno i dodał: - Przecież to na tym skwerze spalili nysę z „drogowej” i ciężko pobili sierżanta. Chłop jest załatwiony, dogorywa w szpitalu. Miał wstrząs

mózgu, cztery złamane żebra, pękniętą nerkę, już nie wiem, co jeszcze... Przeklęta żulia!... Jeden - pamiętacie? Tylko jeden człowiek, stary zbawidowiec z partyzantki rzucił się na pomoc. Dostał kamieniem w skroń.

Kapitan był blady, patrzył na skwer, jakby widział tę scenę. Szczęsny położył mu rękę na ramieniu. Milczeli chwilę: W końcu pułkownik odezwał się głosem, stłumionym przez żal:

- Znałem go. Był ze mną w oddziale, miał pseudonim „Śmiały”. Dużo starszy od nas wszystkich, nauczyciel z zawodu. Wspaniały człowiek! Po wojnie pracował w szkole na Ochocie, potem przeszedł na emeryturę. Miał Virtuti, Krzyż Partyzancki i Krzyż Walecznych. - Westchnął, a potem dorzucił: - Kiedy go zamordowali, skończył właśnie siedemdziesiąt jeden lat. Pozostał „Śmiałym” do końca.

\*

Kapitan Kręglewski myślał potem niejednokrotnie, że cała sprawa o kryptonimie „Rencista” była nie tylko dziwna, jak ją określił sierżant-dzielnicowy, ale bardzo pogmatwana.

Kiedy ze Szczęsnym podsumowali to, czego do tej pory zdołali się dowiedzieć, okazało się, że niewątpliwe są jedynie dwie rzeczy: zabójstwo Daniela Mrozika i zniknięcie Jakuba Urarza. Wielokrotne rozmowy z rodzicami Daniela, jego kolegami w pracy, krewnymi i znajomymi z Warszawy i Starosiółek przyniosły ten sam rezultat. Nikt nie znał Urarza, nikt nigdy nie widział Mrozika w kontakcie z tym rencistą, ani nie słyszał od niego takiego nazwiska.

Należało przyjąć, że ci dwaj byli sobie obcy. Natomiast im dłużej wglębiano się w tajemniczą postać mieszkańca brudnej meliny na Pradze,

tym bardziej stawała się ona wielką niewiadomą. W laboratorium wydziału kryminalistyki Komendy Stołecznej MO biegły stwierdził stanowczo, że dowód osobisty Jakuba Urarza jest bardzo umiejętnie sfalszowany I to od początku do końca. Nie istniał człowiek, widoczny na zdjęciu w dowodzie, ściślej - nie istniał w żadnym rejestrze, w żadnym urzędzie meldunkowym, spisie, ewidencji, itd. Fałszywa była nie tylko adnotacja o zameldowaniu, ale nawet miejscowość, w której rzekomo się urodził. Po prostu nie było w Polsce takiego miasteczka.

Dalsze penetracje wykazały, że Jakub Urarz nie figuruje w spisie osób, pobierających rentę. Nie było go też w związku inwalidów.

Więc jakim cudem wprowadził się do kwaterunkowego mieszkania? Kto mu dał przydział? Ponoć były jakieś powiązania rodzinne pomiędzy poprzednią lokatorką, staruszką blisko dziewięćdziesięcioletnią, która zmarła w listopadzie ubiegłego roku. Ponoć Urarz - a raczej, człowiek, który używał tego nazwiska - był jej bratankiem czy siostrzeńcem, opiekował się krewną, odwiedzał ją, nocował czasami - no i tak zostało. Formalności nie zostały przeprowadzone, później wszystko przycichło. Zagłuszyły ją, jak wiele innych spraw codziennego życia, narastające dramaty wiskiej polityki. Zmieniali się ludzie ni najróżniejszych stanowiskach, od tych najwyższych do całkiem małych, ginęły dokumenty, ustała normalna kontrola urzędowa i społeczna. Nik nie miał na to czasu, ludzie dyskutowali, co najczęściej zastępowało zwykłą, codzienną pracę.

Czy Jakuba Urarz rzeczywiście był krewnym zmarłej kobiety?

- Zaczynam się zastanawiać, czy on w ogół istniał kiedykolwiek - mruknął Szczęsny, kiedy po raz setny rozważali możliwości jego zabójstw.

Kręglewski potrząsnął głową.

- W każdym razie był - odparł. - To jest faktem. Widywał go dozorca domu, jeszcze kilka osób. Ktoś tam przecież żył w tym mieszkaniu spał na brudnym wyrku, gotował jedzenie, przede wszystkim ktoś założył te misterne, chytne zamki. No i czyjaś krew widzieliśmy. Tam w samochodzie. Właśnie! Czy ci mówiłem, i karta rejestracyjna zielonego fiata też jest fałszywa? Ale wóz garażował w podwórzu, w starej budzie i w tym samochodzie również widywano Urarza.

- Krew, jak wykapały analizy, jest ludzka grupa AB. Nie mamy materiału porównawczego bo nie mamy zwłok tego człowieka ani Jego mego. Płetwonurek i sieci, jak dotąd, nic nie wyłowiły z rzeki. Ale tam jest ostry prąd i mogły popłynąć daleko.

- Co mogło popłynąć?

- Zwłoki. Albo... - Szczęsny zastanawiał; chwilę, gryząc wargi. - Słuchaj, jeżeli przyjmujemy tezę naszego technika, że ślady butów w mieszkaniu są lipne, to w konsekwencji należałoby wyciągnąć wniosek, że Urarz upozorował własną śmierć. I gdzieś się ukrywa.

- Wciąż mówisz: Urarz. Trzeba by powiedzieć - osobnik NN; który używał tego nazwiska, nie wiemy o nim literalnie nic. Dobrze, przyjmuję twoją hipotezę o pozorowanej śmierci. W takim razie trzeba szukać w rzece, a może i w lesie, dwóch par męskiego obuwia Tych, którymi Urarz, na razie musimy go tak nazywać, wykonał fałszywe ślady w mieszkaniu. Cholernie sprytny facet! Jechał w życiu na samych fałszach. Nasuwa się podstawowe pytanie, po co to robił. Przecież każdej chwili mógł zostać nakryty, zdemaskowany, narażał się na więzienie. Musiał mieć jakiś niezwykle istotny powód, coś musiał robić w tym lokalu, jakieś sprawy załatwiać. Może to rzeczywiście paser, jak sugerowałeś.

- Gdyby sytuacja w mieście była inna, dowiedzielibyśmy się o nim wiele i bez trudu. Ale koledzy z Pragi mają coraz bardziej wiązane ręce. Dlatego, zresztą w całym kraju, jest taki gwałtowny spadek wykrywalności przestępstw. - Skrzywił się, machnął ręką. - Dobra, jedźmy dalej, trzeba swoje robić. Cos ustalili... - przerwał, bo na biurku zadzwonił telefon. - Szczęśny, słucham... Co takiego? Worek?... I buty? - Popatrzał na Kręglewskiego, Uśmiechnął się przelotnie - Trzy, nie dwie? Ciekawe... Poczekaj, zaraz tam będziemy. To znaczy, jak tylko zdążymy dojechać.

Cisnął słuchawkę, zerwał się z krzesła.

- Jedziemy nad rzekę! Wyłowił torbę czy worek z trzema parami butów i jakimiś łachami. Nawet niedaleko od miejsca, gdzie stał fiat.

Zbiegli na podwórze, Szczęśny zaparkował swojego malucha. Wyjechali z komendy, kierując się na północ. Po drodze kapitan próbował znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego trzy pary obuwia nie dwie. Wspólnie doszli do wniosku, że widocznie Uraz do tamtych butów dołączył własne Bowiem łachy, jak Szczęśnemu powiedział przez telefon porucznik, kierujący akcją, to było mocji zniszczone ubranie, skarpety, bielizna (podkoszulek i kalesony), stary kapelusz.

- Przebrał się, to jasne - rzeki major. - Mu siał więc mieć w samochodzie inne ubranie, buty bieliznę, sądzę, że również inny dowód osobista W ogóle, dokumenty... Wiesz, co myślę? - odwrócił się w stronę Kręglewskiego, a ten przestraszony chwycił kierownicę i maluch zakołysał się niebezpiecznie. - Nie bój się, nie siądzem na drzewie. Sądzę, że ten facet występuje teraz w zupełnie odmiennej postaci. Może być nawet eleganckim, dobrze ubranym mężczyzną, który ma gdzieś przyzwoite mieszkanie, inny wóz, a nawet” dobrą posadę.

Brzeg lasu wznosił się urwistym zboczem na szeroko rozlaną rzeką. Zajechali od strony wioski. Już z daleka widoczne były dwa samochody - radiowóz i ciężarówka, przy nich kręciło się kilka osób. Małuch Szczęsnego odważnie „przetarabanił” się przez kałużę, podskoczył parę razy w wybojach i zatrzymał się obok ciężarówki z dźwigiem.

- Worek z rzeczami zaklinował się w jakiejś dziurze na dnie - mówił porucznik, prowadząc ich do miejsca, gdzie rozłożona była zawartość wyłowionej torby. - Dlatego sieć nie mogła na niego natrafić. Dopiero pletwonurek. O, to jest właśnie to... - Pokazywał poszczególne części garderoby i obuwia. - Człowiek, który to nosił, był albo biedakiem albo brudasem, może jedno i drugie. Teraz już trochę przeszło, więc można ocenić gatunek i stopień zniszczenia, jest on bardzo znaczny.

- A buty? - spytał major, próbując na oko dopasować jedną z trzech par do właściciela ubrania..

- Buty też stare, dawno lub wcale nie naprawiane.

- Mógłbyś określić w przybliżeniu sylwetkę człowieka, który nosił te łachy?

Porucznik zastanawiał się chwilę.

- Wysoki, dobrze zbudowany. Zapisałem ci na kartce numery butów, wszystkich par, bo nie wiem, może facet nosił i trochę za duże, i w sam raz, z pewnością nie był to elegant!

- Może się mylisz - mruknął Szczęsny, ale tak cicho, że porucznik nie dosłyszał i ciągnął dalej:

- Koszulę podobno znaleźliście w samochodzie, więc rozmiary masz. Marynarka i spodnie - jedno od sasa, drugie od lasa, znaków firmowych ani pralniczych żadnych. Gatunek średni, elana, chyba odrobinę wełny.

Kapelusz, jak zdjęty ze stracha na wróble. Worek, właściwie torba, z plastyku krajowej produkcji. Dziurawy, więc odzież zamokła.

- Żadnych dokumentów, drobnych przedmiotów?

- Nic. Nawet śladu. Szukałem też plam krwi. Nie znalazłem, ale do tego potrzebne jest laboratorium kryminalistyczne Zabierzesz łachy?

- Do malucha nie zmieszczę. Przywieź do komendy, masz dużego fiata. I daj mi znać, jak siei zjawisz.

\*

W mieszkaniu Jakuba Uraza zebrano sporej odcisków linii papilarnych. Wiele należało do jednego osobnika, więc można było przyjąć, że dąf gospodarza lokalu. Prócz nich jednak technicy znaleźli ślady linii co najmniej trzech ludzi. Niektóre dość wyraźne, inne częściowo zatarte, staraj Ekspert, zapytany o płeć tych trzech, wzruszyli ramionami i pokazał Szczęsnemu odpowiedni fragment w „Kryminalistyce” profesora Brunona Hotysta, gdzie napisano, że takie oceny: „...są VH zasadzie bądź w ogóle niemożliwe do ustalenia bądź wymagają dodatkowych elementów”.

- To poszukaj, magistrze, tych elementów! - odparł Szczęsny zniecierpliwiony. - Przecież w mieszkaniu, gdzie chyba nigdy nie otwierana okna i nie sprzątało, są idealne warunki do zbadania podłoża, obcych substancji, farby na meblach, a nawet krwi. Deszcz ich nie zmył, a wiatr nie zdmuchnął. No, żartuję. Postaraj się, człowieku! Zależy mi.

Ekspert lubił majora, więc rzeczywiście postarał się, a że był dobrym fachowcem, określił trzech „śladotwórców” jako mężczyzn raczej młodych, o palcach delikatnych, skórze w widoczny sposób ochranianej, zwłaszcza u jednego osobnika.

- Złodzieje - skonstatował Kręglewski. - Poszukamy w kartach daktyloskopijnych.

- Złodzieje, albo muzycy - zauważył biegły. Takie palce mają pianiści, skrzypkowie... Natomiast u gitarzystów znajdujemy charakterystyczne zgrubienia na opuszkach.

- Widocznie do Urarza nie przychodził żaden gitarzysta.

- Mogę się mylić - ciągnął dalej ekspert, raczej do siebie - ale ton o najdelikatniejszych palcach jest rudy. Jak go znajdziecie, powiedzcie mi, czy miałem rację.

Niemal od razu natrafiono jednak na innego z trzech interesantów (może gości) Urarza. Człowiek ten miał bogatą przeszłość w kartotece. Dwudziestotrzyletni Waldemar Kozik, pseudo „Mandolina”, choć nie grywał na żadnym instrumencie, stawał przed kolegium i przed sądem czternaście razy za włamania, kradzieże i chuligańskie wybryki.

Kozik mieszkał na Marymoncie, był żonaty, dzieciaty, lał swoją ślubną raz w tygodniu, a jak się upił, to częściej. Ona nie pozostawała mu dłużna i kiedy dochodziło do rękoczynów, po izbie fruwały talerze, nogi od krzeseł, buty, co było pod ręką. Sąsiedzi, przyzwyczajeni do tego, przychodzili wtedy po dzieci i zabierali je do siebie na dzień lub dwa. Potem Kozikowie godzili się” odbierali potomstwo i na krótki czas był spokój. „Mandolina” teoretycznie pracował na różnych budowach, w praktyce kradł, wpierw gdzie i co się dało, potem nabrawszy wprawy wybierał okazje i upatrzone wcześniej ofiary.

Dzielnicowy poinformował Szczęsnego, że aktualnie Kozikowie są w stanie wojny, dzieci, u sąsiadów. Najlepiej podjechać radiowozem do kiosku i przejść kawałek, bo jak tych dwoją zwietrzy milicję, natychmiast



się pogodzą i zwiej ją. I trzeba to zrobić gdzieś nad ranem, jak się trochę zmęczą mordobiciem (dzielnicowy wyraził się delikatniej) i zdrzemną.

Tak też zrobiono. Kozikowa, nie na tyle jeszcze pijana, aby nie zrozumieć, że „biorą ślubnego”, podniosła straszliwy lament na przemian z bluzganiem. Milicjanci nie reagowali, wiedząc, że te i tak nic nie da. Ale kiedy wyprowadzano już „Mandolinę” z domu, kobieta nagle ucichła, co sobie w myśli prędko rozważyła i krzyknęła:

- Jak wrócisz, to ci fest dołożę, bo nie skończyłam!

Waldemar nie zwrócił uwagi na pogrózkę. Spity: posiniaczony przez żonę, zastanawiał się leniwie po co go zabierają i czy mu ktoś z kumpli świni nie podłożył. Przywieziony do komendy dzielnicowej trochę otrzeźwiał, próbował nawet, się stawiać, ale mu to nie wychodziło, nie czuł za sobą agresywnego tłumu, nikt go nie odbijał, nie wrywał z radiowozu, jak to kiedyś w rozmarzeniu opowiadał paserowi. W tym momencie przypomniało mu się, że słyszał o zniknięciu czy też nawet o śmierci Urarza. A może - przestraszył się - pasera wpierw capnęli i teraz sypie wszystkich dostawców?

Zanim zdążył to i owo przemyśleć, Szczęsny i Kręglewski wzięli go w obroty. Dowody, odciski palców z mieszkania Urarza leżały na biurku obok materiału porównawczego, czyli wziętych z kartoteki. „Mandolina” nie był aż tak głupi, żeby nie wyciągnąć podstawowego wniosku: paser sypie. W takim razie nie było sensu komplikować sobie życia.

- Chodziłem do niego. Raz czy dwa razy - burknął, wlepiając oczy gdzieś w sufit. - Nie wolno?

- Po co?

- Co: po co?

- Po co chodziłeś?
- Tak sobie. Z wizytą. Panu nic do tego.
- Grzeczniej, proszę!
- Nie umiem gadać z gli... z milicją.
- Przyzwyczajasz się. Coś przynosił Urazowi?
- Oj, wielkie rzeczy! Zegarek.
- Ile zegarków?... No, słucham?
- Może trzy, nie pamiętam.
- Ile pierścionków?
- A czy ja mogę wszystko pamiętać?
- Ile pierścionków?
- Chyba... sześć czy tak jakoś.
- Ile bransoletek?... Ile Uraz ci zapłacił?... Kto mu jeszcze nosił?

I tak szło przez kilka godzin. Potem Szczęsny miał już zupełnie jasny obraz sytuacji. Uraz był paserem na dużą skalę. Krył się na Pradze w brudnej melinie, kupował od złodziei biżuterię, walutę. Kim jednak był naprawdę? A przede wszystkim - gdzie jest?.

## **Rozdział 8**

W dowodzie Jakuba Uraza było zdjęcie, choć niezbyt wyraźne i podniszczone jak cały dowód. Eksperci z wydziału dokumentacji Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO zabrali się do niego z taką precyzją, jakby mieli do czynienia, powiedzmy, z brylantem Cullinan I lub Regentem (140,5 karatów). Nie ujawniając bliżej metod działania, gdyż każdy bardzo dobry fachowiec ma swoje sposoby i sekrety, wykonali z

fotografią kolejne delikatne próby, w rezultacie których Szczęsny otrzymał kilka różniących się od siebie podobizn właściciela dowodu.

Na jednej był on bez dużych okularów, zasłaniających mu prawie pół twarzy. Na innej, z wąsami, jak w dokumencie, lecz z bardziej widocznym zarysem czoła i policzków. Na trzeciej osobnik ów prezentował się bez wąsów i bez głębokich fałd skóry na twarzy, tak jakby eksperci przeprowadzili na nim upiększającą operację plastyczną.

I właśnie to trzecie zdjęcie, jak się później okazało, było kluczem do otwarcia tajemnicy Urarza. Szczęsny pokazał wszystkie trzy prokuratorowi Białeckiemu i poprosił o sprowadzenie z aresztu Jana Zawadowskiego.

- Niech się przyjrzy - powiedział. - Może tak wyglądał ten szantażysta?

- Spróbujemy - odparł Białeckie. Niedoszły samobójca wpierw bez zainteresowania spojrział na rozłożone fotografie, potem jednak drgnął i ożywił się. Wziął do ręki tę, na której paser był bez fałd i wąsów, lecz w okularach. Patrzył uważnie, odsunął rękę trochę dalej od oczu, potem znów przysunął, odwrócił zdjęcie, jakby spodziewając się, że na drugiej stronie znajdzie nazwisko Wreszcie popatrzał na prokuratora, na oficera i rzekł:

- To mógłby być on.

- Kogo pan ma na myśli? - spytał Białeckie. Nie chciał mu nic sugerować.

- Człowieka, który sprzedał mi fałszywy dowód. A potem szantażował mnie. - Spojrział jeszcze raz na zdjęcie. - Ten, o którym mówiłem, że z ruchów i sylwetki trochę przypomina właściciela baru,

Pasowskiego Ale ja go, broń Boże, nie podejrzewam! Chcę tylko wykazać podobieństwo postaci, która... której - zaplątał się i umilkł.

- Czy na pozostałych fotografiach też widzi pan to podobieństwo?

- Nie. Szantażysta nie nosił wąsów. I miał raczej gładką twarz.

- Chyba?

- Przecież wspominałem, że widywaliśmy się tylko przelotnie, w ciemności albo w półmroku.

- A głos? - spytał major. - Czy jego głos również przypominał panu właściciela baru?

Zawadowski wzruszył bezradnie ramionami.

- Ja z Pasowskim właściwie nie rozmawiałem. On bardzo rzadko przychodził do baru, który prowadzi jego żona. Jeżeli nawet przyszedł, to nigdy nie miałem okazji... tak, że nie mam skali porównawczej.

Szczęśny zabrał zdjęcia i pojechał do komendy. Zastanawiali się z Kręglewskim, co dalej robić, mieli właśnie zamiar rozesłać odbitki fotografii do wszystkich jednostek milicji, kiedy kapitan coś sobie przypomniał.

- Słuchaj, pamiętasz sprawę napadu na profesora Marusza?

- Tego, któremu skradli dolary i coś tam jeszcze? Napastnik w masce?

- Tak.

- Myślisz, że... - major popatrzał na zdjęcia - Ale co to ma wspólnego z paserstwem albo z szantażem?

- Nie wiem. Chcę podejść od innej stron Porozmawiam z profesorem o jego znajomych Zobaczymy, czy padnie to nazwisko.

- Urarz?

- Nie. Pasowski! Bo jeżeli tak, to trzeba będzie przyjrzeć się temu panu trochę dokładniej. Wiesz, jak to jest z wywiadem środowiskowym. Jeżeli człowiek nie urządza awantur, nie karano go, nie podpada sąsiadom, to nic więcej się o nim nie dowiesz. Szczęsny był jednak sceptyczny.

- Napadów, włamań i kradzieży w Warszawie od groma. Dlaczego chcesz się zająć akurat tym jednym? Nie widzę podstaw.

- Dobrze, przecież nie zajmie mi to więcej niż godzinę.

- Ale to będzie godzina wyrwana z roboty - upierał się major. - Powiedz od razu, że chcesz iść do domu czy na kawę.

- Nic podobnego - Kręglewski był już zły.

- No, to chcesz błysnąć genialną inicjatywą... Maigret dla ubogich.

- Słuchaj, zejdz ze mnie, bo mi duszno!

Szczęsny nagle roześmiał się i kapitan zadowolony pojechał do profesora. Wrócił co prawda po trzech godzinach, ale miał tak triumfującą minę, że major uprzedził jego relację stwierdzeniem:

- Marusz zna Pasowskiego.

- Jeszcze jak! - Kręglewski siadł przy biurku, wyciągnął papierosy. - Grają razem w brydża, od paru lat. Ale to nie wszystko. Profesor przypomniał sobie, że kiedy podczas jednego z takich brydżowych spotkań rozmawiano o jego nagrodzie, Pasowski był obecny tego wieczoru. Z całą pewnością. Marusz mówił w tym towarzystwie, iż odebrał już dolary. On oczywiście nikogo z piątki, bo grali w pięciu, nie posądza. Podał mi jednak nazwiska tych osób. Szczęsny przyglądał się koledze i uśmiechał. W końcu rzekł:

- Touche. Masz wszelkie zadatki na Maigreta.

- Co znaczy: touche?

- Pobież mnie. Jeden-zero dla ciebie. Nie wierzyłem, że ten napad może mieć cokolwiek wspólnego z naszą sprawą. Chociaż daleko nam jeszcze do tego, aby Pasowskiemu coś udowodnić.

\*

Waldemar Kozik sygnął „Operatora”. Zrobił to nie tyle z prostej zawiści: ja siedzę, to niech on nie łązi na wolności, ile z wyrachowania Rudy złodziej kręcił się bowiem swego czasu koło jego żony, a i ona nie była od tego. „Mandolina” zwyczajnie bał się, że tamten włada mu się do mieszkania i będzie użytkował wszystko, co w nim znajdzie, z Kozikową włącznie.

Dlatego sygnął. Ślady linii papilarnych w melinie Urarza - te, według oceny eksperta Zakładu Kryminalistyki, najdelikatniejsze i prawdopodobnie należące do osobnika rudej maści, były stosunkowo świeże, wyraźne. Stało się to dlatego, że „Operator” był ostatnim interesantem pasera przed jego zniknięciem. Nie figurowały one w kartotece daktyloskopijnej, co było istotnym powodem dumy rudzielca.

Zaskoczony o bladym świetle we własnym mieszkaniu „Operator” zdziwił się niepomiarowo i bez awantur dał się wyprowadzić na ulicę. W komendzie przyjrzał się majorowi Szczęsnemu” uważnym okiem, podumał nad swoim losem i postanowił mówić prawdę. Ścisłej: tyle prawdy, ile się da, aby nie zepsuć u władzy opinii.

- Nazwisko?

- Dariusz Torowski.

- Pseudonim?

- Nie mam żadnego pseudonimu - odparł grzecznie.

- Czym się pan zajmuje?

- Hodowlą kanarków.

Szczęśny popatrzył na mówiącego, pokiwał głową.

- I gdzie pan te kanarki hoduje?

- Aktualnie mam tylko jednego, bo tamte posprzedawałem. Ten jest w mieszkaniu. Właśnie miałem zamiar dokupić mu samiczkę.

- Zna pan Jakuba Urarza?

- Owszem. Kupił ode mnie parę. Zaniósł mu... chyba gdzieś ze dwa tygodnie temu.”

- Urarz też się zajmuje kanarkami?

- Nie, proszę pana. To jest inwalida na rencie. Zresztą mało go znam.

„Operator” siedział spokojnie, twarz miał skupioną, ręce grzecznie złożone na kolanach. Rudzielec nie wiedział, dlaczego przywieziono go do komendy. Usłyszawszy nazwisko Urarza, zląkł się, że pasera na czymś przyłapano. Był jednak pewien, że milicja w żadnym wypadku nie odnajdzie schowka, w której on, słynny „Operator”, trzyma aktualnie zrabowane dobro. Nie wiedział natomiast, że kryjówka ta była znana Kozikowi.”Mandolina” podpatrzył go kiedyś, a umiał to robić ze znawstwem.

Szczęśny ciągnął więc teraz powolutku dialog o kanarkach, gdyż czekał na rezultat przeszukania. Wreszcie do pokoju wszedł Kręglewski i jeszcze jeden oficer z Pragi. Kapitan porozumiał się wzrokiem ze Szczęśnym, a potem położył na biurku teczkę z brązowego skaju. „Operator” spojrział, poczerwieniał i zakreślił się desperacko na krześle.

- Mówiliśmy o kanarkach - rzekł major - ale mamy do pomówienia o czymś ważniejszym. Więc tak. Dariusz Torowski, pseudonim „Operator”. Udział we wspólnym włamaniu z Nowakiem i Kuleckim do sklepu

jubilerskiego na Marszałkowskiej. Zobaczymy, co jest w teczce.

- To nie moja teczka! - zastrzegł się rudy.

- Czyżby? Mieszka pan samotnie, prawda? Teczka była umieszczona w schowku pod podłogą, jest tam taki specjalnie zrobiony otwór - mówił Kręglewski. Całość pięknie zamaskowana dywanikiem. Przyznaję, że można długo szukać i nie natrafić. Ale jak ktoś mieszka na parterze, czasami obce oczy dojrzą to i owo.

Szczesny wysypał na biurko kilka złotych bransoletek, pierścionków, dwa zegarki doskonałej zagranicznej firmy i piękny kosztowny naszyjnik z brylancikami.

- Otrzymałem to w spadku po babce - powiedział „Operator”.

- Czyżby? Podobno teczka nie pańska?

- Moja. Schowałem kosztowności, żeby złodzieje się nie dobrali.

Babka była z domu Lubomirska.

Kręglewski zakrztusił się, odkaszlnął i wyszedł na chwilę z pokoju. Major zmrużył tylko swoje wąskie czarne oczy i rzekł:

- Gratuluję paranteli. Nawiasem mówiąc, babka ze Strony ojca nazywała się - spojrzał w notatki - Gruszecka, a ze strony matki Baranowska. Ale mniejsza o to.

Wrócił kapitan, a z nim biegły jubiler, starszy siwowłosy pan o wyglądzie dystygowanym, spojrzeniu bystrym i drobnych brakach w uzębieniu, wskutek czego trochę seplenił. Usiadł z boku, sięgnął po lupe, obejrzał dokładnie biżuterię, po czym oznajmił:

- Naszyjnik z nasych sklepów, konkretnie z Marszałkowskiej i Nowego Świata, cena sto dwadzieścia seć tysięcy złotych, wyrób ubiegłoroczny. Skradziony w lipcu tego roku, o czym informowaliśmy milicję. Te dwie



bransoletki, również nase, wyrób sprzed dwóch lat. Skradzione pod koniec zeszłego roku. Ta bransoletka, to produkcja prywatna, srebro z półślachetnymi kamieniami, warsztat złotnicy na Woli, mogę podać adres. Na tego prywatniaka dokonano niedawno napadu, skradziono mu wówczas obcą walutę, biżuterię... zdaje się, że dwie stabki złota.

- Zgłaszał?

Dystyngowany pan przymrużył jedno oko.

- Wątpię. Handluje pokątnie. Pierścionki, które tu widzę, pochodzą z naszych zakładów produkcyjnych i nie były jeszcze w obrocie sklepowym. Wyrób, jak sądzę, sprzed miesiąca. Jeżeli się orientuję, ceny ich będą kształtować się od sześćdziesięciu tysięcy wzwyż.

- Dziękujemy panu. - Szczęsny uściśnął mu rękę. Ekspert uśmiechnął się przelotnie, rzucił okiem na rudzielca, powiedział: Do zobaczenia! - wyszedł.

- No więc? - major zwrócił się do „Operatora”, który siedział ze zwieszoną głową. - Jak to było z biżuterią księżnej babki?

- Macie Urarza? - złodziej chciał się upewnić.

- Zadałem panu pytanie - upomniał go Szczęsny. - Ile towaru zaniósł mu pan, w sumie?

Do wieczora „Operator” trzymał się twardo. Wprawdzie chętnie zjadł bułkę z kielbasą i wypił herbatę, ale wciąż odmawiał odpowiedzi na najważniejsze kwestie. Cztery minuty po godzinie osiemnastej załamał się. Przyznał się do napadu na prywatnego jubilera z Woli, dodając, iż informację i adres otrzymał od Urarza. Powiedział przy tym coś, co mocno zastanowiło obu oficerów.

- On wiedział, że ten prywatniacz kupił od kogoś dwie złote

dwudziestodolarówki, carskiego rubla i złoty dukat. No, to ja tam poszedłem. Wziąłem to... i jeszcze, takie tam różne. Obrączki, sygnet. No i tę srebrną bransoletkę.

- Gdzie są złote monety?

- Ja mu sprzedałem. Znaczy, Urzartrowi Obrączek nie chciał, on takich rzeczy nie bierze.

- Skąd Urarz wiedział o transakcji jubilera? „Operator” wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może znał tę kobietę? Nie zwierzał mi się.

\*

Jubiler z Woli najpierw do niczego się nie przyznawał. Odżegnał się stanowczo od wszelkiego nielegalnego handlu walutą i złotem. Owszem, robi bransoletki ze srebra, ma na to zezwolenie, ale co do walut - nigdy w świecie!

Wtedy major wprowadził do pokoju rudzielca. Jubiler spojrzał na niego, zmarszczył brwi, ale że wówczas twarzy nie widział, gdyż złodziej miał na niej naciągniętą pończochę, więc obojętnie odwrócił wzrok.

- Poznaje pan? - spytał major.

Ponieważ pytanie padło w przestrzeń, obaj popatrzyli na siebie i „Operator” rzekł, uśmiechając się drwiąco:

- On to nosił pod koszulą, w woreczku.

- Ja... jak to?! - jubiler zerwał się z krzesła. - To ten... to on? Panie, on chciał mnie zabić! On mi nóż przyłożył do szyi i pokaleczył! O, tutaj - rozpiął kołnierzyk koszuli, pokazał bliznę. Był wzburzony, twarz mu poczerwieniała. - Ty złodzieju, oddaj coś mi ukradł.

- Spokojnie - powiedział Kręglewski. - Niech pan siada. Więc co

panu ukradł?

Kiedy konfrontacja została zakończona i rudzielca wyprowadzono z pokoju, Szczęsny powiedział do wciąż rozgniewanego jubilera:

- Poniósł pan straty materialne Skaleczono pana. Współczuję. Proszę nam powiedzieć, kto panu sprzedał złote monety. Chodzi mi o kobietę, która wówczas do zakładu przyszła.

Jubiler zrobił obrażoną minę i odparł z godnością:

- Ta ko... ta pani, to moja bliska znajoma i nie chcę jej w to mieszać. Niczemu nie jest winna. Kupiłem od niej monety, bo pilnie potrzebowała pieniędzy, i to większej sumy. To była transakcja wyjątkowa. Po prostu, prywatna.

- Obiecuję, tą pani nie poniesie konsekwencji. I przypominam, że handel złotem jest zakazany. No więc?

W tym momencie jubilerowi stanął przed oczami jak żywy mężczyzna, który z Moniką przyszedł do jego warsztatu, przystojny, wysoki, elegancki. - Nowe sitko na kołku - pomyślał zazdrośnie. Znow wzburzyła się w nim krew.

- To jest pani Kropińska - odparł niechętnie. - Przyszła później po raz drugi z takim jednym... swoim znajomym. Chcieli, żebym dopłacił, chociaż dałem jej bardzo dobrą cenę.

- Tych dwoje przyszło do pana już po napadzie?

- Nie, przed!

- Jak wyglądał towarzysz pani Kropińskiej? To był jej mąż?

- Gdzie tam! Dyrektor Kropiński, to poważny człowiek. Ten, to był taki elegancki przystojniaczek. W ciemnych okularach. Nie przedstawił mi się.

Trzecie z zebranych w mieszkaniu Urarza linii papilarnych zostały rozszyfrowane najpóźniej, dopiero na początku października. Wtedy to w jednym z pokoi w - Komendzie Stołecznej Szczęsny zobaczył przypadkowo młodego człowieka, zatrzymanego w trakcie ulicznej awantury. Miał niespełna dwadzieścia lat, rozbiegane oczy histeryka i świeży tatuaż na ręce.

- Popatrz - powiedział do majora kolega, przesłuchujący chłopaka. I pokazał napis tatuażu. Było tam wyklute: „Faszystowska Elita Szerzenia Terroryzmu”\*. - W kieszeni - dodał oficer miał opaskę ze swastyką.

\* Autentyczne.

Szczęsny zagryzł wargi. Nie znalazł słów. Bał się, że jeżeli zaraz nie wyjdzie, to wybuchnie... Tak mocno, tak straszliwie boleśnie odczuł to, co zobaczył. Mruknął tylko do kolegi:

- Daj mi potem jego odciski palców... - I wyszedł. Trzasnął przy tym drzwiami, aż obłuzowana klamka wyleciała na podłogę. Trochę mu ulżyło.

Linie papilarne tatuowanego wyrostka zgodziły się z tymi u pasera. Ale major zrozumiał, że nie potrafi go przesłuchać. Nie mógłby się zdobyć na zimny rozsądek i obiektywizm. Zrobił więc to. Kręglewski. Okazało się, że członek „faszystowskiej elity” jest drobnym włamywaczem, raczej pośredniczącym między złodziejami i paserami.

Urarza odwiedził ze dwa, może trzy razy i właściwie nic o nim nie potrafił powiedzieć. Próbował natomiast zainteresować kapitana ideologią terroryzmu, lecz Kręglewski uciał tę rozmowę i odprowadził „terrorystę” do pokoju Służby Bezpieczeństwa.

- Powiedz, co tym szczeniakom do łbów uderzyło? - mówił potem do Szczęsnego, zły i rozdrażniony. - Przecież to są Polacy!

- Cynk dostają z Zachodu. Przysyłają im broszury, ulotki, paczki... Są i tacy w kraju, co za dolary, wódkę, papierosy sprzedaliby się każdemu obcemu rządowi. W tym wszystkim jest ogromna wina nas, społeczeństwa. Nie potrafiliśmy tych młodych, przynajmniej części z nich, wychować na patriotów. No i taki rezultat. Ale w tej chwili nic nie poradzimy, mój kochany i bierzmy się z powrotem do sprawy Jakuba Urarza. Nie wiem, czy jest sens rozmawiać z Moniką Kropińską.

- A czemu w ogóle mielibyśmy z nią rozmać wiać? Rozumiem, chodzi ci po głowie facet w; ciemnych okularach, z którym przyszła do jubilera. Człowieku, latem co drugi łązi w takich patrzalkach. Oddalimy się od właściwego wątku. Obserwacja Pasowskiego, jak dotąd, nic nie dała;; Nie przyszło ci na myśl, że Zawadowski umyślnie nam go podstawia?

- Możliwe. Tylko, że ja tego - jak to nazwałeś - właściwego wątku wcale nie widzę! Typowe szukaj wiatru w polu.

Inżynier Wiśniewski bez trudu rozpoznał kierowcę, któremu wymienił opony, na zdjęciu w okularach i bez wąsów, podobnie jak Zawadowski. Jubiler z Woli nie był pewien, ale raczej skłaniał się do innej fotografii. Nie zapamiętał twarzy „przystojniaczka”, bo nie chciał pamiętać. Zdawało mu się jednak, że miał wąsy.

Trzej złodzieje natychmiast wskazali na zdjęcie z grubymi fałdami twarzy, z wąsami i w lekko przyciemnionych okularach. „Operator” dodał poza tym, że Urarz ma jakiś nerwowy tik, który chwilami podnosi mu górną wargę jak u psa. Zdarzało się też, że golił wąsy. Wszyscy byli zgodni jednak w jednym: wysoki, trochę się garbi.

- Pasowski chodzi wyprostowany, wąsów nie ma, nerwowego tiku

też nie - westchnął major. - Chyba weszliśmy na mylny tor. - Zamyślił się, potem dodał jakby do siebie: - A jednak, trzeba będzie...

\*

W barze u Danuty Paşowskiej można było zjeść stosunkowo niedrogo i smacznie. Szczęsny przekonał się o tym, jedząc przez sześć dni pod rząd obiady i popijając bardzo dobrze zaparzoną kawę. Przyglądał się dyskretnie gościom, zagadał kilka razy do kelnerek, pochwalił kuchnię, uśmiechał się do pani Danuty - jednym słowem, był od pierwszych dni mile widziany i zaczęto go traktować jak stałego klienta.

Siódmego dnia wczesnym popołudniem do baru wszedł mężczyzna wysoki, przystojny, o opalonej twarzy i falujących, gęstych włosach. Szczęsny drgnął, skupił uwagę. Nietrudno bowiem było domyślić się, że jest to Kazimierz Paşowski. Nie miał ciemnych okularów ani wąsów.

Czy przypominał Jakuba Urarza? A zwłaszcza to zdjęcie, które ekspert „oczyścił” z fałdów skóry i wąsów? Major musiał sobie odpowiedzieć, że tak, chociaż fotografia w dowodzie była blada i niewyraźna. Przypominał, ale to znaczyło bardzo niewiele. Gdyby tych dwóch postawić obok siebie - a wtedy natychmiast dałyby się zauważyć podobieństwa i różnice. Czy to w ogóle jest możliwe - pytał sam siebie - żeby taki człowiek, jak Paşowski, przybierał od czasu do czasu powstać pasera z praskiej meliny? Czy podobna, aby elegancki mężczyzna nocował na tym brudnym wyrku, mieszkał wśród łachów i szmat, a przede wszystkim, w jaki sposób zdobył sobie tak mocne zaufanie u marginesu społecznego, który znosił mu drogocenne przedmioty do sprzedaży? Jakaś droga, jakim cudem zdołałby wkraść się w to środowisko, zawsze bardzo nieufne, ostrożne, poznające obcego na miłę...

A może - przyszło mu do głowy, gdy sączył; powoli kawę - Pasowski pochodzi z tego środowiska. Wybił się, coś tam ukończył, oszedł na pewien czas, ale zostawił znajomych, dobrych kumpli. Żył daleko od nich. Ożenił się z kobietą kulturalną, wyrobioną towarzysko. Ciągnęło jednak wilka do lasu. I wrócił. Nie na stałe. Powracał tylko czasami, dla załatwiania zyskownych interesów.

Czy dałoby się spenetrować cały warszawski świat żulików, paserów, złodziei i innych łamaczy prawa, aby natrafić na ślad Pasowskiego? Siad jego dzieciństwa, młodości, powiązań? „Urzędowo” miał zapisany powrót po wojnie z zagranicy w czterdziestym szóstym czy siódmym. Kto tam wtedy sprawdzał dokładnie, jak było naprawdę. Z papierów wynikało, że urodził się we Wiedniu na trzy lata przed wybuchem wojny. A więc miałby teraz czterdzieści pięć lat. Wygląda na mniej. Do Polski wrócił z matką, która zmarła wkrótce, a dzieckiem zajęli się jacyś krewni. Mieszkał z nimi w Gdańsku.

W Gdańsku... Nagle Szczęsnemu przypomniała się sprawa fałszywego dyplomu politechniki, który Jan Zawadowski kupił od nieznanego człowieka właśnie w tym mieście. A potem szantaż. Mężczyzna wysoki, w ciemnych okularach. Do inżyniera Wiśniewskiego przyjeżdża w nocy też osobnik wysoki, w ciemnych okularach, żądając zmiany opon.

Jak skłonić Pasowskiego, żeby włożył takie okulary? Jak namówić go, żeby przykleił wąsy, plasteliną czy czymś tam zmienił gładką twarz w pofałdowaną, włożył zniszczone ubranie pasera? I poprosić, aby pokazał się „Operatorowi” lub tamtym... Nonsens.

Gdzieś musiał schować biżuterię, walutę, złoto. Prokurator nie da

nakazu przeszukania, nie znajdzie podstaw. W melinie na Pradze nie było nawet śladu po skupie, paserstwie i drogocennym mieniu. To jasne, że nie trzymał go tam, gdzie mimo precyzyjnych zamków mogli dostać się włamywacze.

- Jeszcze jedną kawę, jeżeli można - poprosił czarnowłosą panią za ladą.

Uśmiechnęła się przelotnie, samymi wargami, oczy jej niespokojnie śledziły postać męża, który przysiadł się do jednego ze stolików i wesoło rozmawiał z gośćmi. Szczęsny odebrał kawę, wyręczając zabiegane kelnerki, bo ruch o tej porze był duży. Wrócił do swego stolika. Boi się jego czy o niego? - myślał, patrząc na ładną twarz Pasowskiej. Gdyby porozmawiać z nią, nie tutaj, gdzieś w innej kawiarni albo na spacerze... Poroniony pomysł, jest zajęta od rana do wieczora i śmiertelnie zakochana w mężu.

Ach, do diabła. Czy Pasowski to Urazz?!

\*

„Operator” chciał się zasłużyć. Opowiadał więc różne szczegóły, dotyczące kontaktów z paserem na Pradze, bacząc pilnie, aby wszystkie one nie uwłaczały jego własnej osobie. - Milicja - myślał - lubi wiedzieć o najmniejszych duperelach, potem z tego wyciąga nieoczekiwane wnioski. Mnie to ganc-pomada, mogę truć przez cały miesiąc.

- Jeżeli chodzi o te... no, odciski palców - powiedział nieoczekiwanie któregoś dnia do Szczęsnego - to Urazzowych pan tam nie znajdzie.

- Dlaczego? - zdziwił się major. Był przekonany, że liczne ślady linii papilarnych, rozsiały po całym mieszkaniu, bezspornie należą do pasera.

- On miał na rękach egzemę czy coś takiego. I dlatego stale nosił



cieniutkie rękawiczki. Pewnie też z tej przyczyny nikomu nie podawał ręki.

- Przecież nie mył się w rękawiczkach - zauważył Szczęsny.

„Operator” wzruszył ramionami i bąknął coś, co należało zrozumieć jako wodowstręt, albo niechęć do kontaktów z mydłem. Istotnie, w melinie panował nieopisany brud. Z informacji rudzielca wynikało więc, że ktoś nieznany, czwarty z kolei, pozostawił w mieszkaniu Urarza swoje ślady i, że znalazł się tam już po zainscenizowaniu przez pasera rzekomego napadu. W kartotece daktyloskopijnej linie te nie były rejestrowane.

Sierżant dzielnicowy, który urodził się i wychował na Pradze, znalazł właściwe słowa, aby stara handlarka wódką odpowiedziała mu na kilka pytań. A mianowicie: czy widziała kogoś tamtej nocy lub następnego dnia o świcie, jeżeli widziała, to kim on był i tym podobne. Baba pomyślała przytomnie, że pasera zabito, więc nie wróci, a sierżant cieszy się dobrym zdrowiem i ona może mieć z nim jeszcze nie raz do czynienia „względem alkoholowego interesu”.

- Owszem, panie władzo - odparła szeptem, aby nikt ze znajomych nie słyszał jej wynurzeń. - Był tu rano taki Maniek spod szesnastego na parterze, co robi przy straganach z owocami, koło bazaru. Jakraz szłam do sklepu po chleb, a on leciał z góry. I pyta się mnie, czy nie wiem, co się stało u pana Urarza, bo ma drzwi otwarte. Ho, to mu mówię: jak otwarte, Maniuś, to zobacz, bo ja nic nie wiem. Nó, to znowu poleciał na: górę.

- Długo tam był?

Zastanowiła się chwilę, podłubała w nosie.

- Jak wracałam z chlebem, to wychodził już z bramy.

- A długo pani stała w kolejce?

- Chyba ze dwadzieścia minut albo ciut więcej!

- Wynosił co z mieszkania?

- Nie wiem. W każdym razie, nic dużego w rękach nie miał. Panie dzielnicowy - chwyciła go za rękaw munduru, popatrzała miłosiernie w oczy - ja panu wszystko powiedziałam, caluśką prawdę, to pan już niech ma jaki wzgląd na mnie... że tam sobie czasem trochę pohandluję, dorobić trzeba do renty... co? Jak będzie, panie władzo?

- Powinno być dobrze - odparł sierżant dyplomatycznie. Miał na myśli ogólną sytuację polityczno-społeczną, gdyż całe życie był optymistą;

Maniek, ów mały urka, co przez balkony na wysokich piętrach wlaził jak kot do mieszkań, mi zapierał się, że był w melinie pasera. Handlarki wódką nie oszczędzi go - w lot to pojął - będzie chciała trochę oczyścić swoje konto zabagnione spekulacją. Owszem, powiedział, zaszedł rano do pana Jakuba, który obiecał mu pracę w warsztacie u swoich znajomych. Uchylił drzwi zobaczył straszny bałagan, wpierw myślał że Urarz się przeprowadza, ale potem dostrzegł krew, zrobiło mu się niedobrze, więc usiadł z boku, na przewróconym krześle. Potem czekał, że może Urarz przyjdzie, może ktoś go pobił, więc poszedł do lekarza, i wróci.

- Chłopie, twoje odciski palców są na wszystkich meblach - powiedział sierżant. - Czegoś tam szukał?

- No, przecież jego! Pana Urarza.

- Nawet po szufladach go szukałeś, po garach. Zalewasz bracie i to zdrowo! Przyznaj się, co zabrałeś z jego mieszkania?

Maniek walnął się pięścią w klatkę piersiową, aż zadudniło.

- Żebym tak jutra nie doczekał, ani złamanego gronia mu nie

wziąłem! Ktoś go musiał fest opę... - urwał, poczerwieniał.

Sierżant pokiwał głową z politowaniem.

- Ktoś go opędzłował przed tobą, ty już nic nie znalazłeś i dlatego teraz jesteś bohater.

Nie było podstaw, aby dłużej maglować małego urki. Jeżeli nawet cokolwiek znalazł w mieszkaniu pasera, przedmiot ten już dawno wywędrował daleko.

Szczesny poinformował swego szefa o tym, czego się dowiedział od sierżanta i dodał:

- Widzisz, teraz gdybym nawet dostał odciski palców Pasowskiego, to na nic się nie przydadzą. Nie ma z czym porównać. W zielonym fiacie nie było w ogóle żadnych linii papilarnych, więc i tam Uraz przebywał, mając założone rękawiczki. Nie wierzę w egzeme. Wierzę w przemianę pasera... a raczej w jego powrót do właściwej osobowości. Zniknął mister Hyde, pozostał tylko doktor Jekyll. Ale jak go znaleźć?

\*

-...i to też jest wynikiem obecnej sytuacji. Niestety, doszło już do tego, że przestępcy coraz częściej pozostają bezkarni, bo nasze działania zderzają się po prostu z gwałtownym sprzeciwem zupełnie przypadkowych osób. Sprzeciwem, a nawet wrogością.

Pułkownik umilkł, sięgnął po papierosa i odłożył go, w gardle czuł suchość. - Za dużo palę - pomyślał i znowu zapalił. Popatrzał po sali, po twarzach swoich towarzyszy służby i walki.

- Kilka miesięcy temu - ciągnął dalej - i konkretnie w lipcu, mówiłem wam o sytuacji jaka zaistniała w pierwszym półroczu. Liczby i procenty wzrostu przestępstw, niemal wszystkich, które podałem, były

przerazające. Dzisiaj w połowie listopada, nie powiem wam nic pocieszającego. Wprost przeciwnie. Eskalacja napadów włamań, gwałtów, kradzieży, a także działań wymierzonych przeciwko organom ścigania, budzą grozę. Notujemy dziś w kraju około cztery i pół miliona alkoholików, a dodam, że połowa z nich nie trzeźwieje przez całą dobę... Ponad sto tysięcy ludzi żyje z popełnionych przestępstw. Tysiąc, dzieci, mówię o nieletnich, to osobnicy zdemoralizowani. W ostatnim czasie zanotowaliśmy około pięć tysięcy ludzi, którzy uciekli z więzień i zakładów poprawczych, są to w ogromnej większości osoby młode. Przypomnę tutaj zajścia w Otwocku, w Katowicach, w Radgoszczy i tym podobne. Trzeba już dzisiaj mówić o moralnym kryzysie młodzieży. Z tego powodu dochodzi do demonstracji przeciwko władzy, przeciwko każdemu autorytetowi w ogóle... Młodzi łączą się w grupy przestępcze, nawet o tendencjach terrorystycznych. Wreszcie, bo doszło już i do tego, niektórzy z nich tworzą bojówki jawnie faszystowskie z emblematami hitlerowskimi, że wspomnę tu tak zwaną „Faszystowską Elitę Szerzenia Terroryzmu”, wykrytą przez Służbę Bezpieczeństwa w Grudziądzu.

Umilkł. Sala również milczała. Wiedzieli o tym, co mówił, znali z doświadczeń własnej służby, a przecież skoncentrowanie faktów dało obraz przerażający. Pamiętali słowa Generała-Premiera w Sejmie, iż: „historia wybija godzinę ciężkiej próby”.

Wieczorem, po zakończonej odprawie, Szczęsny z kapitanem Połońskim wyszli na ulicę i przystanęli na chwilę przed gmachem komendy. Chwytał lekki mróz po słonecznym, pogodnym dniu.

- Pojedźmy do mnie - zaproponował major. - Zdobyłem kawę i kartkową kiełbasę. Pogadamy Ciężko mi na sercu, nie chcę być sam.

- Dobra - Bohdan też nie chciał od razu wracać do domu. - Od ciebie zadzwonię do Kasi, powiem, że przyjdę trochę później.

- Przecież jeszcze nie noc? - zdziwił się Szczęsny, kiedy wsiedli do jego malucha.

- Tak, ale... widzisz, ona się teraz bardzo nie pokoi o mnie. Zna sytuację.

W mieszkaniu było chłodno, elektrociepłowni, słabo grzała. Strajkowało kilkadziesiąt kopalń często wyłączano światło.

- Zaparzę kawę, a ty pokrój chleb - powiedział major. - Albo nie, bo kuchnia za mała na dwóch. Idź, poczytaj sobie, włącz telewizor.

- Nie włączę. Mamy rozmawiać, a ja nie lubię jak mi coś, czy: ktoś, szemrze za plecami i przeszkadza, Kiedy po dziesięciu minutach Szczęsny wszedł do pokoju, niosąc kawę i kanapki, Połoński był tak pochłonięty jakąś książką, że nawet nie zwrócił na niego uwagi. Dopiero, gdy aromatyczny zapach dotarł do jego nozdrzy, ocknął się i pociągnął nosem z zadowoleniem.

- Nie piłem kawy od tygodnia - mruknął. - Trudno dostać. A na kawiarnię nie mam czasu. Słuchaj, znalazłem coś fantastycznego! - machnął ręką, w której trzymał książkę. - Posłuchaj.

- Jak zjemy. Jestem wściekle głodny.

Zjedli, wypili, major odniósł naczynia do kuchni po czym powiedział:

- No, co tam odkryłeś w „Panu Wołodyjowskim”? Bo widzę, że trzymasz pierwszy tom.

- Właśnie. Więc słuchaj.

„...przychodziło mi nieraz do głowy, że ta Rzeczpospolita zginąć

musi. Zbyt tu swawolą nieładem panuje, zbyt dobro publiczne prywatnym sprawom ustępować zwykło... Tego nigdzie nie ma w takim stopniu... Ludzi nie masz - myślałem, sobie - ludzi nie masz prawdziwie tę ojczyznę miłujących. I tak mi było, jakoby mi kto nóż w pierś wbijał. Aż raz pewnego... gdy w dwa tysiące posłał do ataku na dwadzieścia tysięcy ordy, a wyście na oczywistą śmierć, na pewne jatki lecieli z takim okrzykiem i ochotą, jakoby na wesele, przyszło mi nagle na myśl: A owi moi żołnierze? I Bóg w jednej chwili zdjął kamień z serca, i w oczach stało mi się jasno. Ci - rzekłem - z czystej miłości dla matki tam giną; ci nie pójdą do związków ani do zdrajców; z nich utworzę święte bractwo, z nich utworzę szkołę, w której młode pokolenia uczyć się będą. Ich przykład, ich kompania podziała; przez nich ten naród nieszczęsny się odrodzi, prywaty próżni, swawoli niepomny, i stanie jako lew okrutną moc w członkach czujący, i świat zadziwi. Takie to bractwo z moich żołnierzy uczynię!”.

Połoński zamilkł, popatrzał wymownie na Szczęsnego.

- To hetman Sobieski - mruknął major. - Tak mówił do Wołodyjowskiego.

Długo milczeli. Wydawało się, że słowa wielkiego pisarza drżą ciągle jeszcze w powietrzu, jak gdyby czas się na chwilę zatrzymał. Jakby historia - tak przecież daleka - przepowiedziała coś, na co obaj oficerowie, może podświadomie, czekali. Teraz. Właśnie teraz.

W końcu Szczęsny, zapatrzony gdzieś w przestrzeń swymi wąskimi, czarnymi oczami, rzekł wolno:

- Jeżeli naprawdę tak... to wspólnie... myślę, że tylko razem, wszystkimi siłami. Wtedy Rzeczpospolita nie zginie. Nie może.

- Ale kiedy? - rzucił Połowski porywczo.

- Kiedy?! Jak długo można przyglądać się, a tymczasem kraj ginie?  
Szczęsny gniewnie ściągnął brwi.

- On się nie przygląda - odparł szorstko.

- On pracuje po osiemnaście godzin, świątek-piątek, bez wytchnienia. Jeszcze próbuje, przecież na Sejmie zaproponował powołanie Rady Porozumienia Narodowego. Jeszcze czeka. Myślę, zewie, co robi.. Zresztą... sądzisz, że to łatwo podjąć taką decyzję? Jaka straszliwa odpowiedzialność!! Przed historią. Przed całym narodem, a nawet: światem. Żeby to wszystko rozumieć i właściwiej oceniać, żeby zdecydować, na to trzeba być właśnie takim, jak mówił Sobieski: „prawdziwie tę ojczyznę miłującym”.

Tak rozmawiali, czując, że są w przededniu; jakichś ogromnych wydarzeń, których jeszcze nie potrafili do końca myślą ogarnąć, czuli ich nieuchronność. A tymczasem dokoła, w miastach i wsiach, szalała anarchia, strajki, bunty, zbrodnie i strach. Groza ogarnęła kraj.

## **Rozdział 9**

James Fishley, tęgi ciemnowłosy Anglik gładko wygolony, o ostrym spojrzeniu piwnych oczu, kompletnie pozbawiony poczucia humoru, otworzył drzwi pokoju hotelowego, który od dwóch dni zajmował w Warszawie i szorstkim gestem ręki zaprosił gościa do wnętrza. Potem wszedł za nim.

Pasowski zrzucił płaszcz, powiesił w przedpokoju, przez chwilę z upodobaniem przyglądał się swemu odbiciu w lustrze, przyglądził włosy i

z dużą czarną torbą w ręku zajął wskazany mu fotel. Rozmawiali po angielsku, znał ten język na tyle dobrze, aby nie popełniać rażących błędów. W interesach, było to niewskazane.

Fishley podsunął papierosy, upewnił się, czy drzwi są zamknięte, rozejrzał po pokoju, jakby szukał w nim czegoś podejrzanego, co należy natychmiast unieszkodliwić. Wreszcie siadł przy stole i utkwiał w swym gościu wyczekujące spojrzenie. Pasowski po kolei wyjmował z torby i kładł na stole najpiękniejsze okazy biżuterii, przywiezione w tym celu z kryjówki na Uroczysku. Wziął tylko rzeczy bardzo drogie, wiedział bowiem, że Fishley ma przy sobie dużą gotówkę. Orientował się też, że Anglik bez większego trudu wywiezie klejnoty z Polski, dysponując dyplomatycznym paszportem.

- To wszystko? - spytał cudzoziemiec, kiedy Pasowski zaciągnął na torbie błyskawiczny zamek. Uśmiechnął się więc i potrząsnął nią, pokazując, że pusta. Fishley nie odwzajemnił uśmiechu. Zasznurował wąskie wargi, wyjął lupę i dokładnie oglądał każdą sztukę oddzielnie. Kazimierzowi Pasowskiemu przyszło na myśl, że on też tak robił, kiedy „Operator” czy inny włamywacz przynosili mu łup, zrabowany, w sklepie lub mieszkaniu.

Anglik nie śpieszył się. Rzecz szła o wielkie sumy, biżuteria była naprawdę piękna, ale dolary też są piękne, można za nie kupić mnóstwo przedmiotów, i nie tylko. Fishley nie pytał, skąd pochodzą te wszystkie pierścionki, naszyjniki, bransoletki i kolie. Nie interesowało go to. Mógł przyjąć w dobrej wierze, że Pasowski przyniósł mu swoje złote i brylantowe dziedzictwo po antenatach.

Najbardziej spodobał mu się stary pierścionek z dwoma



brylancikami i piękną perłą w środku; docenił robotę włoskiego artysty-złotnika, chyba z końca ubiegłego wieku. Nie dał jednak poznać po sobie, że to czy tamto zyskało jego wysokie uznanie, na to był zbyt doświadczony. Z kamienną twarzą” spokojnie, obejrzał wszystko, co leżało przed nim na stole. Potem zaczął obliczać coś w notesie, spoglądając od czasu do czasu na biżuterię. W końcu odłożył długopis i wymienił kwotę, jaką może i chce wypłacić za kolekcję.

Pasowski nie zastanawiał się długo. Sam już przedtem wycenił to, co przyniósł. Obie sumy nie różniły się zbyt, Anglik dawał co prawda.) tysiąc sześćset dolarów mniej, niż on się spodziewał, ale i tak w rezultacie było to dużo pieniędzy. Zgodzili się też, że Pasowski otrzyma jedną trzecią w funtach szterlingach, resztę w dolarach” tak chciał Fishley.

- Kiedy pan wyjeżdża? - Spytał Anglik. W głosie jego nie było rzeczywistego zainteresowania. Ot, grzecznościowe pytanie.

- W pierwszej połowie grudnia - odparł Pasowski. - Wpierw do Wiednia, potem do Stanów. Mam tam brata, prowadzi fabrykę części samochodowych. Chcemy to i robić razem, więc pieniądze są mi potrzebne na wkład do spółki.

Ani jedno słowo w tym, co powiedział nie było prawdą. Miał fałszywy paszport na nazwisko Heinricha Wenera, obywatela Republiki Federalnej Niemiec. Postanowił zatrzymać się tydzień lub dwa w Monachium, a następnie przenieść do Szwajcarii. Władał językiem niemieckim, trochę włoskim. Znał też kilka osób, które na tamtym terenie mogły pomóc mu w urządzeniu się, być może w otworzeniu jakiegoś intratnego przedsiębiorstwa. W tym planie nie było miejsca dla żony, ale tym się nie przejmował. Z jego urodą, z umiejętnością pozyskiwania

ludzkiej sympatii, a teraz i ze sporą gotówką - takich, jak Danuta, znajdzie dziesięć. Tak siebie oceniał.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę o sprawach obojętnych, po czym Pasowski pożegnał się i opuścił hotel. Jeszcze raz przeliczył w myśli uzyskaną gotówkę, dodał to, co miał schowane na Uroczysku i uśmiechnął się z zadowoleniem. Tak, opłacało się przez ponad rok prowadzić niełatwe podwójne życie. Za każdym razem, kiedy zmieniał swoją twarz, nakładał na nią maskę Jakuba Uraza i z obrzydzeniem wchodził do brudnej cuchnącej meliny na Pradze, mówił sobie: „Potem będzie inaczej. Trzeba zdobywać pieniądze, obojętnie jaką drogą”.

Chwilami bał się. Wszystko przecież, od początku do końca, od podrobionego dowodu osobistego do tej nory praskiej, było ogromnym ryzykiem. Każdej chwili mógł zostać zdemaskowany zatrzymany przez milicję, pchnięty nożem przez rozgniewanego złodzieja. Dlatego tak sobie ceni atmosferę anarchii, masowego bojkotu norm prawnych, cały ten rozkład dyscypliny społecznej, który tak bardzo sprzyjał jego robocie. Zdawał sobie sprawę, że gdyby było inaczej, nie utrzymałby się w melinie dłużej niż tydzień, zresztą nie udałoby mu się dostać tego mieszkania. Pierwsza wizyta dzielnicowego rozszyfrowałaby dowód osobisty, przydział lokalu i resztę.

Najpewniej - myślał, prowadząc szarego opla w stronę domu - dobraliby się również i do obecnych dokumentów. Odkryliby, że nazywa się naprawdę Kazimierz Pasek, a urodził się nie przed wojną za granicą, ale w czterdziestym piątym, na Brzeskiej, pod siódmym. Ojciec, zanim jeszcze chłopak odrósł od ziemi, uczył go ciskać kamieniami w latarnie i błyskawicznie ściągać ze straganów to, czego potrzebował. Mały Kazek

wpierw umiał kraść, potem nauczył się czytać. Szkoła, jaką dostawał od ojca, była trudna i bolesna. Nie zapomniał jej do dziś, lecz systematycznie udoskonalał. Kiedy jego rodzic po pijanemu zginął w wypadku samochodowym, syn był już samodzielny, doświadczonym złodziejem, paserem i oszustem na przemian.

Potem zniknął na szereg lat z terenu Pragi i dawnego środowiska. Nauczył się wtedy obcych języków, przyswoił towarzyskie obycie, wiedział, jak pozyskać czyjąś życzliwość, nawet przyjaźń. Umiejętnie dzielił ludzi na tych, którzy mogą mu się na coś przydać - i tych niepotrzebnych, ich sympatię odrzucał. Stopniowo wkraczał w świat oszustw na dużą skalę, przestępstw gospodarczych i fałszerstw wyspecjalizowanych.

Ponad rok temu powrócił w postaci Jakuba Urarza na Pragę. Odnalazł kilku dawnych znajomych, najlepszych kumpli ojca. Przyjęli go jak swego, - wprowadzili w środowisko przestępcze.

I tak - żyjąc raz jako Kazimierz Pasowski, a raz jako Jakub Urarz - dążył do swego celu.

\*

Na początku grudnia dni były na ogół bez mrozu, za to padał drobny, gęsty śnieg. Kolejki przed sklepami wydłużały się, ludzie stali w przemoczonych butach, zziębnięci, twarze mieli apatyczne, zsiniałe, oczy przygasłe. Półki w „salonach” odzieżowych i obuwniczych straszyły pustką jak widma wzrastającego kryzysu. Płace zwiększyły się o dwadzieścia pięć procent, ale produkcja, hamowana wciąż strajkami, cofnęła się do poziomu sprzed kilku lat. Kto miał stare mieszkanie z piecami, ten przynajmniej mógł w nich napalić, choćby połamanym

krzesłem. Kto mieszkał, a takich było najwięcej, zwłaszcza w dużych miastach, w lokalu z centralnym ogrzewaniem, ten z przerażeniem myślał o tym, że każdej chwili może chwycić mróz kilkunastostopniowy. Elektrociepłownie pracowały na ostatnich tonach węgla i koksu.

Nie było już nadziei. Był strach.

\*

Szczęśny wciąż powracał - myślał do Uroczyska. Zabójstwo Daniela Mrozika nie dawało mu spokoju, a zwłaszcza nie wyjaśniony fakt spotkania chłopca, nocą, na polanie ze swym mordercą.

- Po co tam poszedł? - myślał. - Czy naprawdę nie znał Jakuba Urarza? I co paser robił na polanie?...

Wreszcie któregoś dnia zaszedł do swego znajomego, archeologa z zawodu, magistra Lecha Turskiego. Był on zatrudniony etatowo jako naukowiec na uniwersytecie, prócz tego jednak złapał kilka póletatów, umów i ryczałtów, pisał też książkę na temat budowli kamiennieo-drewnianych przed wiekami, jeździł w tym celu nawet do Tustrup na Półwyspie Jutlandzkim - miał dom, żonę i troje dzieci. Kiedy zdążył to zrobić i jak potrafił wszystko razem pogodzić, pozostawało jego wyłączną tajemnicą.

Dla majora znalazł jednak czas, co prawda przypadkowo, gdyż leżał właśnie w domu ze złamaną nogą, nudził się, dręczył rodzinę i był rad gościowi. Określenie „leżał” okazało się zresztą nieścisle, gdyż Turski przez cały dzień kusztykał po domu, bo mimo choroby roznosiła go energia i temperament.

Szczęśny został posadzony w fotelu, napojony kawą i poczęstowany domowym ciastem na margarynie. Znalazło się też po kieliszku nalewki na

śliwkach, trzymanej przez panią domu na czarną godzinę albo dla przyjaciół. Dopiero po tym wszystkim mógł wyjaśnić, z czym przyszedł. Opowiedział więc, nie wchodząc w zakamarki śledztwa, o zabójstwie na polanie, zwanej Uroczykiem, podał bliższe dane i miał zamiar spytać, czy Turski nie zna kogoś z ekipy archeologów, która swego czasu interesowała się glazami, kiedy tamten przerwał mu żywo:

- Ależ ja tam byłem! Dobrze pamiętam, bo w trakcie badań Uroczyka przyjechał do naszej grupy mój szwagier, żeby mi powiedzieć o narodzinach mojego syna. O, właśnie ten pędrak - pokazał na sześćioletniego blondasa, który zaglądał do pokoju. - Chodź, Jędrak, przywitaj się.

Malec pokazał język i ulotnił się.

- Byłeś tam - powtórzył Szczęsny, uradowany. - To świetnie. Zdaj mi teraz sprawozdanie, coście odkryli. To może mieć ogromne znaczenie.

Turski wzruszył ramionami.

- Żadnego! - odparł. - Z początku wydawało się nam, tak na oko, że natrafiliśmy na cmentarz kurhanowy. Głazy były bowiem ułożone ręką ludzką, dość symetrycznie i przysypane stożkiem ziemi. Oczywiście, wszystko to porosło chwastami, krzewami i trawą. Oczyściliśmy, przyjrzeliliśmy się bliżej. Ktoś zasugerował, że są to groby skrzynkowe, kamienne, z obwarowaniem. Pewnie nie znasz się na archeologii, więc krótko tylko ci wyjaśnię, że pochodzą one z epoki żelaza i budowano je w Polsce z łupanych płyt piaskowca. Wiele takich grobów można jeszcze dzisiaj znaleźć w województwie gdańskim.

- I to był właśnie grób skrzynkowy? - Nie. Trudno powiedzieć dokładnie, w jakim celu ktoś kiedyś poukładał, a przede wszystkim

poprzywoził na polanę tak duże głazy i kamienie. Doszukiwałem się w nich zwalonych resztek jakiejś budowli sakralnej, ale i to nie okazało się prawdą. Sądzę, że głazy przywieziono znacznie później, być może nawet dwieście, trzysta lat temu. Może jakiś władca chciał tam sobie wystawić małą fortecę lub zameczek obronny, a potem z pewnych przyczyn mu to nie wyszło i porzucił zamiar. W każdym razie dla nas, archeologów, rzecz nie przedstawiała większego znaczenia.

Major słuchał uważnie, coś mu w tym wszystkim nie zgadzało się, wymagało wyjaśnienia.

- Był z nami wtedy - ciągnął dalej Turski;- taki bardzo sympatyczny inżynier, już nie pamiętam jakiej specjalności. Włączył się właściwie przez przypadek, bo kiedy mój samochód utknął w lesie, nawaliło mu sprzęgło, to on akurat przejeżdżał tamtędy i ofiarował pomoc. No, a potem doholował mnie do polany, gdzie stały dwa nasze namioty i badania zaintrygowały go, więc został do wieczora. On właśnie przypuszczał, że miała to być jakaś budowa obronna, na co wskazywał duży, przestronny loch pod głazami... Co się stało?

- Jaki loch? - Szczęsny poderwał się z fotela. Oczy mu zapłonęły. - Gdzie to jest?

Turski roześmiał się. Podniecenie przyjaciela ubawiło go.

- No, przecież w ziemi - odparł pobłaźliwie.

- Toś ty nie natrafił na niego?

- Nie. Skąd mogliśmy wiedzieć! Człowieku, te głazy są tak duże, zarośnięte chwastami, ciasno ustawione jeden obok drugiego... Co tam było?

- Nic. Zupełnie nic. A miał nawet podłogę ułożoną ładnie z drobnego

kamienia. I wentylację, wyobraź sobie! Bardzo przemyślnie ukrytą w suficie, między głazami. Owszem, w razie napadu zbrojnego łuda z dziesięć, może i więcej, osób mogło tam się schować i przeczekać. Albo, powiedzmy, na polanie bronili się rycerze, a tam chroniły kobiety z dziećmi. Tak sobie można pofantazjować. Kazimierz nawet...

- Jaki Kazimierz? - znowu przerwał major.

- No, ten inżynier.

- Jak się nazywał?

Turski spoważniał. Przez chwilę przyglądał się Szczęsnemu, a potem spytał: - Coś ci pasuje do śledztwa?

- Chyba tak. Nie wiem jeszcze. Więc jak on się nazywał?

- Czekaj, niech sobie przypomnę. Jakoś od skóry czy rzemienia... albo od szelek... Wiem! Pasowski.

- Określ mi, jak wygląda.

- Wysoki, przystojny chłop. Miał szarego opel-recorda. Zdaje się, że rok czy dwa temu założył prywatny bar w śródmieściu. Znasz tego faceta?

- I on tam był z wami? - powiedział Szczęsny wolno. - Że też ja wcześniej tego nie wiedziałem!

- Bo co?

Major nie odpowiedział. Wstał, popatrzał w okna. Śnieg padał ciągle, na ulicach było białe. Zmierzchało już.

- Bo co? - powtórzył Turski, trochę zaniepokojony. - Słuchaj, myślisz, że on jest zabójcą tego Mrozika? Nieprawdopodobne!

Szczęsny odwrócił się od okna, usiadł znów w fotelu. Turski, mocno przejęty, nalał mu drugi kieliszek śliwownicy, bo sytuacja była zupełnie nietypowa. Sobie, oczywiście, też. Pani domu wyszła, więc nie musieli

myśleć o przyszłości.

- Gadaj, co z tym Pasowskim! Czemu tak zamilkłeś?

- Jak odkryliście wejście do lochu? - major zignorował pytanie.

Turski znów parsknął śmiechem.

- Bardzo prozaicznie. Po prostu usiadłem na jednym z głazów, a on nagle jakby przekreślił się i trochę zadrgał. Skoczyłem na równe nogi, bo mi się przez chwilę zdawało, że ktoś czy coś spode mnie wyłazi. Przyjrzeliliśmy się temu dokładniej i zobaczyliśmy, że to jest chytrze zrobione, mówię ci, aż mi zaimponował ten konstruktor sprzed iluś tam wieków. Wejście do lochu jest świetnie zamaskowane, a jednocześnie zrobiono tam coś w rodzaju drzwiczek z zasuwą. Wszystko było naturalnie porządnie, stare, tym bardziej jeszcze działało. Ale tyś mnie zaintrygował Pasowskim. Powiesz czy nie?

- Potem. Trochę później. Natomiast chcę ci coś zaproponować.

Pojedziesz tam ze mną?

Turski zakłopotał się.

- Żona mi robi piekło. Bo ta noga, wiesz...

Szczesny zlekceważył nogę.

- Przecież chodzisz. - rzekł niecierpliwie.

- Wsadzę cię do samochodu, weźmiemy dużego fiata, będzie wygodniej. Chodzi o to, żebyś pokazał, który to głaz. Trudno, żebym po kolei na każdym siadał i czekał, aż drgnie.

- Dobra - mruknął archeolog z aprobatą. Już mu się uśmiechała wyprawa w zaśnieżony las, zamiast tego, co nazywał „podróżą babci dookoła stołu, z przygodami”. - Wyrwę się wreszcie z domu, bo już mnie szlag trafia. Kiedy chcesz jechać?



- Poczekaj. Dziś mamy środę, dziewiątego, tak?... Muszę sprawę obgadać z szefem, załatwić wóz. Pojedzie Bohdan Połowski... może jeszcze ktoś. Nie wiem, zobaczę. Chyba w piątek, jedenastego Odpowiada ci?

- Tak. W czwartek byłoby gorzej, bo żona plackiem siedzi w domu, ale” w piątek wychodzi rano do teściowej, załatwia jej sprawunki. O której pojedziemy?

- Skoro świt. No, niech będzie o ósmej. W czwartek wieczorem jeszcze zadzwonię.

\*

Wybrał ten dzień - siódmego grudnia, poniedziałek, bo chciał mieć potem przed sobą całą tydzień do załatwiania różnych spraw. Liczył, że granicę minie we wtorek i najdalej we czwartek dotrze do Monachium. Tam już nie musiał się śpieszyć. Tam będzie miał najtrudniejsze poza sobą.

Miał świetnie podrobiony paszport, nie na darmo zapłacił za niego tysiąc dolarów. Wpadka na granicy byłaby początkiem dramatu. Nie pożalował też pieniędzy na niedużego, sprawnego volkswagena, bo opel-recorda musiał zostawić w kraju. Danuta mogła przez dwa, trzy dni nie alarmować o zniknięciu męża - do tego przyzwyczają - natomiast z mety zawiadomiłaby milicję o kradzieży wozu. Potrzebowała go codziennie.

Wczesnym rankiem wsiadł więc do granatowego vw, na razie z rejestracją warszawską, przed granicą miał zmienić na RFN-owską. Ubrał się jak średnio zamożny turysta, do walizki włożył wyłącznie odzież i przedmioty, kupione w ubiegłym roku za granicą. Nie zapomniał nawet o niemieckich gazetach, o amerykańskich papierosach i polskiej wódce. W marynarce miał dowód osobisty na nazwisko Kazimierza Pasowskiego,

obcy paszport ukrył starannie w wozie, razem z walutą. Dla niepoznaki położył też na siedzeniu „Życie Warszawy” i paczkę ekstra mocnych. A wreszcie zaopatrzył się w delegację służbową do miasta które leżało w prostej linii za lasem i Uroczyskiem. Załatwił mu ją znajomy kadrowiec pewnej fabryki, za co dostał neskę w oryginalnym opakowaniu.

Przez Warszawę przejechał tak, aby ominąć bar, w którym czarnowłosa pani Danuta uśmiechała się do - wczesnych gości i parzyła im kawę. Nie chciał nawet patrzeć na wyblakłą, zieloną markizę nad drzwiami, zasypaną teraz śniegiem, przypomniał sobie o Monice i uśmiechnął z pogardą. Chociaż, przyszło mu na myśl, powinien jej być wdzięczny. Zyskał przecież kilkaset tysięcy złotych, a także złote dwudziestodolarówki i coś tam jeszcze.

Biedna Monika... Głupia, starzejąca się, naiwna Monika. Wiele wysiłku kosztowało go, aby tak zainstalować aparat fotograficzny w jej sypialni, izby w żaden sposób nie mogła go odkryć. Chciało mu się śmiać, kiedy trzęsąc się ze strachu i oburzenia pokazywała mu zdjęcia, bo przecież sam uprzednio wywołał i wykonał odbitki. Śmiał się, pisząc do niej listy jako szantażysta - i czekając późnym wieczorem w Wilanowie na człowieka, który przyjść po pieniądze nie mógł, bo nie istniał.

Nie było mu już tak wesoło, gdy na schodach w kamienicy przy ulicy Obrzeżnej zarzucił jej na szyję brudną szmatę i zatkał nią usta. To było ryzykowne. Ktoś z lokatorów mógł przecież wjechać akurat windą, wyjść z wiadrem do zsypu, zobaczyć tę scenę.

No tak. Ale systematyczne przeistaczanie się w Jakuba Uraza, i z powrotem, było bardziej ryzykowne. A przecież wszystko jakoś szło, wszystko się udało. Zdobył, co chciał - i nowe, łatwe życie otwierało się

przed nim. Miał trzydzieści sześć lat, zdrowie, urodę, pieniądze. Czegóż mu więc trzeba?!

Nigdy dotąd, od tamtej nocy, nie pomyślał o zamordowanym przez siebie chłopcu. - Danielu Mroziku. Usunął go jak przeszkodę na drodze. I przeszedł. Zorientował się, że od pewnego czasu milicja nie krąży już po lesie i Uroczysku, widocznie zrezygnowali. Zresztą, nie mieli nic do roboty na polanie, którą dawno pokrył śnieg.

Wjechał w las, na boczną, dobrze znaną drogę. W razie czego powie, że skraca sobie jazdę dój miasta albo, że chciał skrócić i zabłądził. Nigdy, niczego, mu, nie udowodnią, zwłaszcza tego, że zabił. Jeżeli do tej pory nie odkryli wejścia do piwnicy, to już tego nie zrobią, a jeśli nawet, to nic ciekawego potem w niej nie znajdą. Może pomyślą, że ktoś tu przebywał, coś chował, ale kto i co?

Roześmiał się. A swoją drogą, tak wykiwać władze, jak on, chyba nikt nie potrafi. Jeszcze dzień, jeszcze noc i będzie daleko.

Wóz miękko sunął po zaśnieżonej drodze, wreszcie wjechał na Uroczysko. Zahamował, zgasił silnik i przez parę minut czekał, czy nie usłyszy głosów, szczekania psa, chrzęstu butów na śniegu. Potem wysiadł. Dokoła było cicho i pusto. Wyjął z kieszeni klucze od drzwiczek do piwnicy, pomyślał przelotnie, że oto używa ich ostatni raz, potem może wyrzucić gdziekolwiek.

Drzewa zaczęły szumieć, zatargał nimi wiatr, niebo zachmurzyło się. Sypnęło śniegiem. Pasowski obszedł głazy, zatrzymał się przy ukrytym wejściu. Z łatwością odnalazł otwór, wsunął klucze, przekręcił. Nawet nie zaskrzypiało, niedawno przecież naoliwił zawiasy. Odchylił drzwi i wszedł do środka, pochylając głowę pod niskim stropem, zamknął się od

wewnątrz, aby nikt niepowołany nie przeszkodził mu w tym, co miał teraz zrobić.

Z zadowoleniem stwierdził, że wewnątrz piwnicy pozostało takie, jakim je widział parę tygodni temu, kiedy zabierał część biżuterii Zapalił świeczkę. Przez otwór wentylacyjny dochodził narastający szum drzew i świst wiatru. Wiało stamtąd zimnem, widać szła jakaś zadyмка, może burza śnieżna. Trochę go to zaniepokoiło, bo już nie chciał odkładać jazdy. Sądził jednak, że volkswagen wytrzyma nawet burzę. Wóz był w dobrym stanie, bak pełen benzyny, w bagażniku leżały zapasowe części.

Zapalił jeszcze jedną świecę, mógł już ich nie oszczędzać. Zaczął wybierać z sejfu klejnoty, układać w torbie. Nie było tego wiele, musiał uważać na celników. Dolary porozmieszczał w kieszeniach ubrania i kurtki. Złote dwudziestodolarówki, dwie sztabki złota i resztę najcenniejszej obcej waluty włożył do specjalnie przygotowanego woreczka; zawiesił go, na szyi i zakrył koszulą. Z uśmiechem przypomniał sobie, że tak właśnie chował swe skarby ów jubiler z Woli, obrabowany przez „Operatora”.

Ciekawe, co się dzieje z rudym złodziejaszkiem i z „Mandoliną”, zawsze aroganckim i zuchwałym, tylko przed Jakubem Urarzem spuszczał z tonu, bał się pistoletu. I z nimi wszystkimi, którzy systematycznie znosili mu skradzione precjoza...

Silny poryw wiatru wdarł się przez otwór wentylacyjny i zgasił płomień jednej świecy, druga migotała trwożnie. Wstrząsnął nim dreszcz zimna. Otulił się kurtką i spieszenie kończył opróżnianie piwnicy z paserskiego dobra. Wreszcie był gotów.

I właśnie wtedy, zupełnie nagle, coś jakby grom, przewaliło się nad

stropem piwnicy, uderzył w nią, obsunęło się, zadudniło głucho. Usłyszał trzask łamanych gałęzi i szelest obsypującego się śniegu. Stał przez chwilę nieruchomo, próbując odgadnąć, co się stało. Kiedy nastąpiła cisza, uspokojony zapiął kurtkę, wziął do lewej ręki torbę, do prawej klucze i podszedł do drzwi. Świecę zostawił zapaloną, aby dojrzeć otwory zamka. Włożył w nie klucze, przekręcił. Chciał popchnąć drzwi, ale natrafił na opór. Zdziwiony, jeszcze nie rozumiejąc przyczyny, pchnął mocniej, potem z całej siły. Na nic. Tak, jakby z tamtej strony ktoś potężny zapał się i nie pozwolił na otwarcie.

Pasowskiemu zrobiło się gorąco. Zrzucił kurtkę, odłożył torbę. Obejrzał dokładnie zamek, ale był w porządku. Cóż się więc stało?! Może któryś z kamieni obsunął się na drzwi i przytrzymuje. Pamiętał, że te przy wejściu nie były zbyt wielkie i z pewnością w końcu potrafi je odsunąć. Wyteżył wszystkie siły i pchał, wbijając nogi w podłogę, twarz mu poczerwieniała, żyły nabrzmiały na skroniach.

Na próżno. Nagle ogarnął go strach. Usiadł, żeby odpocząć i rozważyć sytuację. Po kilku minutach wstał i znowu uparcie, z olbrzymim wysiłkiem, starał się odepchnąć drzwi na zewnątrz, po długiej chwili udało mu się doprowadzić do tego, że uchyliły się na maleńką szparę, przez którą nawet dwa palce, by nie przeszły. Wziął ze stołu świecę, przybliżył płomień do otworu, aby dostrzec przyczynę zablokowania. Wówczas poczuł, że zimny pot spływa mu strużką po plecach, serce zaczyna łomotać jak oszalałe: Już wiedział, co się stało. Ten huk, ten grom - to było drzewo, potężny dąb czy buk, który pod uderzeniem wichru runął prosto na wejście do lochu, tarasując je swym ciężarem. Widocznie pień był już zmurszały ze starości. Przez szparę widział ośnieżoną, miejscami

szerniała, grubą korę, mógł ją dotknąć czubkiem palca - ale podważyć samego drzewa nie. Może, gdyby zdołał przełożyć przez otwór ręce...

Poczuł, że trzęsą mu się kolana, więc usiadł i otarł twarz z potu. Zaraz! - myślał gorączkowo. - Powoli, trzeba się zastanowić. Trzeba znaleźć... przecież musi być jakiś sposób. Nie mogę zostać, tutaj... Na górze jest samochód, paszport, wolna droga za granicę, tam jest wszystko! A tu jest śmierć.

Zerwał się. Przypadł do otworu wentylacyjnego. Może uda się rozruszać tamte głazy, poszerzyć dziurę, przez którą dostawało się powietrze, rozejrzał się po piwnicy chwycił żelazny łom, wdrapał się na stół i sięgnął do otworu. Już po kilku minutach zrozumiał, że to na nic. Głazy były ogromne, przylegały do siebie, nie ruszyłyby ich nawet z drugiej strony.

A więc może łomem potrafi odepchnąć drzewo? Albo raczej... przeciąć pień, zawałający drzwi, przez szparę włożyć piłę. Potem przypomniał sobie, że przecież w piwnicy nic ma piły ani nawet żadnego ostrego narzędzia, prócz scyzoryka, który nosił zawsze w kieszeni, ale nim może zaledwie wyłobić w pniu niewielką dziurę.

Po jakimś czasie poczuł głód. Później pragnienie. Pomyślał, że termos z kawą i kanapki leżą w samochodzie i zagryzł wargi z gniewu. Spieczonymi ustami zlizął trochę śniegu, który wpadał przez otwór między głazami. Do jedzenia nie miał tutaj nic.

Wielokrotnie jeszcze próbował popchnąć drzwi,; aż starła mu się skóra na rękach i wystąpiły krwawe bąble. Zimno coraz bardziej dawało się we znaki. Głód przeszedł, ale wiedział, że potem wróci jeszcze nie raz i będzie go dręczył coraz ostrzej, coraz groźniej. Śnieg widać przestał,

padać, bo do, - piwnicy wiatr nie wdmuchiwał już białych płatków.

Pasowski usiadł, oparł głowę na rekach. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że taki oto będzie koniec jego życia. I może nadejść bardzo szybko. A najlepsze miało, się dopiero zacząć. Wydawała się, że droga różami usłana...

Czuł że stopniowo drętwieją mu nogi, ręce, - więc zaczął biegać po piwnicy, rozcierać zlodowaciałe dłonie, bił się po plecach, przytupywał. Znowu powrócił głód i szarpał wnętrzności, wyschnięte gardło domagało się wody.

Dwa dni później, nad ranem, osłabł bardzo i musiał się położyć na podłodze. Chciał zasnąć. Wtedy targnęła nim straszliwa myśl, że w ten sposób zamrze. Więc znowu wstał, chodził, próbował się gimnastykować. Miał już gorączkę, pojawiły się halucynacje - to rozmawiał w barze z Danutą, to - znów, w paserskiej melinie kupował od kogoś klejnoty...

Klejnoty. Wyjął je z torby, rozrzucił po stole i wpatrywał się w nie zamglonym wzrokiem. Nacie ostatnia ze świec wypaliła się do końca i zgasła. W piwnicy zrobiło się ciemno.

Koniec - pomyślał. Ja już stąd nic wyjdę.

Jakaś postać ukazała mu się w mroku, widział ją zupełnie wyraźnie. To był mężczyzna młody, jasnowłosy, ale nie miał twarzy, zamiast niej krwawą okropną maskę. Patrzył na niego, jakby coś mówił. Pasowski wzdrygnął się, przetarł oczy. Zjawa znikła. Więc ostatkiem sił ujął w zeszywniało palce scyzoryk, powłókł się do drzwi i zaczął zdrapywać grubą, twardą korę.

\*

Piątkowy ranek był cichy, bezśnieżny, zaledwie minus dwa stopnie, dobra pogoda na jazdę. Szczęsny, raczej przez roztargnienie niż z dobrego serca swego szefa, dostał na cały dzień poloneza i zajechał nim przed dom Turskiego kilka minut, po ósmej. W wozie siedział leż kapitan Połoński i sierżant sztabowy z wydziału kryminalnego, Jabłoński, doświadczony funkcjonariusz zabierano go zawsze, gdy sytuacja rysowała się niewyraźnie. A tak ją właśnie ocenił Szczęsny.

Był tam jeszcze mały, jasnobrązowy jamnik Mag, rozciągnięty na całą szerokość polonezowe podłogi. Mag należał do sierżanta, jeździł z nim wszędzie, gdzie się dało, i na swój sposób pomagał. Turski, przy pomocy majora, zjechał windą ostrożnie wykuszykał na chodnik i jeszcze ostrożniej, acz z wielkim zapalem, załadowany został do wozu. Jamnik warknął, obwąchał nogę w twardym gipsie, a potem spokojnie ułożył na niej swój długi łeb z jeszcze dłuższymi aksamitnymi uszami. Jabłoński chciał protestować, al! Turski roześmiał się. Wydawało mu się nawet że przez gips czuje psie ciepło. Był rozradowany wyjazdem, bardzo chciał uciec spod lekarsko-żoninenej kontroli.

Major prowadził poloneza, mając koło siebie Połońskiego, z którym pogadywali o tym i owym. Kapitan usposobiony był dość sceptycznie.

- Jeżeli nawet jest tam loch - mówił - t(cóż nam z tego przyjdzie? Znajdziemy trochu śmieci, najwyżej resztki legowiska jakichś włóczęgów.

- Może - mruknął Szczęsny. - A może nie. Słuchaj, obawiam się, że Pasowski nam się wymknął. I to na dobre.

- Co masz na myśli?

- Zwiął za granicę. WOP był powiadomiony, ale ten człowiek jest, jak widać, dobrym aktorem i ma różne możliwości. Wiesz, teraz



szczególnie łatwo prześliznąć się za cudzym paszportem, na przykład w gronie zagranicznych turystów. To również wynik obecnej sytuacji i tego rozprzeżenia w kraju.

- No dobrze, ale na jakiej podstawie sądzisz, że zwiął?

- Bo go nie ma w domu od kilku dni. Sprawdziliśmy.

- A żona co mówi?

- Jest trochę niespokojna, ale przyzwyczała się do wyjazdów „za interesami”.

- Wziął opel-recorda?

- Nie.

- Może wrócił do postaci Urarza i do meliny?

- Wykluczone. Jest zamknięta, opieczętowana i pod obserwacją komendy dzielnicowej. Zresztą to by nie miało sensu. Można sądzić, że inscenizacja śmierci Jakuba Urarza nie po to była przeprowadzona, żeby wszystko zaczynać na nowo.

- Jesteś pewny, że Pasowski to Urarz?

- Nie wiem jeszcze. Ale wiele na to wskazuje. Widzisz, dlatego jedziemy na Uroczysko. Muszę mieć pewność, że w lochu nie ma żadnych śladów... powiedzmy, kontaktów między Urarzem a Mrozikiem czy Pasowskim. To może być świetnie zakonspirowana kryjówka pasersko-złodziejska. Jeszcze ci powiem, sądzę, że Mrozik został zabity dlatego, ponieważ przypadkowo albo świadomie zdemaskował tę kryjówkę. Więc tam, w środku, musi być na to wszystko odpowiedź.

Wjechali w las. Turski opowiadał coś sierżantowi. Mag głośno sprzeciwiał się, gdy wóz podrzuca na wystających korzeniach i wybojach, więc Jabłoński wziął go na kolana.

W pewnej chwili kapitan ze zdziwieniem zawołał:

- Tam na polanie stoi samochód!

- Rzeczywiście - przyznał Szczęsny, zwalniając bieg...

Spojrzeni na siebie i, jakby jedną myślą tknięci sięgnęli po pistolety.

- Jeden wóz - mruknął sierżant. - Volkswagen. Nie pomieści więcej niż pięciu, raczej czterech. - Rozpiął kurtkę, za pasem miał swój P-64.

Turski spoglądał na nich ze zdumieniem, nie rozumiał sytuacji.

- Tutaj stały nasze namioty - powiedział, wskazując ręką na polanę. - Dlaczego nie jedziemy dalej?

- Zaraz pojedziemy.

Połoński i sierżant wyskoczyli z wozu razem z psem, rozglądali się uważnie. Mag obojętnie powąchał ziemię, machnął ogonem. Nie szczekali Major wolno podjechał do volkswagena i zatrzymał się tuż obok. Granatowy wóz był zaśnieżony, zimny. Widać, że silnik od dawna nie pracował. W stacyjce wisały kluczyki.

Szczęsny wysiadł z poloneza, podszedł do tamtego samochodu i otworzył drzwiczki. Spojrzeniem obiegł wnętrze, chciał od razu zrozumieć, co tutaj zaszło. Kto i kiedy opuścił samochód, dlaczego to zrobił. Dostrzegł bowiem poukładane rzeczy, lekki koc rzucony niedbale na siedzenie, kilka niedopałków w popielniczce, termos i zawiniątko, chyba z jedzeniem na drogę.

- Mam nadzieję, że nikt nie zamordował kierowcy - rzekł Połoński na w pół żartem. - Ale nie było go tu dawno. Zauważ, od trzech dni nie pada, a wóz jest mocno ośnieżony, prawdopodobnie stoi tutaj co najmniej od wtorku. Aha, jest gazeta - sięgnął - po „Życie Warszawy”. - Popatrz, poniedziałkowe wydanie! To znaczy, z siódmego grudnia. A dziś mamy

jedenastego.

Sierzant rozglądał się dokoła, chciał dostrzec ślady nóg człowieka, który odszedł od samochodu i do tej pory nie wrócił. Jednakże polana również była zasypana śniegiem, z widocznymi jedynie tylko drobnymi, trójkątnymi odciskami ptasich łapek, pewnie wron.

- Trzeba dokładnie przeszukać volkswagena - powiedział major. - Może to nam coś wyjaśni.

Nagle Mag, który bez zainteresowania obwąchiwał kolejne głązy, zjeżył sierść i zawarczał. Jabłoński podszedł do niego. Pies zatrzymał się przy wielkim, grubym drzewie, leżącym pomiędzy kamieniami. Złamało się ono pewnie pod wpływem wiatru, miało spróchniały pień i było stare.

- Co tam jest, piesku? - Sierzant pochylił się nad pniakiem. - No, coś tam wywachał?

Mag szczeknął ostro, przysunął czarny wilgotny nos do spękanej kory, węszył przez chwilę, a potem niespodziewanie zaczął drapać ziemię przy drzewie i ujadać. Jabłoński przykucnął obok psa, ale nie dojrzał nic interesującego.

- Może w lochu są lisy? - zauważył kapitan. Tymczasem Turski wygramolił się z wozu, rozejrzał dokoła. Krajobraz był zupełnie inny, kiedy kilka lat temu rozbili na Uroczysku archeologiczny obóz - lato, mnóstwo zieleni, głązy porośnięte ogromnymi chwastami i krzewami dzikich malin. Trochę jednak widać zapamiętał, bo zbliżył się do powalonego drzewa, spojrzął w górę na czuby trzech tuż koło siebie rosnących, sosen i powiedział:

- To właśnie tu, gdzie ten złamany pniak. Pies wyczuł wejście do lochu. Ale trzeba odsunąć drzewo. Nie wiem, czy damy radę?

- Ty w każdym razie będziesz tylko patrzeć - odparł Szczęsny stanowczo. - Nie chcę mieć na sumieniu twojej nogi. Siadaj do poloneza. Albo z boku, na kamieniu. We trójkę powinniśmy odwalić otwór. Jesteś pewien, że to właśnie tu?

- Tak. Pamiętam, usiadłem wtedy o, na tym głazie, z jednej strony jakby obciosanym siekierą. Za pniakiem musi być... zresztą, odsuńcie tylko, a ja pokażę.

- Panie majorze, mamy w bagażniku jakiś wichajster do podważenia?

- spytał sierżant.

- Chyba tak. Zobaczcie - podał mu kluczyk. Okazało się, że bagażnik kryje w sobie mnóstwo użytecznych przedmiotów, między którymi znalazł się gruby, przyzwoity kawałek żelaza, sznury, gwoździe, nawet młotek i siekierka Polonez należał do pułkownika Daniłowicza, a szef wydziału był przewidujący. Przymierzyli się do pnia, podłożyli łom, zaczepili sznur o wystające gałęzie. Drzewo wprawdzie stawiało zdecydowany opór, następnie drgnęło i przesunęło się parę centymetrów w bok. Wtedy Mag przyglądając się temu z uwagą, nagle usiadł i zawył. Długo, żałośnie.

- Co jest temu psu? - zirytował się kapitan.

- Patrzcie - szepnął Szczęsny.

Z jednej strony pniaka kora była wydrążona, posypały się drobne trociny. Potem, pewnie pod wpływem odsunięcia, wypadł na ziemię scyzoryk. Znieruchomieli, nie wiedząc, co to znaczy.

- Dalej! Mocno, w bok - rzucił major. Jeszcze kilka centymetrów i ukazała się ręka.

Szare, sztywne palce wyglądały jak dłoń odrąbana z pomnika. Spojrzeli na siebie, nic już nie mówili, tylko pociągnęli sznury, aż za

drzewem ujrzeni drzwiczki Rozchyliły się wolno, z tamtej strony wisiały w zamku klucze Na podłodze leżał człowiek, skulony, z nogami podciągniętymi pod brodę, jedną rękę trzymał tuż przy otworze, drugą bezwładnie odrzucił na bok.

- Pasowski! - Powiedział Szczęsny, jeszcze nie mogąc uwierzyć oczom. Dotknął ciała, ale i tak było jasne, że nie żyje od wiciu godzin, pewnie co najmniej od kilku dni.

Turski pokuszykał do drzwi i rzekł ze zdumieniem.

- Tak wtedy nie było! Ktoś tu musiał urządzić całe pomieszczenie, patrzcie, jest stół, krzesła... Ach, i jakieś... zobaczcie, toż to cały skarbiec! Nawet szafa pancerna, ale otwarta i pusta.

Zmieścili się wszyscy w piwnicy. Uchylone drzwi dawały światło, sierżant zaparł je kawałkiem żelaza, aby przypadkiem znowu coś ich nie przytrzasnęło. Oglądali po kolei rozłożone na stole; klejnoty, ogarki wypalonych świec, puste już półki i szuflady, a potem długo patrzyli na siną, zlodowaciałą twarz człowieka, który nagromadził to wszystko, co w ostatnich godzinach życia nie dało mu ani jeść, ani się ogrzać, ani oswobodzić.

Major, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z grozy i zdumienia, wyjął z ubrania trupa dokumenty, położył na stole. Był tam dowód osobisty na nazwisko Kazimierz Pasowski i delegacja służbowa „w teren”. Prócz tego w kieszeniach kurtki i marynarki znajdowało się mnóstwo dolarów, funty szterlingi, a także polskie złote. Pod koszulą, w woreczku, Pasowski miał schowaną dalszą część obcej waluty i dwie sztabki złota.

- Ale się obłowił! - mruknął Turski. - Skąd inżynier mógł mieć takie bogactwo?

- To chyba nie był w ogóle inżynier - odparł Szczęsny. - Natomiast z całą pewnością jako paser Jakub Urarz skupywał te wszystkie dolary, złoto i biżuterię. Zastanawia mnie tylko... - urwał, zamyślił się - Bohdan - spojrział na Półońskiego - zbadaj dokładnie volkswagena.

- Czego konkretnie mam szukać?

- Widzisz, on przecież nie mógł wyjechać za granicę bez paszportu A tu go nie ma

- Może wcale nie wyjeżdżał za granicę?

- Więc dokąd? Z tym wszystkim? - pokazał ręką na stół - Zresztą, przekonamy się. Myślę, że ma w wozie ukryty paszport. Po kwadransie Półoński przyniósł do lochu: paszport z RFN na nazwisko Heinricha Wenera z wklejoną fotografią Pasowskiego, sporą ilość dolarów i walizkę. Znaleźli w niej ubranie, bieliznę, buty i przybory toaletowe - wszystko zagraniczne, a także niemieckie gazety, wódkę i papierosy.

Sądząc po poniedziałkowym „Życiu Warszawy”, które było w samochodzie, Pasowski prawdopodobnie przyjechał tutaj siódmego. Pięć dnu. Może wytrzymałby głód, ale nie pragnienie. Poza tym, zamarznął. No i żadnej nadziei na wydostanie się na zewnątrz. - Próbował scyzorykiem wydrapać otwór w drzewie - rzekł Jabłoński. - Syzyfowa praca. Okropna śmierć.

Szczęsny odwrócił się żywo, oczy mu zabłyśły.

- Tu, na tej polanie - powiedział - Pasowski zamordował Daniela Mrozika. Nie dowiemy się już, dlaczego, ale wiele wskazuje na to, że chłopak był absolutnie niewinny. Pewnie zastał Pasowskiego jarzy jakichś manipulacjach w lochu czy w ogóle na Uroczysku i zginął, bo był niebezpiecznym świadkiem. A te wszystkie klejnoty, dolary, złoto

pochodzą z kradzieży i włamań.

- Zapomniałem ci powiedzieć - wtrącił Połoński - wczoraj natrafiliśmy na grupę narkomanów. Przyznali, że dostawcą środków psychotropowych był dla nich Pasowski. Nie podawał im wprawdzie swego nazwiska i starannie się konspirował, ale kiedyś podpatrzyli, jak wracał do domu. Rozpoznali go też na zdjęciach. Teraz wiem, dla kogo Zawadowski kradł narkotyki. No, ale to już wszystko... - umilkł, popatrzał na sztywne, zlodowaciałe zwłoki.

\*

Po południu przyjechała na polanę ciężarówka z przedsiębiorstwa pogrzebowego, zabrała ciało, natomiast cenne precjoza, walutę, rzeczy i dokumenty oficerowie odwieźli do komendy Zawiadomiono też Danutę Pasowską, której sytuacja była niejasna: wiedziała i brała udział w przestępczej działalności męża czy też nie. Tym jednak zajął się już prokurator.

Następnego dnia pod wieczór Połoński i Kręglewski przyszli do mieszkania Szczęsnego. Obaj byli niespokojni, nie mogli sobie miejsca znaleźć. Więc major zaparzył ostatnią porcję kawy, postawił szklanki na stole, a potem rzeki, wyjmując z kieszeni kartkę papieru:

- Wprawdzie jeszcze chyba nigdy nikomu nie czytałem wierszy, ale to napisał nasz kolega. Posłuchajcie fragmentu:

*„...Jeszcze ręce nam się utrudzą,  
krwi serdecznej trzeba będzie  
i potu  
Ale swoją budujemy,*

*nie cudzą*

*Nam sił starczy do trudnego lotu.*

*Nasza miłość na imię ma Polska,*

*choć dziś przestonięta łzą.*

*I my wykonamy Jej rozkaz,*

*obronimy nasz wspólny dom...”*

\* Wiersz Wiesława Pietryki ukazał się w nr 1 „W Służbie Narodu” z 3 1 1982 r.

Milczeli długo. Kręglewski mruknął: - Ech, cholera... - co było u niego dowodem wzruszenia. Radio grało, muzyka tworzyła nastrój, poddawali mu się Połoński wstał, podszedł do kalendarza

- Jutro niedziela - powiedział. - Jak sądzicie, dadzą nam się wypaść?

- Która godzina? - spytał Szczęsny, nie chciało mu się otworzyć oczu. Myślał o wielu rzeczach naraz. Czuł zmęczenie, trochę satysfakcji, że sprawa Pasowskiego została zakończona, trochę obaw że nie wszystko w niej było już rozplątane i wyjaśnione.

- Północ dochodzi - odparł kapitan. - Za trzy minuty. Czy pamiętacie... - Urwał. Wstał, podszedł do okna, otworzył.

Z daleka narastał, wolno zbliżał się, potężniał ogromny warkot bojowych wozów piechoty. Słuchali z napięciem. Była północ, zaczął się nowy dzień